

Anna Kleiber

Półtora trupa na głowę

Spis treści

Półtora trupa na głowę

Polecamy

Dzień był szary, a siąpiący deszcz dodatkowo popsuł i tak już kiepskie humory przyjaciółek. A pomyśleć, że jeszcze niedawno tak cieszyły się na wyjazd do Warszawy! Wandę gnęła pewność, że na Targach Książki spotka Ignacego Knychałkę, a Lucyna planowała trochę pozwiedzać stolicę. Niestety, żadnej z nich zamierzeń w życie wcielić się nie udało. Utalentowany poeta i prozaik Knychałka na targi nie przybył, więc Wanda, całkiem nieświadomie, swoim złym nastrojem tak zozydziła Lucynie zwiedzanie, że przyjaciółka dobrowolnie zaproponowała niezwłoczny powrót do Poznania. Wracały pociągiem. Wanda z nosem przytkniętym do szyby wzdychała rozdzierająco, a Lucyna starała się skupić na czytaniu kupionej na Dworcu Centralnym babskiej gazety.

– Nie stękaj tak, bo mnie rozpraszasz.

– Jak mam nie stękać, skoro się nie pojawił?

– Nie spotkałaś teraz, to spotkasz przy innej okazji. Nie dręcz się, bo raka dostaniesz.

– Ale co ja powiem Murkowi?!

– Prawdę. Knychałka nie raczył przyjechać i tyle.

– Wylecę z pracy! – Wanda nerwowo odgarnęła włosy i wzdrgnęła się, bo nagle odżyła w jej pamięci rozmowa z szefem, który wysłał ją na Warszawskie Targi Książki.

Murek to była ładniejsza, skrócona forma przezwiska szefa, które w całości brzmiało wyjątkowo paskudnie i Wandzie nigdy w pełnej wersji przez gardło przejść nie chciało. Dokonała więc na własne potrzeby modyfikacji, dzieląc rzeczownik złożony na elementy składowe i uparcie posługując się ostatnim, brzmiącym: Murek. Udawała, że nie słyszy, jak koledzy z redakcji niczego nie dzielili ani nie odrzucali, tylko bezlitośnie element *obszczy* spajali z *murkiem*, uznając to połączenie za całkowicie naturalne.

Otóż tamtego dnia, mniej więcej dwa tygodnie przed Targami Książki, Murek wezwał ją do siebie i niedbałym gestem wskazał wolne krzesło. Gwoli ścisłości, krzesło niezupełnie było wolne, bo po części zarzucone gazetami. Wanda zawahała się chwilę, ale w końcu nie usiadła, tylko stanęła naprzeciw pryncypała.

– Wanda... – zaczął ironicznym tonem i wygodniej rozparł się w okazałym fotelu. – Wanda... – powtórzył jeszcze bardziej złośliwie.

Westchnęła. Nie lubiła tonu, którym wymawiał jej imię. Czuła w nim lekceważącą nutę. A co ona była winna, że zbliżając się do wieku dojrzałego, ze swą okrągłą twarzą, dołeczkami w policzkach oraz dużymi, jakby ustawicznie zdziwionymi oczami, bardziej była przez wszystkich traktowana jak płochę dziewczę niż dorosła kobieta?

– Tak?

Oderwała wzrok od szefa. Na biurku stało pudełko po spaghetti, a na rozciągniętym T-shircie Murka pyszniła się brudna plama w ciemnym kolorze.

– Wanda, słyszałaś o Knychałce?

Obrzucił ją chytrym spojrzeniem. Wiedziała, co ono kryło – niczym sęp na zająca szef czyhał na jej niewiedzę, by tym samym zyskać podstawę do ponownego pozbawienia jej premii. Ale tym razem nic z tego!

– Czy słyszałam o Knychałce? – prychnęła. – Jasne! Jest ktoś, kto o nim nie słyszał?

Książkami Ignacego Knychałki, obfitującymi w śmiałe sceny erotyczne, zaczytywała się cała Polska, a jego ostatnia powieść pod intrygującym tytułem *Zimnotrwały płomień nostalgii* okazała się olbrzymim sukcesem. Nie tylko jego twórczość budziła powszechne zainteresowanie, ale również osoba, był bowiem Knychałka niezwykle tajemniczy: nie udzielał wywiadów ani nie brał udziału w żadnych spotkaniach autorskich. Był enigmatyczny i nieuchwytny. Wieść głosiła, że pochodził ze wschodniej Polski. Niektórzy twierdzili, że znają miejsce jego urodzenia – miała to być wieś Saki w gminie Kleszczele. Jednak mieszkańcy wioski, po zapoznaniu się

z kontrowersyjną twórczością pisarza, szybko temu zaprzeczyli. Z kolei inna grupa wielbicieli twórczości Knychalki upierała się, że pisarz pochodził z Podkarpacia, i wskazywali na Wołosate (gmina Lutowska). Niestety, również i ten trop okazał się pudłem. Jedno było pewne – osobnik o tak wielkim talencie normalnie żyć nie potrafił. Uporczywie tułał się po kraju, twierdząc, że pociąg jest jego domem; w pociągu tworzy i w pociągu znajduje stabilizację i zarazem urozmaicenie. Mniej więcej takich słów użył w jedynym, przypadkowo udzielonym wywiadzie.

– Czyli wiesz, kim jest Knychalka?

– Oczywiście.

– Dobra odpowiedź! Nie spodziewałem się tego, bo często taka oderwana od rzeczywistości mi się wydajesz. Ale mniejsza o ciebie. W każdym razie ostatnio kombinuję, jak naszą gazetą zawojować rynek, bo czasy są ciężkie, a jak czasy ciężkie, to i z premią ciężko... a może być gorzej, bo z pracy się wypadnie... – Znacząco zawiesił głos, a po kręgosłupie Wandy przebiegły nieprzyjemne ciarki.

Huśtawek związanych z premiami już doświadczyła, więc w następnym rozdaniu mógł ją czekać tylko poznański bruk...

– Ale ty mogłabyś tu zostać... pod jednym warunkiem oczywiście.

– Jakim?

– Że przeprowadzisz wywiad z tym całym Ignacym czy jak mu tam. – Poruszył się nerwowo. – Jeśli ci się uda go efektywnie dopaść, dam ci nawet podwyżkę.

– Ja... ja miałabym przeprowadzić wywiad z nieuchwytnym Ignacym?!

Wandzie zakręciło się w głowie. Prędzej pieszo na Księżyc dotrze, niż uda jej się osobiście porozmawiać z Knychalką.

– Tak, ty.

– To jest niemożliwe!

– Dlaczego? Przecież jednemu się udało.

– Tak, ale tamten miał szczęście!

– Ty będziesz mieć go więcej. No wiesz, gdzie diabeł nie może, tam babę pośle.

Wanda nie miała zbyt pewnej miny i trudno się dziwić, bowiem omawiana wyżej sytuacja wyglądała następująco:

Minionego roku pewien dziennikarz udający się pociągiem nad morze zwrócił uwagę na bazgrzącego na kolanie niepozornego współtowarzysza podróży. Raz i drugi rzucił nań okiem, a gdy zerknął na zapiski, oniemiał, bo w stworzonym na kolanie tekście rozpoznał pióro nieuchwytnego Ignacego Knychalki, którego – tak się złożyło – był zagorzałym fanem. Pisarz wciśnięty w kąć pociągu, pod groźbą uduszenia, zmuszony został do udzielenia pierwszego w życiu wywiadu, który szerokim echem odbił się w całej Polsce. Na forach internetowych rozgorzały dyskusje, dokąd oraz skąd, bo tego w wywiadzie nie zdradził, udawał się Ignacy. A że dziennikarz nie miał przy sobie aparatu fotograficznego, a posiadany telefoniczny był mocno przestarzały, toteż foty autorowi strzelić nie mógł, pozostało mu więc przy pomocy biegłego portrecisty sporządzenie rysunku z pamięci. Rysunek ten, jak i wywiad, również trafił do sieci i obiegł świat. Czy Ignacy zdawał sobie sprawę, jakie poruszenie wywołała jego niepozorna, acz wybitnie utalentowana osoba? Absolutnie nie.

– A jeśli ja twemu szczęściu nieco pomogę? – Szef zrobił szelmowską minę.

– Niby jak?

– Zdradzę ci, gdzie być może będziesz mogła go spotkać. – Znacząco zawiesił głos.

– Naprawdę? Skąd masz takie informacje?

– Pamiętaj, że twój szef wie wiele... Oj, bardzo wiele... – Patrzył na nią badawczo, a Wanda przeraziła się, że ta rozległa wiedza obejmuje również nadane mu przez podwładnych

przezwisko. Do podwładnych zaliczała się wszak i ona, a Murka znała – typ z niego bezwzględny, nie przyjmie wytłumaczenia, że Wanda jest wyjątkiem i wymyślone przez kolegów określenie uważa za krzywdzące. No, może w pewnych okolicznościach niezupełnie krzywdzące. Poczuli, że społyły jej się dłonie, schowała je więc za siebie.

– W każdym razie wiem, że ten tajemniczy Ignacy może przebywać u swojego wydawcy.

– U Małoty?

– Czy on ma innego wydawcę?

– Nie ma... chyba nie... nie, zdecydowanie nie ma.

– Wiesz, gdzie Małota mieszka?

– Gdzieś pod Poznaniem, chyba.

– Świetnie! Ale ja wiem więcej! – Zaśmiał się z wyższością. – Zresztą gdybym nie wiedział, nie byłbym twoim szefem – dodał. – Znam jego adres. Zaraz go dostaniesz. – Z ciężkim stęknieniem schylił się do szuflady, wyjął z niej gruby notatnik, przewertował go i wyrwał skąpo zapisaną kartkę. Rzucił ją na biurko. – Masz!

Wanda sięgnęła po świstek.

– O, Małota mieszka w Luboniu.

– Tak. Twoim zadaniem jest dopaść tam Knychalkę. To jedyna szansa na tysiąc.

– Ale jak...

– Jak? Jak tylko chcesz. – Wymownie otaksował jej obfity biust. – A tu – popukał palcem w biurko – w swoim czasie położysz efekty swego działania. Wywiad znaczy. I fotkę również mu strzelisz. Ale na razie pojedziesz do Warszawy na Targi Książki. Chodzą słuchy, że tego roku ma się tam ujawnić. Gdyby się nie pojawił, skupisz się na wydawcy.

Wanda niezdecydowanie obracała w dłoniach kartkę.

– A jeśli mi się nie uda?...

– Ha... – Rozparł się wygodnie i poklepał się po brzuchu. – Jak sądzisz, co wtedy?

Nie odpowiedziała. Nadanie szefowi wyjątkowo brzydkiego przezwiska miało mocny fundament. Fundament, który w pocie czoła przez lata sam budował, choć poza redakcją nigdy nikomu się nie tym pochwalił.

– Będziesz musiała znaleźć inną pracę. – Przymrużył oczy i ponownie otaksował jej piersi.

– Ile mam czasu?

– Bo ja wiem... – Poglaskał się po nieogolonej twarzy. Tego, że jest przystojny, nawet w bezgwiezdną noc nie można było o nim powiedzieć, a niechlujstwo potęgowało wrodzoną szpetotę. – Masz miesiąc, potem zdasz mi relację z postępów, a ja zastanowię się nad sensem utrzymywania twojego stanowiska pracy...



– Coś się tak zamyśliła? – Słowa Lucyny przerwały Wandzie rozmyślania. – Myślisz, że szef cię wyrzuci, co?

– A ty byś się nie martwiła?

– Owszem, w jakimś stopniu by mnie to dręczyło, ale przecież nic nie jest przesądzone.

Lucyna wbiła wzrok w gazetę, ale nie czytała. Cieszyła się, że Mundek obiecał odebrać je z dworca. Och, ten Mundek, wariat, nie facet! Zamyśliła się nad niestabilnością swego życia uczuciowego. Wanda również milczała. Na targi, zgodnie z poleceniem szefa, pojechały w piątek. Zerwały się bladym świtem, pociągami udały do stolicy i Wanda, tak jak planowała, zobaczyła się z wydawcą słynnego Knychalki, Fabianem Małotą. Ten, dopóki się nie odezwał, wyglądał dość sympatycznie, ale gdy wywiązała się między nimi dyskusja, miłe wrażenie przyszło.

– Co to znaczy, że nie przyjechał? – Wanda nie mogła uwierzyć słowom wydawcy. – Co to znaczy... – powtórzyła słabo, po czym chwyciła dekolt swojej bluzki, jakby zamierzała ją rozciągnąć w celu zapewnienia płucom dopływu świeżego powietrza. Małota przytulił plecy do regału z ustawionymi dziełami Knychalki i z przerażeniem patrzył na półomdlałą kobietę.

– Naprawdę nie wiem, co mu wypadło. – Wydawca ocknął się, poczerwieniał na twarzy i przystąpił do kontraktaku. – On już taki jest, nie wie pani?! Kto to widział, żeby przyjechać na spotkanie z Knychalką i się spodziewać, że on również przyjedzie?!

– Po co więc były te wszystkie zapowiedzi, że w tym roku na Targach Książki w Warszawie Ignacy Knychka będzie rozdawał autografy?

– Bo Knychka rok temu zapowiedział, że przyjedzie, a jak zapowiedział, to machina ruszyła.

– A to, że jednak nie przyjedzie, zachował już tylko dla siebie?

– Nie wie pani, że jego życie to ciągła podróż? Pewnie po Polsce się tuła, a może... może gdzieś się zasiedział?

– Jak to zasiedział? Po co zasiedział? Nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia? Jeździł, jeździł, w końcu gdzieś mu się spodobało, więc wysiadł i się zasiedział.

– Zasiedział! – prychnęła Wanda. – Nie wie pan gdzie on jest? Naprawdę nie dał panu znać? – zapytała łagodnie.

– Nie dał, jak Boga kocham, nie dał! Już sam nie wiem, co robić. – Bezradnie, jakby chciał odszukać go w tłumie, rozejrzał się wokół. – Jeśli pani chce, panie chcą – Fabian się poprawił, bo przed jego mikrym stoiskiem zebrała się spora grupka fanek twórczości Ignacego Knychalki – proszę na niego poczekać, może jeszcze dotrze.

– Może, może... – Wanda również omiotła spojrzeniem zbierający się tłumek i zwróciła się do przyjaciółki:

– Lucyna, czekamy, co? Kładź torbę, siądziemy na niej.

– Nie lepiej miasto pozwiedzać?

– Nie.

– Ale stolica... Wyskoczmy na kilka godzin, pozwiedzamy, a później wrócimy sprawdzić, czy Knychka się pojawił.

– Przecież możemy go przegapić. Nigdzie nie idę ja, nigdzie nie idziesz ty.

– Nie możesz sama na niego poczekać?

– A jeśli wyjdę do toalety, a on w tym czasie wpadnie na krótką chwilę? Szkoda zmarnować taką okazję. Proszę...

Skoro Wanda poprosiła, Lucyna odmówić nie mogła. Posłusznie usiadła obok i obie przez kolejne długie godziny wypatrywały w tłumie niepozornej sylwetki Ignacego Knychalki. Do toalety lub na kawę wychodziły, tak jak zasugerowała Wanda, pojedynczo, żeby sławnego autora nie przeoczyć, pisarz jednak nie przybył. Po południu, ponieważ wszystkie książki Ignacego dawno sprzedał, a osoba Wandy zdawała się go przerażać, wydawca stoisko zwinął, więc i one postanowiły pójść w jego ślady.

– Wyjeżdża pan? – zaniepokoiła się Wanda, widząc, że Małota pakuje rzeczy.

– Tak. Nic tu po mnie – mruknął.

I się ulotnił, a Wanda dała upust narzekaniom. Co za typ! Nawet krzesła im nie zaproponował, nie mówiąc o kubku ciepłej herbaty, którą samolubnie dużymi łykami pociągał z termosu, przegryzając do niej czekoladowe ciasteczka.



Na poznańskim dworcu czekał na nie Mundek, co Wanda przyjęła z niebotycznym zdumieniem. Myślała, że typ ów z uczuciowego życia przyjaciółki zniknął już na zawsze, ale najwyraźniej się myliła. Ostry przebieg drugiego (właśnie tak! drugiego!) rozwodu tych dwojga zwiastował, że już nigdy więcej mieć się ku sobie nie będą, a łączyć ich będzie tylko i wyłącznie wspólnie prowadzony zakład fryzjerski. Wanda więc dalece podejrzliwie przyglądała się szarmanckim gestom Mundka oraz piskliwym umizgom Lucyny. Niemożliwe, czyżby podwójni rozwodnicy znów mieli być razem?

– Wsiadać, wsiadać, nic nie gadać! – z głupią miną powiedział Mundek i otworzył tylne drzwi białej, mocno leciwej sierry, wzrokiem wskazując Wandzie, gdzie ma usiąść. W lot zrozumiała, że miejsce na przednim siedzeniu przeznaczone jest dla Lucyny. Przyjaciółka z radością zakochanej dwudziestolatki usiadła obok eksa i zaczęła prowadzić z nim tak przyjazną konwersację, jakby wielokrotne obrzucanie się w sądzie błotem nigdy nie miało miejsca.

– Jak się udał wyjazd? – Mundek zerknął we wsteczne lustro, a prawą ręką pogłaskał Lucynę po kolanie.

– Wcale się nie udał... – mruknęła Wanda. – Knychałka nie przyjechał.

– Słuchajcie, a może kawka? – odezwała się Lucyna. – Mundek, zwolnij, bo miniesz Kociaka. Wanda, masz ochotę?

– Któż to wie, na co mam ochotę? – rzuciła bezmyślnie Wanda, gapiąc się na opustoszałą ulicę.

– Decyduj się szybciej, bo Mundek musi zaparkować.

Wanda najchętniej odizolowałaby się od ludzi, ale obawiała się, że w samotności jedynie pogrąży się w mętnych wodach zmartwień i bez końca będzie wizualizować chwilę, w której Murek wyrzuci ją z pracy. Bo czy ma jakąkolwiek szansę, aby wytropić tajemniczego i nieco dziwnego pisarza? Tak, kawa dobrze jej robi. I może nawet skusi się na ciacho, na koszt Mundka oczywiście.



– Co zamówić? – zapytał Mundek, gdy już zajęli stolik w Kociaku. Usiedli daleko od wejścia, w kącie przy oknie, gdzie nikt nie powinien się kręcić i im przeszkadzać.

– Kawę poproszę – powiedziała Wanda.

– Ja też i do tego kokosową babeczkę.

– A ty, Wanda, jakieś ciacho?

Ba, chorego pytają. Nie chcąc jednak wyjść na łakomą, od razu nie odpowiedziała, lecz dopiero po krótkiej, sugerującej wahanie, pauzie. Wanda doskonale zdawała sobie sprawę ze swoich problemów z pohamowaniem apetytu. Kilkanaście lat temu poważnie postanowiła wziąć się w karby, a kiedy w modę wszedł zdrowy styl życia, uznała, że podążanie tą drogą dobrze robi jej zdrowiu oraz figurze. Niestety, szybko stwierdziła, że nie jest jej to pisane. Z dawnego postanowienia zostało tylko tyle, że od czasu do czasu przypominała sobie, iż powinna o siebie zadbać, i miewała krótkie (nadmierzają krótkie) zrywy, podczas których starała się ćwiczyć i odżywiać produktami kupowanymi w sklepach z tak zwaną zdrową żywnością. Podczas tych morderczych dla ciała i zabójczych dla dobrego samopoczucia dni czuła się nieszczęśliwa, twarz jej szarzała, a włosy źle się układały, dlatego szybko i z radością wracała do starych, nagannych nawyków żywieniowych. Lucyna dobrze знаła owe zmienne stany przyjaciółki i nieraz sobie z nich żartowała, co Wanda kwitowała obojętnym wzruszeniem ramion.

– Niech będzie babeczka – odpowiedziała wreszcie i przełknęła ślinę. Kilogram w jedną czy w drugą stronę przy jej wadze nie robił już różnicy.

Lucyna popatrzyła na przyjaciółkę z uznaniem.

– Świetnie. Mundek, leć do barku – powiedziała.

Po chwili mężczyzna wrócił i od razu zabrał się do jedzenia. Wanda oszczędnym łykiem skosztowała kawy, Lucyna również upiła nieco z filiżanki i ugryzła ciastko.

– Dlaczego nie przyjechał? – zapytał Mundek i otarł usta z okruszków.

– Nie mam pojęcia! Tyle było szumu i nic z tego nie wyszło! – Wanda nerwowo przegarnęła włosy, najpierw na prawo, a potem na lewo. Ułożyły się krzywo, ale nie dbała o to.

– Nie raczył przybyć, a my warowałyśmy przy tym stoisku jak psy – dodała Lucyna. – Zresztą nie tylko my warowałyśmy, wokół pełno było obłąkanych na jego punkcie bab.

– Co na to jego wydawca? – przerwał jej Mundek.

– Twierdził, że nie wie, co się stało. Rozumiesz? Wydawca TAKIEGO pisarza nie wie, co się dzieje z jego złotą kurką! – Prychnęła z oburzeniem. – Na pięcie mi kaktus wyrasta! Gdyby żył z dziesięciu albo piętnastu autorów, mógłby nie wiedzieć, co który robi i tak dalej, ale on wydaje tylko i wyłącznie Knychałkę, tylko z niego żyje, więc to niemożliwe, aby nie wiedział, co się dzieje. Tym bardziej że sprawa była tak rozdmuchana – zakończyła.

– Poniekąd racja... – mruknął Mundek.

– Wanda, tak strasznie mi Ciebie żal... – Lucyna poklepała przyjaciółkę po dłoni.

– Mnie siebie też.

Mundek po przyjacielsku chciał Wandę przytulić, jednak przysunięcie się do niej uniemożliwiła mu stojąca między krzesłami torba. Schylił się, aby ją odsunąć, nieopatrznie ją przy tym przewracając i wysypując część zawartości na podłogę.

– Co ty za papiery ze sobą nosisz? – zdziwił się na widok licznych gęsto zadrukowanych kartek, a Wanda natychmiast rzuciła się je zbierać.

– Poczekaj, pomogę ci – powiedziała Lucyna. – Ale co to jest? – Przyjaciółka nachyliła się nad kartkami.

– Moja książka – szepnęła Wanda. – Romans napisałam...

– O Boże... – jęknęła Lucyna i przygarnęła do siebie papiery. – Romans! Przecież ty nigdy romansów nie lubiłaś. – Spojrzała na nią z zaskoczeniem.

Wanda nie odpowiedziała, tylko z rezygnacją wyłożyła kartki na stolik.

– Wyszło jak wyszło... – mruknęła.

– Cała ryza... i taką drobnicą pisana... gdyby wszystko wydać, ze trzy tomy by wyszły... Ciekawe to przynajmniej? – mruzczała pod nosem Lucyna.

Była bardzo zaskoczona, że Wandzie, zawsze gadatliwej, z sercem na dłoni i życiem bez tajemnic, niewątpliwie długi proces pisania książki udało się utrzymać w sekrecie. Przyjęła ten fakt nie tylko ze zdziwieniem, ale również z lekką urazą. Szybko jednak stwierdziła, że nie są nastolatkami, które muszą, ale to koniecznie muszą dzielić się ze sobą każdym sekretem. No niby nie są... ale jakiś niesmak pozostał.

– Pokazywałaś to już jakiemuś wydawcy? – zainteresował się równie zdziwiony Mundek. Za głupią, uchowaj Boże, nigdy Wandy nie uważał, ale w życiu nie przypuszczał, że byłaby zdolna do wyprodukowania takiej ilości tekstu.

– Nie. Postanowiłam, że zanim wyślę to jakiemuś wydawcy, zapytam o zdanie Knychałkę.

– Zupełnie obcego faceta? Chyba oszalałaś!

– Nie sądzę. – Wanda zrobiła nadąsaną minę i poprawiła włosy. – Osoby mające wspólną pasję znajdują również wspólny język.

– Język może owszem, ale ty czas chcesz mu zabrać. – Lucyna popukała palcem w leżące na stoliku kartki. – Liczysz, że przeczyta całość?

– Och, nie! Tak utalentowany pisarz wartość tekstu z pewnością potrafi ocenić po kilku

stronach. A całość zabrałam ze sobą tylko na wszelki wypadek... Nigdy nie wiadomo, którą część chciałby poznać.

Lucyna przez chwilę bawiła się łyżeczką.

– Nie mogę! Po prostu nie mogę! – wybuchnęła nagle. – Napisałaś kawał książki i zamiast najpierw mnie dać do przeczytania, ty pchasz się do obcego faceta!

– Lucyna, nie chciałam zwracać ci głowy, a poza tym to miała być niespodzianka.

– Niespodzianka?

– Tak. Tę książkę chcę zadedykować tobie.

– Och, naprawdę?... – Lucyna się rozluźniła, a na jej twarzy wykwitł głupawy uśmiech.

– Naprawdę.

Przez całe lata Wanda bliżej była z Lucyną niż z krewnymi, których miała aż w Suwałkach, i to w nader skromnej liczbie. Od czasu śmierci rodziców zaliczali się do nich bowiem tylko brat rozwodnik oraz jego córka – Iza. Od roku jednak Wanda nie odczuwała już dotkliwej nieobecności krewniaków, bo Iza sprowadziła się do Poznania, aby podjąć studia na Uniwersytecie Artystycznym, i oczywiście zamieszkała u ciotki. Dzięki temu kobieta w swoich czterech ścianach zdecydowanie nie czuła się już samotna, ale bratanica w żaden sposób nie mogła zastąpić jej przyjaciółki, którą od lat miała w Lucynie.

– Widzisz? – zwrócił się do niej Mundek. – Ty zawsze musisz z czymś wyskoczyć!

– Oj tam! – Lucyna machnęła ręką. – Ale teraz, gdy to już żadna tajemnica, dasz przeczytać?

– Nie dam, dopóki nie wydam.

Twarz Lucyny przesłoniła gradowa chmura.

– I co teraz planujesz? – Mundek zwrócił się do Wandy.

– Muszę się pokręcić w pobliżu tego wydawcy, Małoty. Ponoć jest szansa u niego złapać Knychałkę. Szefowi zależy na tym wywiadzie.

– Nie, ja o twoją książkę pytam.

– Jak znajdę Knychałkę, to chciałabym mu ją pokazać.

– Ciekawe... – mruknął Mundek przeciągle. – Kiedy zaczynasz szukać?

– Jak najszybciej. Może dziś jeszcze.

– Dziś chcesz tam jechać? Daj wydawcy odsapnąć. Przecież nawet nie wiesz, czy z Warszawy wrócił. Jutro lub pojutrze się wybierz.

Wanda w zamyśleniu pogłaskała wydruk powieści.

– Nie ma mowy. Muszę utrzymać pracę i żadne przestoje nie wchodzi w grę.

– O tak, o pracę dbaj, dbaj i trzymaj pazurami! – powiedział Mundek. – A co do książki... Zastanów się, nie lepiej najpierw nam dać ją do przeczytania?

Mundek nie znał się na szczegółach pracy wydawnictw, ale podejrzewał, że jeśli nawet tekst zakwalifikuje się do druku, na gotową książkę trzeba będzie poczekać kilka miesięcy. A jeśli się nie zakwalifikuje? To wtedy w ogóle nie przeczyta, co też tam Wanda napisała, a ciekawość paliła go jak nigdy dotąd.

– Nie! – Wanda przygarnęła do siebie kartki.

– A może niech Lucyna przeczyta? Błędów pewnie nie robisz, ale jeśli jakiś by się zaplątał, to... – Mundek nachylił się w jej stronę i przybrał fałszywie zatroskany wyraz twarzy. – Chyba nie chcesz się wygłupić przed tak znanym pisarzem?

– Wanda, nie bądź taka oporna i może faktycznie daj mi do przeczytania, co?

– Ona jest uparta – obrażonym tonem stwierdził Mundek.

– Wiecie co? Mam pomysł! – Lucyna nagle się ożywiła. – Wanda, jeśli nam nie chcesz się pochwalić, a tak bardzo pragniesz oceny pisarza z krwi i kości, spróbuj zwrócić się do kogoś

równie profesjonalnego, ale przy tym uchwytneho. Nie wiesz przecież, jak długo będziesz szukać Knychalki i czy w ogóle uda ci się go odnaleźć. Co o tym sądzisz?

– Masz kogoś na myśli? – zainteresowała się Wanda. Uwaga głupia nie była.

– MundeK, pamiętasz grubego Lurkę? – Lucyna zwróciła się do swego dwukrotnie eksmeża.

– Lurkę? – Wanda się ożywiła.

Nazwisko Lurka kojarzyło jej się tylko z jedną osobą – Stefą Lurką, znaną poznańską pisarką, która w ostatnich latach zmonopolizowała romansowy rynek wydawniczy. Od pewnego czasu starała się jej dotrzymać kroku inna poznańska pisarka – Iwona CieciorKa, która również była płodną autorką, ale gustującą w tematyce ocierającej się o pornografię. Romansów oraz pornografii Wanda nigdy nie lubiła, ceniła jednak obie panie ze względu na wydajne umysły i błyskawiczne tempo wydawania kolejnych książek. Sama zastanawiała się, jak to się stało, że mimo wrodzonej awersji ona również stała się autorką romansu, ale nie umiała udzielić sobie jednoznacznej odpowiedzi. Czyżby pchnęła ją do tego niepoprawna tęsknota za przeżyciem miłości idealnej?

– Mówicie o kimś spokrewnionym z tą Stefą Lurką? – Musiała się upewnić.

– Spokrewnionym? Facet ma gorzej. To jej mąż – odezwał się MundeK.

– Chodziliśmy razem do ogólniaka. Bartosz jest ginekologiem na Polnej – dodał.

– W zeszłym roku jeszcze się u nas strzygł – dorzuciła Lucyna.

– Naprawdę znacie męża Stefy? – Wanda poruszyła się podniecona. – Znać i nigdy mi nie powiedzieliście?!

– Ty pisałaś książkę i również się nie pochwaliłaś, poza tym nie mam obowiązku informować cię o tym, kogo znam. Wiesz, ochrona danych osobowych i te rzeczy – scenicznym szepem zakończył MundeK i puścił oczko.

Lucyna zrobiła uspokajający gest dłońmi, nakazując im, aby ucichli.

– Masz do niego jakiś kontakt? – zapytała.

– Tak. Ostatnio do mnie dzwonił w sprawie jakiegoś spotkania klasowego. Pierdoły, nie lubię takich zjazdów.

– Więc co sądzisz, Wanda? Może się uda namówić Stefę, żeby rzuciła okiem na twoją książkę? Chcesz?

Dla Wandy oczywiście pisarzem większego kalibru był Knychalka, ale poznanie Stefy byłoby ważnym wydarzeniem w jej życiu. Może i ją namówiłaby na wywiad? Szef byłby zachwycony, że Wandzie udało się porozmawiać z tą oporną pisarką, bo Lurka tylko ich gazecie do tej pory wywiadu nie udzieliła.

– Więc jak? Umówić cię z nią?

– Byłoby świetnie.



Wanda zrobiła, tak jak postanowiła. Z tropieniem Ignacego Knychalki nie zamierzała zwlekać. Po spotkaniu w Kociaku szybko udała się na Wielką, gdzie w starej kamienicy mieściła się jej kawalerka. Wpadła do mieszkanKa, na oślep rzuciła bagaż, zatrzasnęła drzwi i już zbiegała po schodach na dół. Przed domem odsapnęła chwilę i popędziła ku najbliższemu przystankowi autobusowemu. PEKĘ miała niedoładowaną, więc w kiosku kupiła bilet A+B+C, upewniła się, że ta zawiła kombinacja pozwoli jej dojechać do Lubonia, i wsiadła do tramwaju jadącego na Dębiec, by tam z kolei się przesiąść do autobusu. Adres mieszkania Fabiana Małoty wbiła sobie do głowy od razu, jak go dostała od Murka, i jeszcze tego samego dnia na mapie w Internecie sprawdziła jego lokalizację.

W Luboniu wysiadła za Centrum Pajo i zdecydowanym krokiem, godnym rodowitej mieszkanki miasteczka, przeszła skrzyżowanie, wkroczyła między bloki i poszła w dół osiedla.

Małota mieszkała na parterze, a okna jego mieszkania wychodziły wprost na śmietnik, co Wanda przyjęła z dużą radością. Mogła się tam zasadzić na czatach, co też niezwłocznie uczyniła. Obserwację dodatkowo ułatwiał jej fakt, że mieszkanie wydawcy było całkowicie oświetlone i jak na dłoni widać było, co się tam dzieje. Na razie, niestety, nie działa się nic. Nawet przez myśl jej nie przeszło, aby zadzwonić do drzwi i wprost zapytać o Knychalkę. Pora była późna, zresztą Wanda jeszcze świeżo w pamięci miała nieprzyjemny wyraz twarzy wydawcy. Postoi, popatrzy, może coś się wydarzy. Na szczęście na zawiązanie akcji długo nie musiała czekać. Do kuchni wszedł jakiś mężczyzna, nalał wody do czajnika i wstawił na kuchenkę. Wanda raz i drugi przetarła oczy ze zdumienia. Osobnik buszujący w pomieszczeniu był niski, drobnej postury, a jego zachowanie zdradzało, że w kuchni wydawcy czuł się pewnie, zupełnie jakby był jej częstym bywalcem. Jednak to nie jego pewność siebie tak ją zafrapowała, lecz uderzające podobieństwo do pisarza Knychalki, którego wizerunek знаła z wydrukowanej z Internetu kartki. Teraz, tak na wszelki wypadek, miała ją przy sobie, szybko wydobyła z kieszeni i skonfrontowała nędzną rycinę z żywym okazem. To musiał być Ignacy! Murek miał rację, że należało szukać go u wydawcy. Ale sama obecność Knychalki w tym miejscu nie stanowiła nawet połowy sukcesu. Najważniejsze zadanie wciąż było przed Wandą – nakłonienie go do udzielenia wywiadu niszowej gazecie z ambicjami wielkimi jak Himalaje. Przez głowę przeleciało jej kilka niewybrednych epitetów pod adresem kłamliwego wydawcy, który na targach w żywe oczy łął jak pies, i przystąpiła do akcji. Kartkę wsunęła do kieszeni spranej wiatrówki i ruszyła ku wejściu. Nacisnęła guzik domofonu. Po chwili usłyszała męski głos:

– Słucham?

– Ulotki – rzuciła, bo ulotkarza każdy wpuszcza. Odezwał się brzęczyk, pchnęła drzwi, szybko pokonała cztery schodki, skierowała się w lewo i załomotała do mieszkania.

Otworzył jej Małota.

– Słucham pa... – Wydawca odziany jedynie w spodnie, prezentował nagi, nędznie owłosiony tors i całkiem spory kabląg bladego brzucha. – Pani?! Co tu pani robi?!

– Ja? To pan niech mi powie, co w pańskiej kuchni robi Ignacy Knychalka? No co?!

– Knychalka... – pobladłymi ustami wyszeptał Małota. – Knychalka?! W mojej kuchni?!

– Wanda mogłaby przysiąc, że rzadkie włosy wydawcy nieznacznie uniosły się nad czaszkę.

– Oczywiście! Na własne oczy go tam widziałam!

– Fabian, z kim rozmawiasz? – Zza jego pleców wyłoniła się kobieta i widząc Wandę, dodała z niesmakiem: – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś, nim otworzysz, koszulę na siebie zarzucił?

– Daj spokój! Czy ty wiesz, co ta osoba twierdzi?

– Co takiego?

– Że u nas jest Knychalka!

Kobieta, najprawdopodobniej żona Małoty, pisnęła cienko i zasłoniła dłonią usta. W tej chwili doszedł ich z kuchni gwizd czajnika. Wanda wspięła się na palce i skupiła wzrok na powstałej między lewym ramieniem wydawcy i prawym ramieniem jego żony szparze:

– O, idzie! Ignacy Knychalka! – Wycelowała w jego kierunku palec.

Małotowie obejrzeni się błyskawicznie, a Wanda z pretensją w głosie utyskiwała:

– Jak panu nie wstyd było tak kłamać? Nie wiem, co się dzieje z Knychalką, żadnego kontaktu do niego nie mam! – przedrzeźniała go złośliwie.

– Co się dzieje? – Mężczyzna, ignorując hałasujący czajnik, zbliżył się do nich.

– Słuchaj, nie uwierzysz, ta pani twierdzi... – zaczął Małota, po czym zamilkł

i zmarszczył brwi, jakby tropił w mózgu krnąbrną, niedającą się łatwo złapać myśl.

– Że jesteś... – z obawą dokończyła jego żona.

– Powieście mi, o co chodzi? – zapytał Ignacy. Przy bliższej konfrontacji wyglądał trochę inaczej niż na zdjęciu – bródkę miał ładniej przyciętą, a i włosy staranniej ułożone niż w pociągu, ale wtedy, wiadomo, był w podróży i miał prawo wyglądać na wymiętego i zmęczonego; teraz wyglądał jak Ignacy ucywilizowany.

– Ja powiem! – szybko wyrwała się Wanda. – Nazywam się Wanda Rzążewska, pracuję w poznańskiej gazecie „Z literaturą na ty” i chciałabym z panem przeprowadzić wywiad. I najlepiej, aby był to wywiad rzeka! – Poczula, jak krew pulsuje jej w skroniach. Nic dziwnego, w tej oto chwili ważyły się jej zawodowe losy.

– Że co? – Pisarz zrobił zaskoczoną minę.

– Wywiad chciałam przeprowadzić. Z panem. Och, wiem, że pan nie nawykł do rozgłosu, ale proszę mi wierzyć, czytelniczki tak bardzo pragną dowiedzieć się o panu czegoś więcej! A już zupełnie cudownie by było, gdyby przeczytały o tym w naszej gazecie...

Przerwała i patrzyła na niego, oczekując oczywiście pozytywnej odpowiedzi. Knychałka jednak milczał z baranym wyrazem twarzy.

– Jest jeszcze jedna sprawa, od pana decyzji zależy, czy wylecę z pracy... Proszę mi nie odmawiać!

Dopiero po chwili stwierdziła, że ostatnią informację mogła zachować dla siebie. Co obcego faceta mogło obchodzić jej życie prywatne? Nie powinna była tego mówić! Ale, niestety, zdarzało się jej dość często chlapać coś, czym dzielić się z nikim nie należało. Na pociechę pogratulowała sobie, że nie wymuszyła jej się prośba, aby przeczytał jej maszynopis. Ta sprawa musiała poczekać. Walka o utrzymanie pracy była najważniejsza.

– Wywiad?! – wtrącił się Małota. – Jaki wywiad?! Kobieto! Mój autor jest tajemniczy i nic nikomu o sobie nie powie!

– Ale, zaraz, o co chodzi? – zapytał Ignacy.

– Cicho bądź! – ofuknął go Małota. – Wywiadu nie będzie, słyszy pani?

– Ale raz go udzielił. Temu dziennikarzowi z pociągu – przypomniała Wanda.

– Bo się nad nim ulitował!

– A czy nade mną ulitować się nie może? Jeśli nie zdobędę tego cholernego wywiadu, szef z roboty mnie wywali! A ja kredyt mam na głowie...

– Pani kredyt to pani sprawa, a ty – zwrócił się Małota do pisarza – idź już do tej kuchni herbatę robić! – Ale Ignacy nie ruszył się z miejsca. – Jeszcze czegoś pani potrzebuje? Może chce autograf? Ma pani kartkę i długopis?

Wanda w pierwszym odruchu chciała powiedzieć, że autograf wydawca może sobie wsadzić, ale zmilczała, bo nagle przyszło jej do głowy, że tym świstkiem będzie mogła udowodnić szefowi, iż coś jednak załatwić jej się udało. W ostateczności, gdyby tego wywiadu nigdy nie przeprowadziła, mogłaby się zwrócić do grafologa, aby pismo Knychałki przeanalizował i w gazecie mogliby przynajmniej umieścić fachową opinię. Tak, pomysł był całkiem niezły.

– Nie mam kartki ani długopisu, a ten autograf chcę. Bardzo mi się przyda.

– Dalej, Maryla, przynieś co trzeba. Niech jej Ignacy napisze.

Marylce dwa razy nie trzeba było powtarzać. Nim zniknęła w pokoju, popędziła jeszcze do kuchni i uciszyła ryczący czajnik.

– Proszę. – Podała pisarzowi kartkę i długopis. Ignacy przyłożył papier od ściany, szybko machnął niedbały bazyliem, pismo wetknął Wandzie do ręki i wykazał zamiar zamknięcia drzwi.

– Chwileczkę!

– Co jeszcze?! – Małota był naprawdę wściekły.
– Czy na ten wywiad naprawdę nie ma szans? – Wbiła w Ignacego błagalne spojrzenie.
– Nie! – szybko odpowiedział wydawca. – Nie, nie i jeszcze raz nie! On jest bardzo tajemniczy i takim ma pozostać. I niech wreszcie pani sobie idzie! – Zatrzasnął drzwi, a Wanda powoli ruszyła ku schodom.

Nie zdążyła zejść na dół, gdy usłyszała, że ktoś wyszedł z mieszkania. Obejrzała się, był to wydawca, tym razem już w koszuli. Machnął na Wandę ręką i krzyknął:

– Pani poczeka!

Znalazł się przy niej błyskawicznie.

– Jeszcze jedna rzecz, tym razem kluczowa, niech pani sobie wbije do głowy, że Ignacego Knychalki u nas pani nie widziała! Zrozumiano?!

Wanda bez przekonania skinęła głową.

– Aha, i tym autografem niech się pani nie chwali.

– Dlaczego? Mogłabym skłamać, że spotkałam Ignacego Knychalkę gdzieś na ulicy.

Wydawca poczerwieniał.

– Żadnej ulicy! Żadnych kłamstw! Niech nikomu nic pani nie mówi, zrozumiano?! Bo autograf zabiorę i na strzępy podrę! A teraz niech już pani sobie idzie i więcej się tu nie pokazuje, a i język za zębami mocno trzyma!

Małota równie szybko jak z mieszkania wypadł, tak szybko z powrotem do niego popędził. Wanda wyszła przed blok i spojrzała w jego okna. Światło było zapalone już tylko w kuchni. Nikogo tam nie dostrzegła, gdzie się więc podziali? W innym pomieszczeniu po ciemku siedzieli? Wzruszyła ramionami i powoli skierowała się ku przystankowi. Nie wiedziała, że w dużym pokoju, za storą, śledzą ją trzy pary oczu.

– Diabli ją chyba nadali! – ze złością powiedział Małota.



Było już ciemno, gdy Wanda dotarła do swojej kawalerki. Po omacku otworzyła drzwi i zapytała szeptem:

– Iza?

Nikt jej nie odpowiedział. Wymacała ręką włącznik, ale nim go nacisnęła, jeszcze raz, tym razem głośniejszym głosem, ponowiła pytanie:

– Iza?

Dalej cisza. Nacisnęła przycisk i mdłe światło rozjaśniło wnętrze mieszkanca. Odniosła wrażenie, że bałagan, który zostawiła, wyjeżdżając na targi, uległ większemu skotłowaniu, wywnioskowała więc, że bratanica podczas jej nieobecności musiała przewinąć się przez lokum, a i być może nawet w nim przenocowała. W tej chwili jednak na pewno jej nie było. A gdzie się podziewała? Któż mógł to wiedzieć? Wanda nie narzekała na wspólne życie z bratanicą, ale teraz nieobecność dziewczyny była jej na rękę. Miała święty spokój. Podeszła do łóżka i z ulgą na nim spoczęła. Kolejnym plusem nieobecności Izy było to, że całe łóżko należało do Wandy i mogła na nim przybierać pozycje, jakich zapragnęła, bez obawy, że nieopatrzny kopniakiem obudzi lub zrzuci bratanicę. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo była zmęczona. Bezowocny wyjazd do Warszawy, spotkanie w Kociaku, nieprzyjemna wizyta u wydawcy – tyle wydarzeń mogło przyprawić nie tylko o zawrót głowy, ale również o wysoką gorączkę. Tej ostatniej Wanda na szczęście nie dostała. Jak na razie oczywiście, bo przecież wszystko mogło się jeszcze zdarzyć. Och, jaka szkoda, że wynikłe okoliczności były tak niesprzyjające! W przeciwnym razie na pewno zapytałaby Knychalkę, czy rzuci okiem na jej powieść, której maszynopis oczywiście miała przy sobie. Dobrze, że przynajmniej zdobyła jego autograf. Wyjęła z kieszeni papier

z cennym bazgrołem i położyła obok siebie. Pomyślała jeszcze, że mogłaby coś zjeść – w lodówce była ogórkowa, gdyby ją podgrzała... – i pogрузzyła się w płytkim, nerwowym śnie.



Nazajutrz obudziła się wpół do jedenastej. Sobota! Jak cudownie! Jej radość dodatkowo potęgował fakt, że była już ubrana, bo przecież poprzedniego wieczoru zasnęła w tym, w czym chodziła. Zanim poszła do kuchni, rzuciła jeszcze przelotne spojrzenie na torbę, w której nadal tkwił rękopis, wzruszyła ramionami i postanowiła, że nad tym, co dalej z nim zrobić oraz jak wydusić z Ignacego wywiad, pomyśli dopiero, gdy napelni opustoszały żołądek. Ale posiłek jej nie pomógł, niczego konstruktywnego nie wymyśliła. Sięgnęła po szczotkę i wyjątkowo starannie zaczęła rozczesywać włosy. Ach, ten Murek, ach, Knychałka... Co robić? Co robić? Trzasnęły drzwi wejściowe:

– Jestem! – usłyszała. To była Iza.

– I ja również! – dodał męski głos.

Męski głos? – zdziwiła się Wanda. Podczas ostatniej rozmowy na temat damsko-męskie, jaką przeprowadziły przed miesiącem, Iza stanowczo oświadczyła, że z samcami nigdy nie chce mieć nic wspólnego:

– Oni wszyscy są tacy sami!

I temat męskiego rodu nie istniał przez kolejne trzydzieści dni, aż do dzisiaj – dnia, w którym jednak przywiodła jakiegoś samca do ciotczynej kawalerki.

– O, tu jesteś! – odkrywczo zawołała bratanica, jakby odnalezienie Wandy w maleńkiej kawalerce było naprawdę wielkim wyczynem.

– Jestem, jestem – odpowiedziała Wanda i ciekawie wyciągnęła szyję w kierunku korytarzyka.

– Norbas, chodź tutaj! – Iza pogoniła osobnika, bo coś długo marudził w przedpokoju.

– Wanda, poznaj Norbasa. Norbas, to moja ciotka, ale myślę, że możesz jej mówić na ty. Wanda, może mówić, prawda?

– Jeśli musi – mruknęła i przyjrzała się dryblasowi, który wreszcie pojawił się w jej polu widzenia.

Uczucia, które w niej wzbudził, były zróżnicowane. Typ spod krótkiego rękawka wystawił tęgie bicepsy, przy czym prawe ramię miał okraszone tatuażem. Niezręcznie jej było w niego się wgapiać, ale szybki rzut oka wystarczył, by mogła stwierdzić, że umalowany mięsień ozdobiony był na bogato, a pstry ornament wieńczył krótki napis zakończony trzema wykrzyknikami. Wanda była skłonna przypuszczać, że młodzian wydziergał na swej biednej skórze jakieś soczyste przekleństwo, a rysunek, którego nie mogła dostrzec, nie mógł być niczym innym jak tylko gołą babą. Zapewne po to potrzebna mu była, żeby nawet podczas jazdy tramwajem się na nią pogapić. Czerep, mimo młodego wieku, porządnie już mu wyłysiał, za to brodę zapuścił nieprzyzwoicie długą i obfitą, jakby chciał tym światu pokazać, że na jego ciele są jeszcze miejsca, gdzie coś mu dobrze rośnie.

– Przedwczoraj go poznałam – lekko rzuciła Iza. Ładna z niej była dziewczyna. Drobną, o porcelanowej cerze, z długimi blond włosami. Wanda nieraz się zastanawiała, po kim ta mała jest taka jasna, skoro wszyscy w rodzinie zawsze byli kruczoczarni, a i jej własna matka miała ciemne włosy? Nigdy głośno nie wyraziła swych podejrzeń, ale gdy brat przyłapał kiedyś swą żonę na figlach z sąsiadem, Wanda nabrała brzydkich podejrzeń. A nuż Izka była obca? Kochała ją jednak niemal tak, jakby była jej własnym dzieckiem, bo co mała winna, że jej matka miewała lewe ciągotki? Przygarnęła Izę pod swój dach, opłat żadnych nie brała i na własny koszt żywiła. Dałby Bóg, żeby dziewczyna na takie cwane nasienie jak jej rodzicielka nigdy nie wyrosła.

Westchnęła, a Iza, nie mogąc się doczekać od ciotki jakiegokolwiek komentarza, zabrała dryblasza do kuchni na herbatkę.

Tymczasem Wanda wyjęła z torby rękopis, wśród piętrzących się na stoliku papierów wymacała ogryziony ołówek i szybko, na pierwszej stronie wydruku, coś napisała. Potem znów wsadziła papiery do swej przepastnej torby, rzuciła w progu krótkie: – Wychodzę! – i już zbiegała schodami, myślami krążąc przy bloku Małoty.



Na pętłę dotarła tak szybko, że znalazłszy się na miejscu, kilka chwil zastanawiała się, jakim środkiem lokomocji udało jej się tam dojechać – autobusem czy tramwajem? Jej myśli ustawicznie krążyły wokół pisarza oraz sposobu, w jaki mogłaby nakłonić go do wywiadu oraz oceny jej powieści. Przy tym wszystkim oczywiste było, że priorytetem był wywiad, bo wiadomo – kredyt spłacać trzeba, a i coś jeść również. W autobusie do Lubonia, torując sobie drogę łokciami, przepchnęła się do wolnego siedzenia przy oknie. Mocno się skupiła i licząc się z koniecznością rozmowy z Małotą, zaczęła obmyślać warianty wyjaśnień swego ponownego tam przyjazdu. Wysiadła na tym samym przystanku co ostatnio i ruszyła tą samą drogą co poprzednio – ulicą w dół, między blokami. Już zbliżyła się do śmietnika, już wydawało jej się, że widzi domofon, gdy drzwi wejściowe się otworzyły i z blokowej czeluści wyłoniła się sylwetka... Ignacego! Wanda przystanęła. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności! Jak dobrze, że Knychalka akurat teraz wyszedł z domu i jak dobrze, że był sam!

– Panie Ignacy! – krzyknęła i machnęła ręką, żeby od razu ją zauważył i aby czasem nie przyszło mu do głowy puścić się biegiem tam, dokąd się wybierał, bo ona rady by mu nie dała. W porównaniu z chudziutkim pisarzem wyglądała wręcz grubo. Niewątpliwie by jej uciekł, a ona dostałaby zadyszki i, kto wie, być może nawet udusiłaby się z niemożności złapania oddechu. Knychalka przystanął spłoszony i rozpoznał zbliżającą się Wandę. Uśmiechnął się niepewnie i poprawił wiszącą na ramieniu torbę.

– Panie Ignacy! – Wanda wreszcie się z nim zrównała. – Jak dobrze, że pana zastałam, bo... – Rzuciła czujne spojrzenie na okna lokum wydawcy. Małota w każdej chwili mógł zapragnąć powyglądać na świat i do którejś szyby podleźć, a wtedy na pewno by ich zobaczył, co wcale a wcale dobre by nie było. Nie, ryzykować nie mogła. Złapała pisarza pod łokieć i tak szybko pociągnęła za róg budynku, że nawet nie zdążył pisnąć słowa protestu.

– Co jest... – mruknął dopiero, gdy stali już na trawniku za blokiem.

– Ostrożność, to tylko ostrożność...

– Niech mnie pani puści! – Wyszarpnął się z zaborczego uścisku. – I w ogóle co pani tu robi?!

– Znów w drogę pan rusza? Tak panu tej kolei brakuje? – odpowiedziała pytaniem, bo nagle przyszło jej do głowy, że Knychalka z tą torbą na ramieniu robił przymiarkę do powrotu do tułaczego życia. Widać taki już był – by pisać, jeździć musiał. Ale cóż... nikt nie jest doskonały. Wanda miała lekką nadwagę, a on ciągotki do kolei państwowych.

– Niech się pani ode mnie odczepi! – pisnął z rozpaczą i już kierował się na chodnik.

– Chwila. – Wanda stanowczo przytrzymała go za ramię. Nie chciała go urazić, przestraszyć czy, uchowaj Boże, wyjść na nachalnego babiszona, ale aby się zatrzymał, w uścisk musiała włożyć więcej siły niż ostatnio, co też uczyniła, a co musiało sprawić mu ból, bo syknął.

– Wrzeszczeć będę, że baba mnie ściska! – zawołał Knychalka.

– Nim zaczniesz pan wrzeszczeć, niech mnie pan najpierw wysłucha! – Wanda również się zdenerwowała, bo rozmowa wymykała jej się spod kontroli i zmierzała w kierunku, który jej się nie podobał.

– Tylko szybko!

Wanda puściła jego rękę, a on ostentacyjnie ją rozmasował.

– Jeśli nie udzieli mi pan tego wywiadu, wylecę z pracy! – przypomniała mu z desperacją, bo nie wiedziała, od czego zacząć.

– Małota wczoraj pani powiedział, że niczego udzielać nie będę.

– Małota, Małota... Dlaczego tak pan go słucha? A jakie jest pana zdanie? Ma pan własne?

– A co to panią obchodzi?!

– Obchodzi, bo...

– Tak, wiem. Praca i kredyt.

– O, właśnie. Więc co? Zgodzi się pan? – zapytała z nadzieją.

– Nie, nie i jeszcze raz nie!

Wandę zapiekło pod powiekami, zamrugwała szybko, ale nic to nie pomogło, bo po kilku sekundach jej oczy wezbrały łzami. Cicho załkała. Nie była wprawdzie pewna, czy zapłakała szczerze, czy z premedytacją, ale wyszło jej to tak sugestywnie, że w końcu sama własnym płaczem się wzruszyła i łzy trysnęły jej obficie niczym woda z fontanny.

Mężczyzna zmarszczył brwi i przyglądał się lamentującej kobiecie z przerażeniem oraz niedowierzaniem.

– Już dobrze, no... – Z wahaniem poklepał ją po plecach.

– Zgodzi się pan?

– Nie.

– Ale dlaczego? To tylko kilka pytań... – Wanda pociągnęła nosem.

– Nie będę... bo nie!

Wyjęła z kieszeni chusteczkę i wytarła nią oczy, a następnie nos. Jak dobrze, że rano się nie pomalowała!

– Mógłby pan nie być tak definitywny? Może jeszcze pan pomyśli? Ja poczekam...

Ignacy milczał uparcie, oczy wbił w pobliski blok.

– Więc jak? Zastanowi się pan?

Wandzie znów na płacz się zebrało. Kredyt, jedzenie! Pod most pójdzie, bo ten tutaj ma focha, fanaberie i słucha własnego wydawcy jak jakiegoś guru, wyroczni, albo i samej alfy z omegą zmieszanej.

– Może... – odezwał się tak cichutko, że Wandzie wydało się, iż się przesłyszała. – Może się zastanowię... ale niczego nie obiecuję!

Wobec takich słów Wanda musiała reagować błyskawicznie.

– Skoro tak, pozwolę sobie poprosić pana o coś jeszcze...

– Na Boga! Kobieto! – wykrzyknął z przerażeniem, ale na widok jej ponownie pełnych łez oczu spasował nieco. – Co jeszcze?...

– Och... bo w sumie nie wiem, czy jednak wypada?

– Niech się pani nie kryguje. Słucham. Czego jeszcze pani ode mnie chce? W końcu zgodzić się nie muszę, zawsze mogę tylko wziąć to pod rozwagę. Jak ten... wywiad. – Zgrzytnął zębami.

– Panie Ignacy... napisałam książkę i chciałabym, aby ją pan przeczytał oraz ocenił, czy nadaje się do zaproponowania wydawcom.

– Książkę? Ja miałbym ocenić pani książkę?! Przecież to jest... niedorzeczne jakieś!

– Dlaczego niedorzeczne? Pana książki nie schodzą z list bestsellerów. Przecież kto jak kto, ale pan zna się na pisaniu...

Wanda się stropiła. Cóż, jeśli Knychalka się nie zgodzi, przełknie tę gorzką pigułkę, ale

długo będzie jej bardzo, bardzo przykro. Ignacy przestąpił z nogi na nogę i przygryzł wargę. Książkę! Też wymyśliła! Ale leż tej całkiem ładnej, chociaż niezmiernie nachalnej, baby oglądać już nie chciał.

– Niech pani da te papierzyska – mruknął, bacznie się wpatrując, czy kobiecina znów nie ryknie bekiem. – Chciałem powiedzieć książkę.

Wanda szybko sięgnęła do torby i wyjęła wydruk.

– Jezus Maria! – jęknął Knychałka, zaskoczony liczbą kartek, które, ma się rozumieć, zadrukowane były dwustronnie.

Wandzie ponownie zaszkliły się oczy.

– Niech już pani nie ryczy, ludzie się gapią.

– Prze... przepraszam... – Westchnęła. – Naprawdę nie wiem, co mi się stało. To z emocji, że pan, że ja... i tak w ogóle...

Zaczęła jej się trząść broda. Widząc to, Knychałka próbował natychmiast zakończyć rozmowę.

– Dość, dość! Idę już, bo się spóźnię.

– Kiedy pan wróci? I czy w ogóle wróci?... Bo przecież ten wywiad... Zastanowi się pan?

– Przecież powiedziałem, że się zastanowię – mruknął.

– Ale na pewno pan wróci?

– Wróć! Muszę, bo... – Zamilkł, jakby szukał właściwej odpowiedzi.

– Bo?

– Bo muszę!

– Musi pan czy chce? – Wcześniejsze wzruszenie nie pozbawiło Wandy czujności i dociekliwości.

– Muszę... muszę, bo... bo u Małoty kończę książkę! – rzucił z ulgą.

– Naprawdę?! – zakrzyknęła z radością. Cóż za wspaniała wiadomość! Jeśli nawet Knychałka nie udzieli jej wywiadu, Wanda miała już jego autograf oraz bezcenną informację, że u swojego wydawcy kończy pisanie powieści, a do tak sensacyjnej wiadomości zawsze można dobudować przynajmniej trzystronicową teorię!

– Naprawdę. Ale teraz muszę już iść.

Wanda najchętniej poszłaby czy pojechała wraz z nim tam, dokąd się wybierał, ale nie śmiała mu tego proponować, a już na bezczelne szpiegowanie nie chciała sobie pozwalać. W tym momencie musiało wystarczyć jej tylko tyle.

– Więc? – zapytała wyczekująco.

– Więc odezwę się do pani, gdy tylko wszystko przeczytam.

– Na pierwszej stronie zapisałam moje zamiary – dodała szybko.

– Świetnie. Teraz idę i proszę mnie nie śledzić! – Spojrzał na nią groźnie. – Aha, mam prośbę... Proszę nikomu nie mówić, że mnie pani tu spotkała.

– Dobrze...

– Obiecuje pani?

– Obiecuje...

– Ale na pewno?

– Co mnie pan tak przydusza?! Jeśli mówię, że nikomu nie powiem, to nie powiem! – z bólem obiecała Wanda, a było jej to bardzo nie na rękę. Taki news wzmocniony posiadaniem autografem na pewno skutecznie przyhamowałby zapędy Murka, żeby wyrzucić ją z pracy. Poza tym ona sama to spotkanie poczytywała za swój sukces i miałaby nim się nie pochwalić? Nawet Lucynie?

– Idzie pan na przystanek? – Szybko zmieniła temat, żeby Ignacy przestał zmuszać ją do powtarzania niewygodnej obietnicy.

– Tak, a co?

– Świetnie się składa, bo ja też na przystanek muszę i ten kawałek moglibyśmy razem...

– Niech się pani nie waży! Najpierw na przystanek pójde ja, a potem przyjdzie pani.

A gdyby się złożyło, że nadal tam będę, niech pani do mnie nie podchodzi. Gdy wsiądę do autobusu, pani wsiądzie dopiero do następnego, jasne?

Wanda skinęła głową.

Ignacy upchnął jej rękopis do torby, trzema susami pokonał trawnik, a na chodniku, nie oglądając się już za siebie, puścił się pędem w kierunku przystanku.



Niedzielę Wanda spędziła ubrana w stary szlafrok i własnoręcznie wydziergane skarpetki. Bezmyślnie snuła się od okna do okna, co znaczyło tyle, że przemieszczała się między łazienką a pokojem, bo kuchnia okna nie miała. Głodu nie odczuwała, zresztą nawet gdyby chciała, i tak nie bardzo miałyby co zjeść, bo Iza (nie, z pewnością to nie Iza, tylko ten Norbas, zakąła przebrzydły!) doszczętnie wyczyściła lodówkę. Dopiero gdy porządnie zgłodnieję, ruszę się na zakupy – postanowiła w łazience, zawróciła i w zamyśleniu podreptała do pokoju. Około południa zaparzyła kubek kawy i sięgnęła po niedawno rozpoczętą lekturę. *Mumia* Tess Gerritsen była kolejną czytaną przez Wandę książką tej autorki. Lubiła jej mocne pióro przemieszane z łagodnością, którą w thrillery potrafiły tchnąć tylko i wyłącznie tworzące je kobiety. Miała do doczytania ostatni rozdział, jednak upragnionego zakończenia zgłębić nie zdążyła, bo zadzwonił domofon. Westchnęła i z niechęcią podniosła się z miejsca.

– Kto tam?

– My.

Głos odpowiadającej osoby należał do Lucyny i nie trzeba było proroka, aby się domyślić, że drugą personą tworzącą to *my* musiał być Mundek. Ten wredny, złośliwy typ, z którym jej przyjaciółka po dwóch rozwodach znów się zeszyła i z którym w ustawicznej szarpaninie zapewne dożyje końca swych dni. Wanda nie mogła się nadziwić, jak ten szczwany lis podszedł rozsądną kobietę, że znów chwycił ją w swoje łapy, ale w końcu miał po temu tysiąc okazji dziennie. Wszak razem pracowali i nie mogli zupełnie się od siebie odcepić, jak powinny to czynić rozwiedzione pary. Tego, że to Lucyna mogła zabiegać o Mundka, Wanda pod uwagę nie brała.

– Ale śmierdzi na tej twojej klatce! – Lucyna. marszcząc nos, wkroczyła do kawalerki Wandy.

– To przez koty. Napijcie się czegoś?

– Nie, nie mamy czasu – odpowiedziała szybko Lucyna. – Idziemy zaraz coś zjeść na Stary Rynek i stwierdziliśmy, że wpadniemy, żeby osobiście ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Ha! Bomba! Mundek bombę ci załatwił!

– Jaką bombę?... – Wanda zrobiła wielkie oczy.

– Bombę, czyli spotkanie z Lurką! Jesteś z nią umówiona!

– Naprawdę?! Naprawdę ci się udało?! – Wanda była wniebowzięta. Poznać osobiście najbardziej znaną poznańską pisarkę to nie byle jaka sprawa! Może i ten Mundek bywał złośliwy, ale w gruncie rzeczy odwalił kawał dobrej roboty, że umówił ją z tak ważną osobą. Byłoby cudownie, gdyby udało jej się przeprowadzić z Lurką wywiad rzekę, a i może, kto wie, uzyskać polecającą opinię na temat jej powieści? A gdyby do tego jeszcze zdobyła recenzję Knychalki

i oboje byliby pozytywnie zgodni... Och! Tyle szczęścia pomieścić w sobie chyba nie zdołała! Żałowała tylko, że o spotkaniu z pisarzem nie mogła powiedzieć Lucynie. W końcu prosił ją o dyskrecję. Szkoda, naprawdę szkoda, że nie mogła pisać choćby najmniejszego słówka...

– Wanda... – zaczęła Lucyna.

– Tak?

– W zasadzie aż tak bardzo się nie śpieszymy, żebyśmy nie mogli rzucić okiem na to twoje dzieło... W Kociaku tak szybko je zgarnęłaś, że nie zdążyłam przeczytać nawet pierwszego zdania, że o tytule nie wspomnę – kontynuowała z wyrzutem. – Za to, że załatwiliśmy ci Lurkę, mogłabyś nam chociaż kawałek tej swojej książki pokazać...

– Niby tak... – Wanda zaczęła się wahać. Niespodzianki i tak już nie będzie, więc ostatecznie czemu nie... ale był jeszcze mały problem.

– I co się tak zastanawiasz? – odezwał się Mundek. – Boisz się, że w pięć minut tekst przeczytamy i polecimy do domu plagiata produkować? Pokaż te papierzyska, na co czekasz?

Problem nie tkwił w plagiacie, tylko w tym, że Wanda maszynopisu już w posiadaniu nie miała, bo przecież dostał go Knychalka, a ona obiecała trzymać spotkanie w tajemnicy. Od biedy mogłaby włączyć laptop i pokazać im tekst na monitorze. Ale Mundek chciał wydruk, więc gdy ona włączy komputer, on zapyta, dlaczego nie dała powieści na papierze, i co mu powie? Ma kłamać? Mogłaby spróbować, ale nigdy tego robić ani nie lubiła, ani nawet nie umiała. Postanowiła spróbować odwrócić ich uwagę. Zagadać jakoś, może o książce zapomną i przestaną się domagać jej przejrzenia?

– Naprawdę nie mówiłam wam, jaki ma tytuł? – powiedziała.

– Nie.

– *Wolność skowronka.*

Wanda wiedziała, że tytuł jest dość dziwny, ale właśnie taki jako pierwszy przyszedł jej na myśl i żaden inny już jej się nie podobał. Uważnie patrzyła na Lucynę i Mundka. Z ich oczu, bądź mowy ciała, chciała wyczytać wrażenie, jakie tytuł na nich wywarł, ale w żaden sposób się z tym nie zdradzili i Wanda nie wiedziała, co o nim sądzą. Jej zdaniem tytuł był bardzo poetycki. Wpadł jej do głowy któregoś wieczoru, niemal przy końcu pisania książki, gdy za oknem śpiewał jakiś ptak. Z dumą wpisała tytuł na pierwszą stronę i dopiero wtedy dotarło do niej, że do treści książki ma się on nijak, żeby nie powiedzieć, że pasuje jak świni siodło.

– *Wolność skowronka?* To brzmi tak, hm... ornitologicznie. Pewna jesteś, że romans napisałaś? – W Lucyny głosie brzmiało głębokie powątpiewanie.

– Oczywiście, że romans! Treść na to wskazuje.

– A jaka jest ta treść, że na romans wskazuje? – Mundek ziewnął. – Daj przeczytać chociaż kawałek, żebym wyrobił sobie własne zdanie.

Wanda liczyła na to, że dyskusja nad dziwnym tytułem książki bardziej się rozwinie, stanie się żywiołowa, aż w końcu Lucyna z Mundkiem stwierdzą, że muszą już iść, ku jej uldze wreszcie to zrobią, a ona nie będzie musiała włączać komputera i tłumaczyć, dlaczego nie daje im tego cholernego wydruku.

– Na co czekasz? – popędził ją Mundek.

– Na nic. Czy ja wyglądam na osobę czekającą?

– Oczywiście. Pokaż wydruk.

– Aha, wydruk... jasne...

– Wszystko z tobą w porządku? – zapytał, podejrzliwie jej się przyglądając.

– Pewnie, a co?

– Książka.

Dalsze granie na zwłokę nie miało sensu.

– Poczekaj, włączę laptop.

– Niczego nie włączaj, dawaj kartki. Wiesz dobrze, że nie lubię komputerów – powiedział Mundek.

– O! Otóż to! Wcale mnie to nie dziwi. Cały dzień nożyczki w rękach trzymasz, więc trochę techniki budzi niechęć. A powinieneś się przełamać. Od postępu nie uciekniesz...

– Nie zagaduj. Dawaj wydruk, gdzie go masz? Niech przerzucę kilka stron. Całości i tak nie przejrzę, bo robię się już głodna – wtrąciła Lucyna.

Wanda głośno wciągnęła powietrze i przymknęła oczy. Uporczywie domagali się wydruku, którego już nie miała, co więc powinna zrobić? Jakie kłamstwo wymyślić, żeby nie zdradzić wiążącej ją tajemnicy?

– Nie mam go... nie mam tego wydruku – wyrzuciła z siebie z heroicznym niemal trudem.

– Jak to nie masz? Dlaczego nie masz? Ukradli ci? Zgubiłaś? W tramwaju zostawiłaś?!

– Nie... nic z tych rzeczy.

– Co się więc stało, że tak zbladłaś?

Mocno walczyła ze sobą, aby nie powiedzieć o spotkaniu z Ignacym, ale tkwiące w głębi duszy pragnienie podzielenia się wielką radością spowodowało, że informacja o pisarzu w sposób niekontrolowany w końcu wypłynęła z jej ust. Na pewno nikomu tego nie powtórzą – natychmiast się pocieszyła i na dobre się odkorkowała, w wyniku czego zwierzenia popłynęły szeroką strugą. Oczywiście kilka razy na wszystkie świętości zaklinała Lucynę i Mundka, żeby o zdarzeniu nikomu nie mówili. Lucyna, rzecz jasna, obiecywała, że nie powie, Mundek zaś zbywał wszystko obojętnym machnięciem ręki.

– Najgorsze jest to, że na wywiad się jednak nie zgodził... – zakończyła Wanda.

– Nie dramatyzuj. Przecież obiecał się zastanowić. Daj mu czas.

– Jak się umówiliście? – zapytał Mundek.

– Powiedział, że się odezwie.

– Czyli zadzwoni?

– Mam nadzieję.

Ileż by dała, aby Ignacy się do niej odezwał! Nie do końca mu jednak ufała. Któż to wiedział, na jaki pomysł wpadnie? Po tego typu indywidualium można się było spodziewać najdziwniejszych rzeczy. Niewykluczone, że wybitnie utalentowany pisarz deklarację *odezwę się* rozumiał całkiem odmiennie niż zwykły śmiertelnik.

– Dałam mu telefon, adres też, więc pole manewru ma duże. Może włączę laptop i rzucicie okiem na tekst? Nadal chcecie?

– Nie. Nie mamy już czasu – powiedziała Lucyna i ostentacyjnie przejechała dłonią po włosach, a następnie kilkakrotnie, jakby chciała strząsnąć z ręki coś, co się do niej przyczepiło, zademonstrowała Wandzie piękną, wyglądającą na złotą, bransoletę.

O, pomyślała Wanda, zapewne prezent od Mundka. Ten to ma podejście do kobiet.

– Ale dla Lurki od razu wydrukuj – dodała jeszcze Lucyna – bo Mundek umówił cię na siedemnastą.

– Na siedemnastą kiedy?

– Dzisiaj.

– Dzisiaj?! I dopiero teraz mi to mówisz?!

– Mundek, naprawdę jej nie mówiliśmy, że to dzisiaj? – Lucyna zwróciła się do byłego.

– Chyba nie, ale już wie i niech się szykuje.

Lucyna sięgnęła po leżące na stole kartkę i długopis.

– Zapiszę ci adres. Ale teraz, gdy zakręcony Ignacy ma twój tekst, niech ci nie przyjdzie

do głowy puścić Lurki kantem! – Lucyna pogroziła Wandzie placem.

– Coś ty! Taką pisarkę?! Ale chyba jest pewien problem... – Wanda podeszła do szafki stojącej obok stolika, otworzyła ją i zajrzała do wnętrza. – Jest tak, jak myślałam...

– Co znowu?

– Nie mam już papieru i nie mogę wydrukować całego tekstu.

– Nie masz nawet kilku kartek?

– Kilka chyba jest... może na dwa rozdziały.

– W takim razie wydrukuj, ile możesz, żeby ogólny pogląd na twoje pisanie miała, i idź do niej, do cholery, idź!

– W porządku. Nie denerwuj się tak!

Wanda zerknęła na zapisany adres. Lurka mieszkała na Sołacz, nie było to aż tak daleko, zastanowi się więc, czy wybierze się do niej pieszo, czy pojedzie tramwajem.

– Aha, Mundek...

– Co?

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Oby ci pomogła.

Aż taki zły ten Mundek nie był – kupił Lucynie złotą bransoletę, a i Wandzie spotkanie ze znaną pisarką załatwił. Do tego nieźle strzyże włosy, wprowadzie tylko męskie, ale lepsze takie niż żadne.



Po wyjściu Lucyny i Mundka Wanda musiała się spieszyć. Nie wiedziała, ile czasu mogła jej zająć umówiona wizyta, a musiała jeszcze coś ugotować, cokolwiek, żeby wystarczyło przynajmniej do środy. W zamrażarce wyszperała starą kość, w szafce znalazła kaszę, w kubie pod zlewem kilka ziemniaków i w ten sposób zyskała podstawy do uwarzenia ubogiej wersji krupniku. Nastawiła zupę i ruszyła do szafy. Dzień był pochmurny i wietrzny, lato nie mogło się rozkręcić i podobno takie kiepskie miało być ciągle, ponieważ gdzieś na Pacyfiku pojawiło się tajemnicze zjawisko pogodowe zwane El Niño, które było odpowiedzialne za psucie w Europie pogody. To wszystko Wanda usłyszała w radiu i takie wytłumaczenie jej wystarczało – winny się znalazł i to było najważniejsze.

Otworzyła szafę. Na podłogę wypadło kilka ciuchów Izy, podniosła je i odłożyła na stolik obok laptopa. Rzuciła okiem za okno – zaczynało padać. Sięgnęła po długą spódnicę i ażurowy, jasnobrązowy sweter. Zrobiła go własnoręcznie dobrych kilka lat temu i był on jej debiutem w zakresie splotów ażurowych. W krótkim czasie Wanda osiągnęła mistrzostwo w dzierganiu rozmaitych części garderoby i dzięki temu z powodzeniem sobie dorabiała, łatając dziury w budżecie. A było co łatać, bo Iza wody nie oszczędzała oraz późno w noc paliła światło. Czytanie zasadniczo ludziom nie szkodzi, ale na pewno szkodziło Wandy rachunkom. Bratanicy jednak nigdy niczego nie wymawiała i nie miała zamiaru kiedykolwiek tego robić. Biedaczka przez życie pokiereszowana – myślała o niej Wanda – ojciec niezidentyfikowany, matka – łajdaczka, trzeba małej w życiu ulżyć. Ponadto Wanda nieśmiało nadzieje pokładała w swojej książce. Może nie od razu liczyła na zepchnięcie z list bestsellerów Lurki czy Cieciorki, ale na jakieś, choćby symboliczne, honorarium miała nadzieję.

Była już niemal gotowa do wyjścia, garnek z krupnikiem studził się w zlewie z zimną wodą, gdy wróciła Iza. Tym razem była sama.

– O, dobrze, że jesteś – powiedziała Wanda. – W kuchni masz świeżą zupę i zrób, proszę, jakieś zakupy. Pieniądze są w puszcze, tam gdzie zawsze.

– Wychodzisz?

– Tak, mam spotkanie z Lurką, wiesz, tą pisarką.

Iza wiedziała, o kogo chodzi, bo spośród wielu napisanych przez Lurkę książek przeczytała jedną, wprawdzie nie do końca, ale wystarczyło, by wyrobić sobie zdanie, od którego nie chciała odstąpić.

– Tą grafomanką?

Iza, z racji wspólnego mieszkania, od początku wiedziała, że ciotka pisze książkę. Nawet ją do tego dopingowała, zaglądała przez ramię i wytykała fragmenty, które według niej brzmiały kiczowato i zbyt pompatycznie.

– Nie mów tak o niej – lodowato pouczyła ją Wanda.

– Po co do niej idziesz? I skąd masz zamiar?

Wanda westchnęła, zdjęła buty i usiadła w fotelu, by w wygodnej pozycji opowiedzieć Izie – bo przecież wcześniej nie miała po temu okazji – o wypadkach ostatnich dni. Skoro się już odkorkowała, to definitywnie, dla wszystkich, żeby sprawiedliwie było.

– Naprawdę?! – Iza pisnęła radośnie i klasnęła w dłonie. – Wandziu, ciotko ty moja, jak się cieszę, że dopadłaś tego pisarza! Bo już się martwiłam, że na bruku wylądujemy! Ale naprawdę musisz iść do Lurki? Jeszcze ci w głowie namiesza albo z zazdrości źle doradzi. Machnij na nią ręką i trzymaj się Knychalki.

– Machnąć ręką na taką pisarkę? Przecież ją poznać to dla mnie zaszczyt!

– A jeśli ukradnie ci pomysł?

Wanda zamarła. Takiej opcji pod uwagę nie wzięła.

– Nie strasz – powiedziała ostrożnie.

– Nie mam takiego zamiaru! Baba, która wydała tak wiele książek, prędzej czy później stanie pod ścianą. Mózg pracy odmówi, więc zaczniesz kombinować, bo jak lew stanie się głodna pomysłów! Ty na tę Lurkę uważaj! Dobrze ci radzę! Dawaj te papiery! – Iza wydarła jej z ręki plik i podzieliła na dwie części – pierwszą stanowiła jedna kartka, a drugą pozostałe. Iza wręczyła Wandzie pierwszą z wydzielonych części.

– Tyle jej pokażesz i nie waż się opowiadać treści! Ten pisarz... jak mu było...

– Ignacy Knychalka – podpowiedziała Wanda.

– Ten Knychalka na pewno już czyta twoją książkę, więc tym, co powie Lurka, tak bardzo się nie przejmuj.

– A jeśli dobrze powie?

– O, to wtedy co innego. Ale raczej się nie spodziewaj. Pamiętaj, jesteś dla niej potencjalnym zagrożeniem.

– Ale co ona sobie o mnie pomyśli, jeśli dam jej tylko jedną kartkę?

Wanda jednak w gruncie rzeczy musiała przyznać Izie rację. Takiej możliwości pod uwagę nie wzięła, a przecież te dwa rozdziały, które pierwotnie chciała pisarce zaprezentować, były tak napisane, że bez trudu mogłaby się domyślić, co będzie dalej, słusznie więc Iza radziła, aby aż tyle jej nie pokazywać.

– Niech myśli, co chce. I tak ci nie pomoże, zobaczysz.

– Po tym, co jej pokażę, nawet nie będzie miała takiej możliwości. Przecież na pierwszej stronie jest tylko tytuł, a na drugiej tekst zaczyna się dopiero od połowy... Zaraz... dlaczego od połowy?... – Wanda podrapała się po głowie. – Na poprzednim wydruku zaczynał się od góry.

– Coś kliknęłaś i się przesunął, ale ty się ciesz. Będzie miała mniej do zerżnięcia. No dobra. – Iza pogładziła się po chudym brzuchu. – Mówiłaś, że w kuchni jest coś do jedzenia.

– Krupnik. I pamiętaj, dokup coś jeszcze, chleb i jakiś obkład. Zresztą wszystkiego brakuje, więc bierz w sklepie, co popadnie, tylko uważaj, żeby ci pieniędzy wystarczyło. I normalne jedzenie kupuj, broń Boże żadne eko! – zaznaczyła, bo bała się, że na tak zwaną

zdrową żywność Izie może zabraknąć pieniędzy, a ponadto do robienia tego typu zakupów tylko jedną osobę uważała za odpowiednio kompetentną – siebie oczywiście, i to tylko w dniach, kiedy miała fazę na zdrowe odżywianie.

– Dobrze, dobrze. Aha, niedługo ma wpaść Norbas, czy on również może tego krupniku... – Iza pytająco zawiesiła głos.

– Może. – Wanda z politowaniem popatrzyła na pojedynczą, w dodatku tak skromnie zadrukowaną kartkę, ponownie założyła stare sandały, które prawdę mówiąc, do niczego jej nie pasowały, a do tej pory nie wyrzuciła ich tylko dlatego, że były bardzo wygodne. Ten jedyny plus znoszonych sandałów wydał jej się w tym momencie nader istotny, ponieważ do Lurki postanowiła iść pieszo.

– Nie zapomnij o zakupach. A ten twój Norbas niech ci pomoże je nieść.



Zmienna ta aura była tego roku, oj zmienna. Pierwsze krople deszczu Wanda zauważyła już podczas ubierania się i jakiś czas pamiętała, aby zabrać parasol, jednak potem, gdy przyszła Iza, zupełnie wyleciało jej to z głowy. Padało jednak krótko, znów wyszło słońce, przyświeciło i porządnie przygrzało, dzięki czemu Wanda wprawdzie nie zmokła, ale czy z to powodu emocji, czy z powodu swetra – nic to, że ażurowego – porządnie się spociła.

Aleja Wielkopolska zawsze ją zachwycała, wprost uwielbiała przechadzać się pod starymi kasztanowcami. Teraz miała po temu okazję, bo pisarka mieszkała na samym końcu alei w starej, zabytkowej willi. Wanda nieraz podczas spacerów widziała ten obrosnięty bluszczem dom i zastanawiała się, ile kilogramów pajaków ukrywa się w liściach porastających go roślin. Wzdrygała się przy tym, bo akurat tych istot nie cierpiała jak żadnego innego stworzenia na świecie i takiej zarośniętej willi za darmo by nie chciała, ba, nie chciałaby jej, nawet gdyby jej dopłacano. Drogę do pisarki umilała sobie optymistycznym planowaniem wywiadu z Knychalką i wizualizacją miny Murka, gdy mu oznajmi, że już z pisarzem rozmawiała, posiada jego autograf, a dodatkowo wie, dlaczego przebywa on w Luboniu. Może za te wieści dostanie premię? Mogłaby ją odłożyć na czasy, kiedy Murek w końcu wyrzuci ją z pracy, bo za grosz mu nie ufała i czuła przez skórę, że prędzej czy później to nastąpi. Na razie jednak myślała optymistycznie i tak się w swych rozmyślaniach zagłębiła, że Lurka zupełnie wyparowała jej z głowy. Zwolniła kroku, rozglądała się po kasztanowcach, niebie, uśmiechała się, znów się rozglądała i wlokła noga za nogą. W końcu dotarła na koniec alei, spostrzegła willę i przypomniało jej się, po co tu przyszła. Spojrzała na trzymaną w dłoni kartkę. Nie wyglądała dobrze – niechcący Wanda tak ją pomięła, że wstyd było zacząć pisarce taki świstek pokazywać. Ale nic innego nie miała, położyła go więc na kolano i starannie rozprasowała dłońmi. Podeszła do krawężnika – ulica chwilowo była pusta, przebiegła więc na drugą stronę i stanęła na wprost kutej furtki. Pajaki – wzdrygnęła się, patrząc na opleciony bluszczem dom – okropieństwo! Nacisnęła dzwonek. Po chwili usłyszała brzęczyk, pchnęła furtę i wkroczyła między stare rododendrony. Przystanęła na chwilę, bo nie tylko rododendrony zwróciły jej uwagę, ale rosnące wokół domu wspaniałe stare świerki oraz tuje. Gdyby nie hałas dochodzący z ulicy, mogłaby sądzić, że znalazła się w lesie. Jeszcze rok lub dwa, a budynku zupełnie zza tego buszu widać nie będzie, pomyślała i ruszyła ścieżką w kierunku okazałego domostwa.

Drzwi willi otworzyły się powoli i na szczycie schodów stanęła najbardziej znana poznańska pisarka – Stefa Lurka. Wanda popatrzyła na nią z niekłamanym zachwytem. Lurka nie dość, że była piękna, to nosiła się tak, jak według Wandy powinna się nosić prawdziwa pisarka – elegancko i wytwornie. Efektowny kapelusz wieńczył wyrafinowany strój. Figurę może miała nieco kościstą, ale gracia, z jaką stała u szczytu schodów, kamuflowała ten drobny mankament,

a imponujące nakrycie głowy dodatkowo odwracało uwagę od zbyt chudej sylwetki. Wanda uważała, że w takim kapeluszu jej również byłoby dobrze, bo słusznie oceniła, że nieco do tej Stefy była podobna. Miała tak samo kruczoczarne i długie włosy, które mogła jak ona spiąć w gładki kok, a grzywki mogłaby się pozbyć, zaczesując ją do góry i przyklepując za pomocą żelu lub jakiegoś innego fryzjerskiego wynalazku. Postanowiła, że fryzurę „na Lurkę” zrobi sobie dopiero wtedy, gdy wyda własny romans. Uczesze się jak ona, na głowę założy wspaniały kapelusz, zrobi sobie zdjęcie i postara się o profesjonalną stronę internetową, której ta fota będzie ozdobą.

Tymczasem Lurka z niesmakiem mierzyła zbliżającą się postać. Czego od niej chciała ta źle ubrana, nieco przysadzista kobieta? Następna, której sławy się zachciało? Stefa uśmiechnęła się pod nosem. Już ona jej doradzi! Tak doradzi, że niedorajdzie w piąty pójdzie! Konkurencji pomagać nie zamierzała. Nigdy! Jediną pisarką, którą tolerowała, była Iwona Cieciorka. Erotyczne wypociny Cieciorki mogła przecierpieć, bo nie stanowiły konkurencji dla jej własnych wysublimowanych miłosnych historii.

Wystudiowanym gestem poprawiła chustę, która okrywała nagie ramiona, i niecierpliwie potupała stopą obutą w elegancki czarny pantofel. Nie mogła odmówić prośbie męża, bo on nie mógł odmówić prośbie jakiegoś Mundka, którego znał jeszcze z liceum i któremu coś tam zawdzięczał. A może niczego nie zawdzięczał, tylko był sentymentalny i cenił stare znajomości, przyjaźnie czy inne głupoty. Stefa nie wnikała, co powodowało jej mężem, bo wcale nie była tego ciekawa. W ogóle sprawy z nim związane niewiele ją obchodziły poza jedną jedyną kwestią – kwestią willi. Dom ten jej mąż odziedziczył po swoich rodzicach i był jego jedynym właścicielem. Stefa doskonale wiedziała, ile budynek jest wart. Z obawą brała także pod uwagę fakt, że jej mąż jako ginekolog na co dzień w sposób specyficznie intensywny obcował z płcią przeciwną, a ona przecież nie młodniała. Właśnie owe złe myśli o mężu porzucającym ją dla młodej pacjentki były głównym powodem bezsenności Stefy. Bartosz plus inna kobieta równało się Stefa Lurka wyrzucona na poznański bruk. Grała więc, w swojej ocenie oczywiście, żonę idealną i w duchu rozważała, jak by go ubiec, nim on z jakąś młódką wystawi ją do wiatru i z tej pięknej zabytkowej willi wywali. A najbardziej bolesne dla Stefy było to, że ten dom tak wspaniale uzupełniał jej pisarski wizerunek! Musiała coś wymyślić, i to jak najszybciej. Nie odmówiła więc mężowi, gdy poprosił ją, aby rzuciła okiem na twórczość jakiejś raczkującej pisarki, ale postanowiła, że za nic w świecie nie pomoże tej grafomance, a jej wypociny tak zmiesza z błotem, że już nigdy więcej kobiecina nie spróbuje brać się do pisania. Tylko gdzie ta niedojda miała rękopis? Jaką kartkę w ręce trzymała, ale tam pewnie zapisała adres. Czyżby liczyła na to, że Lurka zechce utrzymywać z nią kontakt? A może sądziła, że mejlowy adres od niej dostanie? Nie, swojego mejla na pewno jej nie da. Każe jej opowiedzieć kawałek fabuły, uda, że słucha, a potem z przyjemnością wygłosi miażdżącą krytykę. Krótko oczywiście przemówi, ale tak, aby dotarło i aby grafomanka szybko od niej wyszła, bo Lurka miała w planach popołudniową drzemkę. Diabli tę babę tu nadali! – pomyślała.

– Dzień dobry – nieśmiało powiedziała Wanda, z zachwytem w oczach chłonąc odkrywającą ramiona suknię pisarki – czarną w czerwone róże, oraz zakrywającą chudą goliznę wspaniale udrapowaną chustę. I do tego ten kapelusz! Czego prawdziwa pisarka mogła pragnąć więcej?

– Witam. – Lurka wyniosłym gestem podała jej końcówki palców. Przedstawiły się sobie, przy czym Lurka niemal natychmiast wyrzuciła z pamięci imię i nazwisko swego gościa.

– Proszę tędy. – Otworzyła drzwi willi i eleganckim gestem wskazała wejście do wnętrza. Wanda wkroczyła do środka.



W domu panowały półmrok i chłód. Wanda rozumiała już, dlaczego Lurka paradowała w zarzuconej na ramionach chuście. Pisarka zdjęła kapelusz i położyła go na małym okrągłym stoliku, przyglądała idealnie ułożone włosy i wskazała gościowi drzwi na prawo. Weszły do przestronnego salonu, z którego okien roztaczał się piękny widok. Wandzie z zazdrości zaświeciły się oczy. Tam, za tarasem... Jakiż wspaniała ogród miała ta Lurka! Czego tam nie było, co nie rosło! Wandy oko słusznie podpowiadało, że patrzy na wyjątkowo trudne w uprawie rośliny, które zostały tak posadzone, że tworzyły przepiękną kompozycję. Gatunki, owszem rozpoznawała, ale z nazwaniem ich odmian miałaby już problem. Tak, zieleń była piękna, ale tak naprawdę Wanda pozazdrościła Lurce jednej rzeczy – tarasu! Zawsze marzyła o wielkim tarasie, na który mogłaby wyjść przez prowadzące z salonu drzwi. Lurka jednak nie zamierzała podejmować tam swego gościa, co Wanda wytłumaczyła kapryśną aurą. Pisarka wskazała jej miejsce na obitej żakardowym, wzorzystym materiałem sofie, która Wandzie przywiodła na myśl teatralne rekwizyty, a w dodatku stała zbyt blisko małego stolika. Trzeba było bardzo uważać, aby podczas siadania nie stracić stojącego na nim wazonu, w którym tkwił bukiet białych i czerwonych róż. Lurka usiadła na krześle, dokładnie naprzeciw Wandy, zupełnie się nie przejmując tym, że kwiaty wzajemnie je sobie przesłaniały.

– Więc? – rzuciła oschle, a Wanda wychynęła zza wazonu, bo jakoś nie potrafiła konwersować z kimś, kto chował się za przedmiotami, nawet jeśli były tak piękne jak ów bukiet.

– Myślałam, że zna pani powód naszego spotkania...

– Znam, znam. Niech więc pani mówi.

– Właśnie... – Wandzie zaschło w ustach. Nie wiedziała, od czego zacząć, a Stefa Lurka nie zamierzała jej tego ułatwiać. Poczęstować szklanką wody również nie zamierzała.

– Tak?

Wanda zebrała się w sobie. Im szybciej powie, o co chodzi, tym szybciej stąd wyjdzie. Od pisarki bowiem biło lodowate zimno i źle się u niej czuła. Zupełnie jakbym siedziała w grobowej krypcie. Szkoda, bo liczyłam na opinię fachowca, a tu taka zgaga! – pomyślała z żalem. O wywiadzie rzece dla naszej gazety nawet jej nie wspomnę.

– Napisałam książkę i chciałam panią prosić o opinię. Mam tu kartkę...

– Z konspektem?

– Nie, z częścią książki. Dość skromną... – Położyła na stoliku zmietolony papier. Lurka wysoko podniosła idealnie wyskubane brwi, ale kartki do ręki wziąć nie zamierzała.

– Częścią? Czy to jest cały rozdział? – Niechętnie sięgnęła wreszcie po wydruk i szybko go przejrzała. – Oj, coś mi na to nie wygląda... – sama sobie udzieliła odpowiedzi.

– Otóż to. Ale pomyślałam, że jeśli ten kawałek wyda się pani rokujący, to resztę mogę dostarczyć albo mejlem przysłać.

Lurka zagłębiła się w tekst, co zajęło jej niecałą minutę. Gdy spojrzała na Wandę, jej twarz zalana była purpurą. Wstała i założyła na piersi ręce.

– I jak? – zapytała Wanda.

– Jak? Jak?! – Lurka zatrzęsała się z oburzenia i z radością w duszy przystąpiła do mieszania z błotem Wandy oraz kawałka jej nędznego tekstu. – Pani raczy sobie ze mnie, za przeproszeniem, jaja robić! To ja rezerwuję dla pani mój cenny czas, a pani przynosi kawałek takiego... takiego nie wiadomo czego!

– W każdej chwili mogę donieść resztę – cicho powtórzyła Wanda. Może nie oczekiwała peanów na cześć swego utworu, ale tak głębokiej pogardy również.

– Ależ miła pani! Pani niczego nie będzie mi donosić ani dosyłać! Po tym kawałku

wiem, co będzie dalej, i nie mam zamiaru się męczyć! I dobrze pani radzę, wydawcom również proszę głowy nie zawracać, bo takich tekstów mają na półki!

– Takich? To znaczy jakich?!

Wanda zerwała się z miejsca. W głowie jeszcze jej błysnęła myśl, by niby nieopatrznie stracić ten piękny wazon, ale w ostatniej chwili zaniechała dokonania aktu wandalizmu, bo przecież ani wazon, ani kwiaty niczemu winne nie były.

– Beznadziejnych, moja pani! Beznadziejnych! – Lurka z wyraźną przyjemnością dwukrotnie słownie pograżyła Wandy tekst. Obiecała mężowi, że spotka się z tą kobietą, bo on obiecał to jakiemuś Mundkowi, fryzjerowi na dodatek, ale mowy nie było o tym, że ona, wielka poznańska pisarka, ma tę kobietę wesprzeć. Mowa była o tym, że do twórczości ma się ustosunkować. Toteż właśnie to zrobiła. Z wielką przyjemnością, nawiasem mówiąc.

– Jak pani może?! – Wanda również spurpurowiała.

– A mogę, mogę. – Lurka uśmiechnęła się złośliwie. Niech ta mała czarnula dobrze sobie wbije do głowy, że łapy ma trzymać z dala od klawiatury! Nie żeby ten kawałek czegoś był zupełnie beznadziejny, wręcz przeciwnie, zdradzał niejaki oznaki talentu, ale tego na pewno jej nie powie. Rynek wydawniczy i bez niej był przeładowany.

– I powiem więcej, ja wiele mogę!

– Wychodzę stąd! Nie tego oczekiwałam!

– A czego? – Lurka zastąpiła jej drogę. – Myślała pani, że zemdleję z wrażenia? Nie ma nad czym, niech mi pani wierzy.

– Nie oczekiwałam omdlenia, ale merytorycznej podpowiedzi.

– Ależ ja jej pani udzieliłam!

– Wie pani co? – Arogancka postawa pisarki doprowadziła Wandę do ostateczności.

– Słucham?

I do tego ten jej ironiczny uśmiech! Nie, tego Wandzie było za wiele.

– Coś pani powiem! Załatwiłam sobie lepszego recenzenta! Kulturalnego i przede wszystkim bardziej od pani znanego! I to jego zdanie jest dla mnie kluczowe!

– Na rynku wydawniczym nikogo lepszego ode mnie nie ma. No, niezła – tu Stefa skrzywiła się lekko – jest jeszcze Iwona Cieciora, ale nie sądzę, żeby była tak wspaniałomyślna jak ja i poświęciła pani niedzielne popołudnie. Ha, ona nawet soboty przeznaczonej na sprzątanie pani by nie poświęciła. Niech więc pani nie rzuca we mnie blefami i doceni, że w ogóle została wpuszczona do mojego domu.

– Blefami? – Wanda parsknęła wzgardliwym śmiechem. – Nie, ja nie blefuję!

– Tak? Niech więc pani poda nazwisko tego rzekomo bardziej ode mnie znanego pisarza! Tego niby lepszego recenzenta.

Wandzie zadzwoniło w głowie, że zobligowała się do zachowania tajemnicy, ale Lurka tak ją zdenerwowała, iż ostrzegawczą myśl zepchnęła w najdalszy kącik mózgu. Na swoje usprawiedliwienie miała to, że w kwestii Knychalki już raz się odkorkowała, nic więc nie stało na przeszkodzie, aby znów wszystko opowiedzieć, byle tylko słuchaczka obiecała, że nikomu powierzonych rewelacji nie przekaże.

– To jest sam Ignacy Knychalka!

Lurka przez chwilę patrzyła na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

– Niemożliwe! – W końcu parsknęła krótkim śmiechem.

– Ale to prawda! I co pani na to, he? Wobec konsultacji ze słynnym Ignacym pani obelgi nic dla mnie nie znaczą!

Słowa miotane przez Wandę jednak prawdą nie były, bo jako osoba nad wyraz wrażliwa poczuła się bardzo urażona. Poza tym wiedziała, czuła to, że ta odrobina tekstu nie była aż tak

parszywa, żeby ją zdeptać i sponiewierać. Lurka pomasowała sobie skronie, a Wanda dyszała ciężko, jakby zakończyła długi i męczący triathlon. Gdyby wiedziała, co ją spotka u tej szanowanej pisarki, nigdy by się do niej nie wybrała, nawet gdyby Murek i Mundek z Lucyną do spółki na kolanach ją o to prosili.

– Chwileczkę. Mówi pani, że spotkała pani tego pisarza Ignacego Knychalkę?

– Oczywiście! I bez zbędnego mnie obrażania wziął do sprawdzenia cały tekst, na który poszła ryza papieru, a czcionka naprawdę była drobna!

– Tak, widziałam, chyba ósemka – powiedziała Lurka w zamyśleniu.

– Właśnie. Ósemka. Times New Roman. Wychodzę!

– Zaraz! – Lurka zastąpiła jej drogę.

– Pani zdanie już mnie nie interesuje! – heroicznie wyrzuciła z siebie Wanda, wyrwała Lurce kartkę, zmięła ją i zagryzając dolną wargę, ruszyła do wyjścia. Nie zauważyła, że w willi zrobiło się ciemniej, ale usłyszała, że na zewnątrz przetoczył się grzmot, a po chwili deszcz zabębnił w okna. Otworzyła drzwi. Lało niemiłosiernie! Wprawdzie wydawało się, że w oddali nad Poznaniem się przejaśnia, ale wcale to Wandy nie pocieszyło, bo zmoknięcie groziło jej tu i teraz.

– W ten deszcz chce pani iść? – z nagłą troską tuż za jej placami odezwała się Lurka.

– Tak! – Wanda, ukrywając niechęć przed strugami wody, wystawiła za próg jedną nogę.

– Proszę poczekać. – Lurka złapała Wandę za rękę. – Zrobię herbatę albo kawę i przeczeka pani tę ulewę, bo... – Wanda widziała, że Lurka w swej głowie czegoś szuka, właściwego zdania lub wyrazu – bo szkoda, żeby pani ta kartka zamokła. Tyle pracy się zmarnuje...

Wanda wytrzeszczyła na nią oczy.

– Tyle pracy? Przecież to tylko wydruk. W każdej chwili mogę nowy zrobić.

– Oczywiście, oczywiście, ale taka kartka to przecież kawałek lasu, no, raczej drzewa. Szkoda, żeby na nową musiała pani kolejne poświęcać.

– Bez obawy. Niczego już nie wydrukuję – mruknęła Wanda, pomna wcześniejszych obelg pod adresem próbki jej twórczości.

– Ależ dlaczego? – Lurka, Wanda czuła to wyraźnie, ciągnęła ją do środka! – W pisarstwie zawsze trzeba mieć nadzieję i pracować, nieustannie pisać, pisać, pisać...

W oczach Lurki pojawiały się dziwne błyski, a Wandę opadło przerażenie. Toż to wariatka jakaś! Po co ona ją z powrotem ciągnie, czego od niej chce?! Przecież przed chwilą niemal ją z tej willi wyrzuciła!

– Niech mnie pani puści! Ja się pani boję! – Wanda chciała uciec za drzwi, ale było za późno. Pisarka zatrzasnęła je, zamknęła na dwa zamki, a klucz do dolnego wsadziła sobie – a fuj – za stanik!

– Nie ma się pani czego bać – powiedziała nieco bardziej opanowanym tonem, a błyski w jej oczach trochę złagodniały.

– Dlaczego mnie pani u siebie zamknęła?! Wrzeszczeć zacznę!

– Proszę nie panikować. Drzwi zamknęłam, bo ostatnio w okolicy było kilka kradzieży, a gdy będziemy siedzieć w salonie przy kawce i koniaczku, możemy nie usłyszeć, że ktoś wchodzi do środka.

– Kawce? Koniaczku?

– Nie lubi pani? To może lody? Ten deszcz tak szybko nie odpuści, a szkoda, żeby pani zamokła. Pani oraz pani cenna kartka. Proszę, proszę do salonu.

Wanda patrzyła na nią podejrzliwie i ani myślała ruszać z miejsca. Psychiczna! Jak nic od tak intensywnego pisania coś złego w mózgu jej się porobiło. Że też nie wpadła na to, że ktoś

tak pisarsko płodny może nie być normalny.

– Proszę, proszę iść. – Lurka lekko popchnęła ją do pomieszczenia, z którego Wanda przed chwilą uciekała, niemal roniąc łzy. – Ja wiem, co sobie pani myśli, że jestem wariatką, tak?

Wanda nie zaprzeczyła.

– Ale to nie moja wina, tylko tej pogody. Niech pani patrzy, już świeci słońce!

Rzeczywiście. Deszcz przestał padać tak samo nagle, jak zaczął.

– O, to ja już mogę iść! – Wanda zrobiła obrót ku wyjściu, ale Lurka ją przytrzymała. Kościstymi rękoma wpiła jej się w ramiona i pchnęła w stronę pseudoantycznej sofy.

– Niech pani siada! – rozkazała. Wanda usiadła. – Coś muszę pani zdradzić... – Lurka spojrzała na nią z udawanym zawstydzeniem. – Jestem nieprzyzwoitą wprost meteopatką! Od dziecka bardzo źle znoszę nagłe zmiany pogody, a to, co się dzieje w tym roku, przechodzi wszelkie wyobrażenie. Pogoda zmienia się jak w kalejdoskopie, a ja szaleję! – Pomasaowała sobie skronie. – Tak, ja się miotam, a otoczenie przeze mnie cierpi!

Lurka przysiadła na krześle.

– Czy byłaby pani tak wielkoduszna i wybaczyła mi ten nagły atak? – Zimno spojrzała na Wandę. Pod spojrzeniem tnącym powietrze niczym brzytwa Wanda nie mogła odmówić prośbie. Przyrzekła również, że nikomu o tym przykrym i kompromitującym pisarkę incydencie nie opowie.

– Świetnie, świetnie. – Stefa zatarła dłonie. – A teraz kawkę czy herbatkę?

– Może kawę, ale taką niezbyt mocną. – Wanda nadal miała obiekcje, bo bała się o życie, tymczasem Lurka szybko wydobyła z barku butelkę koniaku, dwie lampki, nalała do nich alkoholu (przy czym w jedną do pełna) i tę pełną wcisnęła w Wandy rękę, po czym dopilnowała, aby ta jednym duszkiem (o zgrozo, kto duszkiem koniak pije?) wychyliła wszystko do dna.

– Koniaku chyba tak się nie pija... – szepnęła Wanda i złapała się za gardło, bo porządnie ją tam paliło. Z alkoholi lubiła jedynie piwo lub słabe białe wino.

– A któż to widzi? – zachichotała Lurka i swoją nietkniętą lampkę odstawiła na stolik.

Wandzie, nienawykłej do alkoholu, szybko zaczęło szumieć w głowie, świat zafalował oraz wydał się miły i przyjazny. Czemu by u tej Lurki dłużej nie posiedzieć? Kawkę wypić, pogadać albo w milczeniu przez okno na ten piękny taras się pogapić?

– Więc kawusi zrobię?

– Tak, poproszę. Z mlekiem i bez cukru, jeśli można.

Lurka radośnie klasnęła w dłonie, sięgnęła po swoją lampkę, upiła mały łycalek, potem złapała butelkę i szczerze dołała Wandzie.

– Zaraz wracam! – zaćwierkała na odchodnym i zniknęła w korytarzu. Wanda umościła się wygodnie i przymknęła oczy. Kto wie, może porzuci piwo i cienkie sikacze na rzecz szlachetniejszych trunków?

– I już jestem!

Lurka postawiła na stoliku tacę z małym dzbanuszkim oraz z błękitnymi filiżankami, z których dochodził aromatyczny zapach kawy.

– Ciasteczek do kawki nie mam, ale lodziki mogę podać. Mam truskawkowe Grycana, palce lizać.

– Nie, dziękuję.

– No więc dobrze, porozmawiajmy spokojnie. Ale zaraz, czy nie milej będzie, jeśli przejdziemy na ty?

I Lurka, nie czekając na odpowiedź Wandy, zachęcająco podsunęła w jej stronę lampkę z koniakiem.

– To co? Bruderszaft? – spytała.

– Czemu nie?

Wypiły brudzia i uściskały się serdecznie.

– Na czym to stanęło? – zagadała Lurka i wzięła do ręki leżącą obok Wandy filizanki zmiętą kartkę.

– Na niczym – odpowiedziała Wanda, gryząc się w język, aby jej nie przypomnieć karygodnego występu sprzed burzy. Ale teraz Lurka wydawała się zupełnie inną osobą, może więc rzeczywiście wszystkiemu winna była pieska pogoda?

– Niech dokładniej rzucę okiem na to twoje dzieło...

Ściągnęła brwi i w skupieniu przeczytała tekst.

– Słuchaj, Wanda, powiem ci szczerze, widzę w nim olbrzymi potencjał.

Wanda poruszyła się niespokojnie.

– Serio?

– Oczywiście. I ten tytuł! *Wolność skowronka*. Jest taki... taki...

– Czy nie jest zbyt ornitologiczny? – wtrąciła Wanda z niepokojem.

– O właśnie! Świetne słowo! On jest cudownie ornitologiczny! Ale, że tak zapytam, jak ten tytuł ma się do reszty tekstu?

– No... zasadniczo... w ogóle się nie ma.

Przez ułamek sekundy Lurka wyglądała, jakby czymś się zadławiła, trwało to jednak nad wyraz krótko, głupią minę pisarki Wanda złożyła więc na karb przywidzenia.

– Hm... więc o czym tam dalej jest to twoje dzieło?

– O miłości. Pozwolisz, że ci opowiem? – Wanda znów się umościła, łyknęła kawki, a potem nieco koniaczku.

– Oczywiście. Zamieniam się w słuch.

– To idzie tak: Aleks kocha Jolkę, ale Jolka ma męża. Na szczęście Jolka z tym swoim mężem jest nieszczęśliwa i zaloty Aleksa są jej na rękę, powiedziałabym wręcz, że bardzo na rękę, więc...

– Zaraz, zaraz. – Lurka podniosła dłoń. – I naprawdę nie ma tam ani słowa o skowronku?

– Ani jednego. Ale może skończę opowiadać?

– Nie, nie kończ! – Jak na Wandy gust Stefa zaprotestowała zbyt gwałtownie, a może po tym koniaczku zrobiła się przeczulona? – Na podstawie fragmentu, który mi przyniosłaś, oraz twojego opowiadania, wnioskuję, że tekst jest, no naprawdę nie powinnam ci tego mówić, ale boski! I na pewno ktoś ci go wyda, co więcej, bestseller z niego będzie nad bestsellerami!

– Naprawdę?! – Wanda ze szczęścia aż się wyprostowała.

– Naprawdę, naprawdę.

– Ale co zrobić z tytułem? Taki mi się podoba, chciałabym przy nim zostać, a tekstu też nie chcę zmieniać. Nie mam pojęcia, jak to pogodzić...

– Okładka.

– Co okładka?

– Na okładce będzie Jolka z wróblem na ramieniu i w ten sprytny sposób wszystko się połączy.

– Skowronkiem.

– Słucham? A tak, oczywiście, skowronkiem.

Wanda nagle się stropiła, bo przypomniało jej się wszystko, co czytała w sieci na temat wydawców, rynku wydawniczego oraz gustów czytelników. Śledziła przede wszystkim blogi kilku pisarzy i doskonale wiedziała, że rynek wydawniczy był kapryśny niczym stara panna, a gusta odbiorców literatury nieobliczalne. Lurki słowa były dla niej bardzo miłe. Szczerze mówiąc, idąc do niej, nie spodziewała się, że będzie mogła liczyć na aż tak wielką pociechę.

Oczywiście nie spodziewała się i tego, że wcześniej zostanie ośmieszona i pogiębiona w bardzo paskudny sposób, ale ten występ pisarka już jej wytłumaczyła – pogoda!

– Coś nie tak? Źle mówię?

– Nie, mówisz całkiem dobrze, ale wszystko brzmi tak, jakbyś była pewna, że książka znajdzie wydawcę. Takich jak ja, chętnych do wydania książki, jest przecież na pęczki. Czy ktoś w ogóle zwróci na mój tekst uwagę, czy wyłowi go spośród wielu innych? My tu teraz dogłębnie o nim rozmawiamy, rozkładasz go na czynniki pierwsze, ale jakoś nie wyobrażam sobie, aby jakikolwiek profesjonalny wydawca chciał, tak jak ty, podejść do mnie ze zrozumieniem i z życzliwością. Dziękuję ci za miłe słowa, ale jestem bardziej sceptyczna.

– Oczywiście, że znajdziesz. Już ja się o to postaram. Mnie, znanej poznańskiej pisarce, się nie odmawia. – Mrugnęła do Wandy, jakby chciała dać do zrozumienia, że jej nazwisko otwiera wszystkie drzwi i skłania wydawców do wypuszczania na rynek wszystkiego, co Lurka im pod nos podetknie.

– Naprawdę?! Stefcu, ale jesteś kochana! – I Wanda już kierowała się do Stefy, aby mocno ją uściskać.

– Ależ nie trzeba, nie trzeba! – Lurka zamachała rękoma, jakby odganiała się od namolnego owada.

Wanda, aby nie drażnić zacnej i jakże pozytywnie już do niej nastawionej pisarki, posłusznie powróciła na miejsce. Sięgnęła po filiżankę i dopiła kawę.

– Może jeszcze jedną? – zapytała Stefa.

– Chętnie. – Wandzie porządnie już się w głowie kręciło, nie pogardziła więc kolejną kawką, dzięki której mogła jej się poprawić nie tylko percepcja, ale i koordynacja ruchów. Lurka, nim zniknęła z tacą w korytarzu, dołała jeszcze swemu gościowi koniaczku, powiedziała, że ma się nie krępować, i wyszła. Wanda nie krępowała się więc i łyknęła zdrowo (ach, ten koniak, że też do tej pory gardziła jego wyszukany smakiem!), i nawet nie próbowała znów wygodnie się mościć, bo wiedziała, że pisarka kawkę zrobi błyskawicznie. I się nie myliła.

– Wspomniałaś coś o Ignacym Knychałce? – Lurka podała jej kawę.

– Właśnie... – Wandzie ponownie gdzieś z tyłu głowy zakołatało, że przecież miała być dyskretna, powiedziała więc tylko: – Udało mi się go spotkać, dałam mu do oceny rękopis i nie wiem, co teraz...

Stefa patrzyła na nią z uwagą.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Tak po prostu go spotkałaś?

– Mniej więcej. – Dyskretna! Miała być dyskretna!

– Ot, tak na ulicy go zobaczyłaś i dałaś maszynopis? Przecież on jest nieuchwytny. Jak to możliwe?

Lurka przeszywała ją badawczym spojrzeniem.

– Powiedzmy, że miałam cynk.

– O tym, gdzie go znaleźć?

– Tak.

– Od kogo?

– Czy to ważne?

– Dla mnie tak samo ważne, jak dla ciebie wydanie książki.

– Ale nikomu nie powiesz?

– N... nie.

– Na pewno?

– Na pewno! I mów wreszcie, bo ja dla ciebie niedzielę poświęcam!

– Dobrze... Od szefa. Wiedział, nie wiem skąd, że Knychałkę można spotkać w Luboniu

u jego wydawcy. Kazał mi go odnaleźć i przeprowadzić wywiad pod groźbą wyrzucenia z pracy!
– dramatycznie zakończyła Wanda.

– Wywiad? A po co mu wywiad?

– Jestem dziennikarką, pracuję w gazecie. Jeszcze.

– Jakiej?

– „Z literaturą na ty”.

Stefa uśmiechnęła się półgębkiem. Owszem, słyszała o tym szmatławcu, ale nigdy nie zniżyła się, aby go kupić. Kilka razy nawet proszono ją o wywiad dla tego śmiesznego pisemka, ale to oczywiście, że się nie zgodziła. Musi siebie szanować i pilnować, aby jej nazwisko było gdzie się nie pokazywało.

– Twój szef ma wielkie ambicje – zauważyła. – A Ignacy? Zgodził się?

– Niezupełnie. Powiedział, że się zastanowi.

– Ale do przeczytania twojej książki dał się namówić.

– Tak.

– A co on robi w tym Luboniu? Powiedział ci?

– U Małoty kończy książkę... Ale, Stefo, już tak wiele ci zdradziłam! Proszę, zachowaj to dla siebie!

– Ależ oczywiście, oczywiście! Mówisz, że książkę kończy? Wiem, o jaką chodzi...

Małota zapowiadał, że ma się ukazać tej jesieni, więc aż tak wiele czasu na pisanie nie ma...

Tajemnica starej panny. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Co za kretyński tytuł, powiedz sama!

– Kretyński? Nie, nie jest zły... Mnie on intryguje.

– A mnie intryguje Knychałka... Mało kto go widział, wywiadów nie udziela, no, poza tym jedynym, ale jakoś nie wierzę, aby był autentyczny. I powiem ci, że mój sceptycyzm bierze się nie z tego, że nisko cenię jego twórczość, ale z tego, że ja po prostu nie wierzę, iż taki pisarz istnieje... Pomyśl, zastanów się dobrze... niby jest, a mało kto go widział...

– Co ty opowiadasz? – Wanda pozieleniała na twarzy. – Jak to nie istnieje?! Jak możesz tak myśleć? Przecież ja go spotkałam!

– I co z tego? Myśleć mogę, co mi się żywnie podoba.

– W takim razie niby kto jest autorem tych wszystkich wspaniałych tekstów, co?!

– Nie wiem. – Lurka wzruszyła ramionami. – Ghostwriter, a Ignacy jest sztucznie wykreowaną postacią. Może jego popularność bierze się z tej wielkiej tajemniczości? Może na tym właśnie rzecz polega?

– No co ty... Przecież on naprawdę istnieje...

Lurka dyskretnie podrapała się po głowie.

– Niech ci będzie. Załóżmy, że Ignacy Knychałka jest postacią z krwi i kości, a ty dałaś mu swój maszynopis...

– To nie są założenia, to są fakty.

– Dobrze, dobrze. – Lurka zrobiła uspakajający gest ręką. – Pozwól mi jednak dojść do głosu. Jeśli dałaś mu swój maszynopis, on zapewne dał ci swój numer telefonu?

– Niestety, nie mam jego telefonu, ale on ma mój. Nie łudzę się jednak, że zadzwoni do mnie wcześniej, niż przeczyta książkę – zakończyła ze smutkiem w głosie.

Lurka wstała i podeszła do okna. Może i ta Wanda go spotkała, niech jej będzie, pomyślała.

– Kiedy mu ją dałaś? – zapytała, patrząc na ogród. Bartosz będzie musiał skosić trawę i wyciąć z krzewów suche gałęzie. Ostatnio zaniedbał swój ulubiony zakątek i Stefa bała się myśleć, co, a raczej kto, był tego przyczyną.

– Wczoraj. – Wanda westchnęła ciężko.

Stefa odwróciła się gwałtownie.

– Kiedy?!

Była pewna, że relacji Wandy wysłuchała uważnie i mogłaby przysiąc, że mała czarnula ani słowem nie wspomniała, kiedy wręczyła Knychalce swój rękopis. Naturalnym tokiem rozumowania założyła więc, że miało to miejsce jakiś czas temu, kilka, może kilkanaście dni wcześniej, ale, na Boga, nie dnia poprzedniego!

– No wczoraj, a co?

– To niemożliwe! – krzyknęła Lurka i szybko umilkła, widząc, jaki przestraszył się na twarzy tej głupiutkiej nibypisareczki. Znów ją przestraszyła, a tym razem wcale nie miała takiego zamiaru.

– Burza... Chyba znów idzie... – szybko, gwoli wyjaśnienia swego wybuchu, powiedziała Lurka i znacząco popukała w szybę, ale akurat żadna ciemna chmura, podmuch wiatru czy nagła cisza wśród ptactwa tego nie zapowiadały. – Idzie, idzie – dodała z mocą i znów puknęła w szybę. – Będzie u nas jutro, pojutrze, a może za miesiąc? Ale na pewno przyjdzie!

– Tak, oczywiście, kiedyś będzie burza... – powoli odpowiedziała Wanda i obiecała sobie nie tknąć więcej tego wybornego koniaczku, żeby (na wypadek gdyby zaszła taka potrzeba) sprawnie dobiec do drzwi i uciec od tej dziwnej Lurki, gdzie pieprz rośnie. Co za humorzasta baba! Zmienność nastrojów zawsze była domeną kobiet, ale żeby aż taka? Kto to widział? Wandę przestało już dziwić, że mąż Lurki pracował również w niedzielę. Bo niby gdzie teraz był, jeśli go w domu nie było? Na pewno w szpitalu na dyżurze – uciekł od tego piekielnego stworzenia, żeby poza domem zaznać trochę normalności.

– Więc mówisz, że wczoraj widziałas się z Ignacym? – Lurka zagaiła już niemal zupełnie spokojnym tonem.

– Tak. Wczoraj i przedwczoraj również. Za pierwszym razem był w mieszkaniu Małoty, a za drugim wychodził z jego bloku. – Wanda, chcąc nie chcąc, zdradziła więcej szczegółów dotyczących Knychalki.

– Niesłychane, niesłychane... – powiedziała Stefa, a Wanda dałaby sobie obciąć wszystkie członki, że w głosie pisarki usłyszała nutkę zazdrości. Nie, nie zazdrości. Zawiści w czystej postaci.

– Słychane, słychane. – Uśmiechnęła się z wyższością. – Bardzo się cieszę, że udało mi się go spotkać. Traktuję to jako rekompensatę za bezowocną podróż na Warszawskie Targi Książki.

– Tak, słyszałam, że miał się tam pojawić. Nie wierzyłam w to i oczywiście miałam rację, bo faktycznie nie przybył. A ty mi nagle mówisz, że go spotkałaś. I jesteś pewna, że na pewno wczoraj dałaś mu swoje wypo... swój rękopis?

– Oczywiście!

– Wiesz – Lurka łypnęła na nią chytrze – jakoś nadal ci nie wierzę.

Wanda rzuciła się na swoim miejscu.

– Bo co?!

– Już ci mówiłam. Przecież do tej pory poza tym Małotą spotkał go tylko jeden jedyny dziennikarz i nie ma nikogo innego, kto by go widział choćby z daleka. Czy ty, Wanda, zdajesz sobie sprawę, jak bardzo nieprawdopodobnie brzmi twoja opowieść?

– Więc mój szef też miałby się mylić? Myślisz, że dał mi namiar na sobowtóra czy jak?

– Nie wiem, na kogo dał ci ten namiar, ale ja mam swoją teorię.

– Że Knychalka nie istnieje?

– Właśnie. Dlaczego wciąż się ukrywa? Czy chowa przed światem jakąś tajemnicę? Przecież społeczeństwo chce go poznać. Czy on nie wie, jakie to ważne?

– Nie mam pojęcia, ale ja, gdybym była tak sławna, na pewno po kątach bym się nie chowała.

Lurka spojrzała na nią z niesmakiem. Sławna! Też jej się marzy!

– Ale powiedz, Wandeczko, jak on wyglądał?

– Jak miał wyglądać? Normalnie. Niemal tak samo jak na rysunku w Internecie.

– Na pewno zupełnie normalnie?

– Tak... ale o co ci w końcu chodzi?

– Mam na myśli, czy... nie był w jakiś sposób uszkodzony. – Tym razem to Lurka chlupnęła sobie w gardło sporą porcją alkoholu.

– Uszkodzony?

– Chyba źle się wyraziłam... nie miał jakichś zadrapań, rany jakiejś?

– Nie. Wyglądał zdrowo i krzepko. No, może miał nieco zaczerwienione oczy, ale przecież wśród nas, pisarzy – tak, tak, Wanda czuła się już pisarką pełną gębą – jest to normalne. Na pewno poprzedniego wieczoru, a może noc całą pracował nad swoją powieścią.

– Aha...

Lurka dołała sobie koniaku i nagle rzuciła demonicznym tonem:

– Masz go namówić na spotkanie autorskie!

Wanda parsknęła krótkim, pełnym niedowierzania śmiechem.

– Że co? Spotkanie autorskie? Najpierw to ja muszę wywiad z nim przeprowadzić, bo pracę stracę. A w ogóle skąd tak nagle przyszedł ci do głowy pomysł z tym spotkaniem? – zreflektowała się.

– Bo to jest ważne dla jego czytelniczek.

– A dla mnie ważne są wywiad oraz opinia o mojej książce.

– Nie bądź egoistką.

– Nie jestem egoistką, jestem realistką. Cudem będzie, jeśli zgodzi się na wywiad, a ty chcesz, żeby wziął udział w spotkaniu! Poza tym jeśli jeszcze raz pojawię się u Małoty, ten łeb mi urwie, a Ignacy nie po to od lat ukrywa się przed światem, by nagle objawić się rzeszy ludzi! Jeśli nie przyjechał na targi do Warszawy, to w Poznaniu tym bardziej nie będzie chciał brać w niczym udziału.

– Małota... – Lurka zadumała się na chwilę. – Narwany z niego typ, nie sądzisz? Unikaj go.

– Nie musisz mi tego mówić. Sama wiem.

– Bardzo dobrze. Jeśli Ignacy się z tobą skontaktuje w sprawie książki, mogłabyś podjąć ten temat.

Wanda nie rozumiała, dlaczego pisarce tak bardzo zależało, aby Knychalka wziął udział w spotkaniu autorskim? Jeśli tak chciała go poznać, nie musiała się wstydzić, krygować i udawać, że zależy jej na organizacji wielkiej imprezy. Nie omieszkała tego powiedzieć:

– Słuchaj... Mogę się postarać umówić cię z Ignacym w jakiejś kawiarni. Może na kameralne spotkanie prędeż się zgodzi, tym bardziej że nie jesteś byle kim.

– Ale mnie wcale nie zależy na żadnym osobistym spotkaniu!

– Nie? A myślałam...

– Źle myślałaś! Mnie zależy tylko i wyłącznie na spotkaniu autorskim dla szerokiego ogółu! Dla ludu czytającego!

– Szeroki ogół! On jest nieśmiały i na pewno tego ludu się przestraszy! Ale z tobą samą może...

– Zapamiętaj sobie, ja wcale nie chcę się z nim spotykać, zrozumiałaś?! – Lurka przy ostatnim wyrazie zapiszczała tak przeraźliwie, że Wandę przeszły ciarki. – Ja chcę go tylko

i wyłącznie zobaczyć na spotkaniu autorskim!

– Stefo...

– Nie przerywaj mi! – Piskliwe tony pisarki przybrały na sile. Wanda patrzyła na nią ze zdziwieniem, bo tak przerażonej osoby do tej pory nie widziała.

– Tu naprawdę nie chodzi o mnie. – Lurka zakończyła nieco spokojniej, ale żyła na jej skroni nadal była wypukła i nerwowo pulsowała.

– Tak, tak, wiem, o lud czytający ci chodzi. Już mówiłaś.

– Wanda, jeśli nie namówisz Ignacego do pokazania twarzy światu, ja w sprawie twojej książki nie kiwnę nawet palcem.

– Ale...

– Nie ma ale. Masz go do tego namówić, bo zrobię coś bardzo złego... – Jej czarne oczy zwęziły się w mikre szparki. – Szeptę słówko tu i tam, a żaden wydawca nigdy niczego ci nie wyda!

– Żaden? A może Ignacy załatwi mi to u Małoty? – zaczępnie rzuciła Wanda.

– Tak sądzisz? – prychnęła. – Małota nikogo poza Ignacym jeszcze nie wydał. Sądzisz, że dla ciebie zrobi wyjątek? Nie obraż się, ale nie piszesz aż tak wspaniale jak on.

Lurka zapatrzyła się w jeden z wiszących na ścianie obrazów (nawiasem mówiąc, był surrealistycznie obrzydliwy) i ścisnęła usta w ciup.

– I mogę zrobić coś więcej – podjęła. – Coś, o czym myślałam od dawna... Mogę publicznie podać w wątpliwość istnienie Ignacego Knychalki!

– Co takiego?!

– Tak! Mam już na brudno napisany artykuł na ten temat. Wypunktowałam wszystkie zarzuty. Więc niech wreszcie wyjdzie z nory i udowodni, że naprawdę istnieje, bo ta jego tajemniczość jest co najmniej denerwująca! – Zrobiła pauzę. – Nakłoń Ignacego do spotkania z fanami – syknęła.

– Żądasz ode mnie rzeczy niemal niemożliwej!

– Słyszałaś?

– Co?

– Czy słyszałaś, co powiedziałaś? Powiedziałaś o rzeczy niemal niemożliwej, czyli jakaś szansa jest. Nikła, ale zawsze. Spróbuj!

Do Wandy te argumenty nie przemawiały i Lurka dobrze to widziała. Postanowiła inaczej ją podejść:

– Jeśli mi obiecasz, że go o to zapytasz, że podejmiesz próbę, by go przekonać, ja chętnie wypowiem się na łamach tej waszej gazety. I będzie to wywiad, jakiego nigdy nikomu nie udzieliłam. Nie będziesz żałować.

Wandzie zaświeciły się oczy. Taki pomysł miała na początku, zniechęciło ją jednak neurotyczne zachowanie pisarki, a potem rozmowa potoczyła się w zupełnie innym kierunku. Lurka spod oka przyglądała się swojemu gościowi. Widziała, jak po jej słowach twarz kobiety wręcz pojaśniała. I o to chodziło!

– Naprawdę? Naprawdę odpowiesz na nasze pytania?

– Może nie na wszystkie, ale na niektóre na pewno.

– Och, ale by było cudnie!

Wanda już kalkulowała: gdyby nie udało jej się przeprowadzić wywiadu z Ignacym, może szef jej nie wyrzuci, jeśli w zamian zaproponuje wywiad z Lurką? Wiedziała, że Murek zrobił do niej kilka podejść, a ona zawsze mu odmawiała.

– Też tak myślę, ale nie zapominaj, że coś za coś.

– Tak... mam go namówić do wzięcia udziału w spotkaniu autorskim... Powiedzmy, że

Knyczałka się zgodzi. Kto je zorganizuje? I gdzie?

– Już moja w tym głowa. Poproszę o pomoc Cieciorkę.

– Iwonę Cieciorkę?! – żywo zainteresowała się Wanda, bo również i ta poznańska pisarka była w sferze jej zainteresowań. Wanda, chcąc mieć orientację w tym, co się dzieje na rynku wydawniczym, sięgała po utwory rozmaitych autorów, również takie, których gdyby czytała tylko dla przyjemności, nigdy nie wzięłaby do ręki. Do tej ostatniej grupy, obok książek Stefy Lurki, zaliczała również te Iwony Cieciorki. Ale mimo że Lurka i Cieciorka nie pisały ulubionych przez Wandę kryminałów, i tak bardzo ceniła obie pisarki za to, że były niesamowicie pracowite i miały wspaniałe twórcze umysły.

– Tak. Tę. Od lat się przyjaźnimy. Przy najbliższej okazji poznam was ze sobą.

– Naprawdę?! – Wanda pokraśniała z radości. Musi, tak, koniecznie musi zrobić wszystko, aby namówić Ignacego na to spotkanie! W końcu już niemal jedną nogą był na targach w Warszawie, tym razem niech więc już faktycznie obie postawi w Poznaniu na spotkaniu organizowanym przez nie byle kogo, bo przez Stefę Lurkę i Iwonę Cieciorkę, a dzięki temu Wanda zachowa swoje, wcale nie wymarzone, wręcz nie lubiane jednak miejsce pracy.

– Pamiętaj, dla moich przyjaciół mam naprawdę wielkie serce. Bądź moją przyjaciółką, a się o tym przekonasz. – Lurka poklepała ją po ramieniu.

Wanda wzdrygnęła się nieco, bo nigdy nie lubiła wszelkiego rodzaju poklepywań, ale zniosła to. W końcu poklepała ją nie byle jaka ręka, lecz dłoń jej nowej przyjaciółki Stefy Lurki.

– Poczekaj, aż Ignacy się odezwie, i wtedy zacznij działać.

– A jeśli się nie odezwie? – Wanda nagle zwątpiła.

– Twój maszynopis wziął dobrowolnie, siłą mu go nie wcisnęłaś, więc myślę, że jednak się z tobą skontaktuje. Poza tym jako typ wybitnie utalentowany musi być również bardzo wrażliwy i ta wrażliwość na pewno nie pozwoli mu przejść obok ciebie obojętnie.

Stefa nigdy nie była skora do obsypywania komplementami osób, od których nie zamierzała uzyskać korzyści bądź których nie chciała wykorzystać do siebie tylko znanych ciemnych sprawek. Tak było i tym razem. Musiała jednak, wprawdzie z wielką niechęcią, ale sprawiedliwie przyznać, że Wanda miała wyjątkowo ładną buzię, na co wrażliwy mężczyzna pewnie nie mógł pozostać całkowicie obojętny. Pokrętny komplement, który wyartykułowała kierowana sobie tylko znaną intencją, nie był więc całkowicie fałszywy. Na pociechę Stefa pomyślała, że sprawiedliwa natura poskąpiła za to Wandzie dobrej figury, bo na jej gust kobieta mogłaby trochę schudnąć i być nieco wyższa. Taka mała kopka. Kopka siana – pomyślała złośliwie.

– Naprawdę tak sądzisz? – z nadzieją zapytała Wanda.

– Tak. Tak sądzę. Ale na twoim miejscu nie spodziewałabym się, że obsypie swoją twórczość komplementami. Tym się jednak nie przejmuj, bo ja ci dobrze życzę. Mnie się książka podoba i wydawcę ci znajdę. Tylko, pamiętaj, bądź moją przyjaciółką! Będziesz?

– Będę – westchnęła Wanda. – A co, jeśli się nie zgodzi?

– Ważne, abyś spróbowała.

– Dobrze, spróbuję. A czy...

– Tak, tak – ciężko rzekła Stefa. – Nic się nie bój. Jeśli niczego nie wskórasz i tak ci pomogę. Spróbuj tylko.

Wobec takiej deklaracji Wanda uznała, że złożenie Knyczałce propozycji, która zapewne i tak nie zyska jego aprobaty, nic jej nie będzie kosztowało, a sumienie będzie mieć czyste, Lurka zaś, tak czy owak, poszuka dla niej wydawcy. Bo układ był jasny: jej zadaniem było jedynie zadać Ignacemu pytanie. Za decyzję, jaką on podejmie, ona odpowiedzialności nie przejmowała. I do niczego go nie będzie przymuszać, bo niby jak? Plackiem się przed nim nie położy ani

strajku głodowego nie urządzi.

– Świetnie. Wymieńmy się numerami telefonów. Jako przyjaciółki musimy mieć ze sobą kontakt. – Lurka uśmiechnęła się cierpko.

– A mejl?

– Co mejl?

– Daj mi adres mejlowy, abym mogła przesłać ci całą książkę.

– Ach tak, rzeczywiście, ale jestem roztrzępana! To przez tę pokręconą pogodę.

– Pewnie tak. – Wanda schowała do torby kartkę z zamiarami na Lurkę. – Pójdę już. –

Wstała.

– Wpadaj częściej – bez entuzjazmu rzekła Stefa.

Wyszła z Wandą na zewnątrz. Prowadząc swego gościa po ocienionej drzewami alejce, krótko opowiedziała zawiłą, sięgającą początków pierwszej wojny światowej historię willi.

– Szkoda, że należy tylko do mojego męża – warknęła i podeszła do rododendronów.

Pokazała Wandzie uszkodzenia, jakie poczynił na nich tegoroczny mróz. Potem odprowadziła ją do furki i energicznie pomachała na pożegnanie. Wanda ostatni raz odmachnęła, będąc już daleko po drugiej stronie ulicy.

Gdy Wanda, ta kopka siana, zniknęła wreszcie za drzewami, Lurka pędem puściła się do domu. Złapała telefon i wykręciła numer.

– Iwona?

– Ach, to ty!

– Lepiej usiądź, bo moja nowina zetnie cię z nóg!



Tej niedzieli Iwone Cieciorce pisanie wyjątkowo nie szło. Jej babcia, gdyby mogła, na pewno zrobiłaby groźną minę, spojrzała wrogo zza okularów o szklach grubych jak denka musztardówek i powiedziała krótko, acz bardzo dobitnie:

– Niedzielna praca w gówno się obraca.

Staruszka nie mogła jednak niczego skwitować, ponieważ od dwóch lat z okładem spoczywała na cmentarzu Junikowskim. Iwona do niedawna jeszcze popadała w głęboką zadumę nad tym, czy odczuwa choćby minimalną tęsknotę za swą wysuszoną babunią, ale nie potrafiąc udzielić jednoznacznej odpowiedzi, przestała stawiać sobie trudne pytania, bo kogo jak kogo, ale własną osobę szanowała i nie zamierzała katować myśleniem o niewygodnych sprawach.

Wystarczyło jej, że stosunkowo często z większym lub mniejszym nasileniem w mieszkaniu wyczuwała słabą woń unoszącego się ducha czcigodnej babuni. Niewątpliwie musiała to być ona! Poznawała ją po zapachu mentowalu zmieszanego z nieprzyjemnym aromatem czosnku i cebuli. Babcia Frania mentowal przyjmowała ciągiem, traktując go jako panaceum na wszelkie trapiące ją dolegliwości. Twierdziła, że producent leku, z siebie tylko znanych pobudek, na ulotce informacyjnej ograniczył się jedynie do informacji o działaniu uspokajającym oraz wpływie na zaburzenia żołądkowo-jelitowe. Babcia Iwony znała się na lekach lepiej i dlatego mentowal piła butelkami. Tak jak w mentowal, wierzyła również w cudowną moc czosnku oraz cebuli, toteż zapach, który wokół siebie roztaczała, był intensywny i dla zmysłu powonienia bardzo nieprzyjemny. Po jej śmierci Iwona długo wietrzyła mieszkanie oraz wyprała wszystkie rzeczy, z których korzystała staruszka, a które sobie zostawiła, na wypadek gdyby kiedyś mogły jej się przydać. Malowania mieszkania nie robiła, bo szkoda jej było pieniędzy, wolała spożytkować je w inny sposób. Bywały dni, kiedy nie czuła żadnej woni, sądziła wówczas, że wstrętnego zapachu wreszcie się pozbyła, ale gdy tylko tak pomyślała, smród natychmiast się pojawiał. Wtedy padała na kolana i w cichości ducha z całego serca dziękowała babci Frani za nagłe

zejście, dzięki niemu bowiem otrzymała spadek, który umożliwił jej bycie aktywną selfpublisherką. To właśnie babcine oszczędności pozwalały Iwoni na wydawanie kilku książek rocznie. Ale w intensywnym pisarstwie Iwony bywały również dni tak trudne jak ta niedziela, kiedy z bólem serca dochodziła do wniosku, że wydawanie książek idzie jej sprawniej niż tworzenie. W poprawie nastroju najczęściej pomagało jej sięgnięcie po któreś ze swoich oprawionych w słodką cukierkową okładkę dzieł i złe myśli niemal natychmiast oddalały się na odległość, z której nie mogły zatruwać jej życia. Tym razem jej to nie pomogło. Przewertowała wszystkie własne książki, lecz humor nie poprawił się ani na jotę. Przyczyną podłego nastroju był nie tylko nagły przypływ samokrytyki, ale również nowy wpis na blogu tajemniczej Dziuni W. Blogerka uaktywniła się w sieci niemal natychmiast, gdy Iwona zaczęła wydawać swoje książki. Na estetycznej, starannie dopracowanej stronie Dziunia W. wylewała na Iwonę Cieciorkę wiadra, nie, nie wiadra, lecz całe cysterny pomyj. Iwona, zapewne jak każda autorka, starannie tropiła w sieci opinie na temat płodów swojego umysłu i z radością odkrywała, że staje się coraz bardziej popularna. W radości i dumie tkwiła do czasu, gdy trafiła na blog Dziuni W., który owa tajemnicza Dziunia nazwała *Wyczynanki grafomanki*. Iwona z ciekawością zagłębiła się w tekst i z przerażeniem odkryła, że nader obszerny wpis jest zjadliwą analizą jej pierwszej książki! Kolejne opinie Dziuni W. pojawiały się niemal natychmiast po ukazaniu się na rynku kolejnych książek Iwony. Poniewieranie ze strony Dziuni W. autorka przeżywała okrutnie, tak okrutnie, że nie były jej w stanie pomóc pokrępowane słowa przyjaciółki po piórze – Stefy Lurki. Pomogła dopiero polecona przez Stefę wybitna psychiatra. Odpowiednio nastawiona przez Stefę lekarka do terapii podeszła profesjonalnie i wybiła Iwonię z głowy przejmowanie się krytykanctwem uprawianym przez wredną blogerkę Dziunię W. Na zakończenie wizyty wręczyła pacjentce receptę na środki uspokajające, tak na wszelki wypadek, gdyby Iwona jeszcze kiedyś zajrzała na ziejący słowną przemocą blog. A Iwona oczywiście śledzenia kolejnych wpisów odmówić sobie nie mogła. Przed każdym zakazanym kliknięciem łykała tabletkę, po czym zatracala się w poświęconym jej twórczości bagnie. Tego dnia była już po łyknięciu i kliknięciu, czuła się więc smutna i otumaniona, przy czym nie wiedziała, czego w niej było więcej: tego smutku spowodowanego kolejnym prześmiewczo-nienawistnym wpisem czy otumanienia będącego skutkiem ubocznym przyjętej tabletki? Zamknęła laptop, nastawiła rosół i z nostalgią zajęła się podlewaniem kwiatów zasadzonych jeszcze ręką świętej pamięci babci Frani. Nawet nie chciało jej się dzwonić do Lurki. Przyjaciółka wielokrotnie zapewniała ją, że postępowanie jadowitej blogerki uważa za godne potępienia, i pocieszała jak mogła:

– Oczywiście najlepiej by było nie mieć żadnego wroga, ale to jest niemożliwe, bo każdy ma obok siebie kogoś, kto chętnie podłoży mu nogę. Ty masz właśnie Dziunię W., która nieustannie taką nogę ci podstawi – tłumaczyła jej Lurka.

– Z powodu jej nogi u psychiatry wylądowałam! – zauważyła Cieciorka.

– Bo niepotrzebnie tak się przejmujesz. Niech Dziunia smaruje na blogu, co chce, a ty nie czytaj. I ciesz się, że nie przyszło jej do głowy cegłą w ciebie rzucić.

– Wszystko przed nią... – z rezygnacją odrzekła Iwona.

– Nie rzuci, zobaczysz.

– Tak? Skąd wiesz? Powiedziała ci?

– Oj, Iwona, niby czytasz jej bloga, a niczego nie widzisz. Zabarwienie emocjonalne tych wpisów świadczy o tym, że kobieta na blogu całej negatywnej energii się pozbywa, więc na trafienie cegłą, aby skutecznie przerwać ci pisanie, na pewno się nie porwie.

Dla Iwony słowa Stefy nie były żadnym pocieszeniem. I kto wie? Może nawet wolałaby zginąć z rąk zwariowanej blogerki, by raz na zawsze skrócić swe cierpienie i już nigdy nie przeczytać na temat własnej twórczości tak podłych opinii. Pograżona w ponurych

rozmyślaniach, uważnie podlewała bogatą kolekcję kwiatów. Od dziecka twierdziła, że albo zostanie wybitną ogrodniczką, albo równie, a może nawet bardziej, wybitną pisarką. Babcia Frania, przejęta ogrodniczymi zakusami ukochanej wnuczki, znosiła do domu rozmaite gatunki i odmiany ozdobnych roślin doniczkowych, aby tylko Iwoneczce od małego zapewnić kontakt z roślinami. Przyszła ogrodniczka jednak zieleniny, jak nazywała kwiaty babci Frani, nie lubiła podlewać, uważała bowiem tę czynność za uwłaczającą. Gadała więc Iwonka o ogrodnictwie, a babcia znosiła do domu kwiatki. Gdy wnuczka porzuciła marzenia o ogrodnictwie na rzecz pisarstwa, temu pomysłowi babcia już tak radośnie nie przyklasnęła. Bo w gruncie rzeczy, kto to jest ten pisarz? I z czego żyje, Iwoneczko? Ale, cóż, życie tak się potoczyło, że właśnie dzięki sceptycznie nastawionej babci Frani spełniało się drugie marzenie Iwony. Kobieta pomyślała, że nazajutrz koniecznie, ale to bezwzględnie koniecznie, musi dać na mszę za duszę kochanej babuni. Bogatej kolekcji kwiatów po jej śmierci z mieszkania nie usunęła w obawie przed babciną zemstą, która mogłaby zechcieć utrwalić w pozostawionym lokum obrzydliwą mieszanekę zapachów mentowalu, czosnku oraz cebuli. Oszczędnymi kapnięciami podlewała storczyk, gdy zadzwonił telefon stacjonarny (kto dziś ma stacjonarne telefony?), który odziedziczyła wraz z mieszkaniem oraz mocno wypchanym kontem po babci kombatantce. Z niechęcią spojrzała na terkoczący aparat. Wszystkie przyjaciółki babci wiedziały o jej śmierci, ale od czasu do czasu któreś zdarzało się o tym zapomnieć i dzwoniła z jakąś nic niewartą ploteczką lub zaproszeniem na brydża tudzież domowy kompot z malin.

– Sklerotyczne staruchy – fuknęła Iwona. Podniosła słuchawkę i rzuciła ostro: – Franciszka Cieciora zmarła 17 lutego 2013 roku.

Już miała się wyłączyć, gdy w odpowiedzi usłyszała znajomy głos – głos Stefy Lurki.

– Iwona?

– Ach, to ty! – Cieciora skwitowała krótko i przez moment, takie prawdziwe okamgnienie, poczuła niewielkie wyrzuty sumienia, że o problemy z pamięcią posądziła babcine leciwe przyjaciółki, gdy tymczasem sama zapomniała, że przecież ten numer dała kiedyś Stefie. Domyślała się, z czym przyjaciółka mogła dzwonić – zapewne chciała ją ostrzec przed nowym, tym wyjątkowo zjadliwym wpisem na blogu Dziuni W., i poradzić, żeby za żadne skarby świata nie zaglądała na wredną stronę. Ale już się stało, Iwona zajrzała. I nawet aż tak bardzo się nie przejęła tym, co przeczytała, ostatecznie wcześniej łyknęła tabletkę.

– Lepiej usiądź, bo moja nowina zetnie cię z nóg!

– Nic mnie nie zetnie, wpis na tym cholernym blogu już czytałam.

– O jakim blogu mówisz?

– Dziuni W.!

– Znów w pierdołach siedzisz, a ja dzwonię do ciebie z ważniejszą sprawą. Siadaj, jak radziłam!

– Już siadam... – mruknęła Cieciora na odczepnego, wcale nie mając zamiaru tego robić. Jedną ręką przytrzymała słuchawkę, a drugą zaczęła ostrożnie podlewać stojącą obok telefonu zielistkę. Miejsce to nie było dla rośliny szczęśliwe, o czym świadczyły notorycznie zasychające końce liści, ale Iwona na to nieme wołanie o pomoc pozostawała głucha. Kwiatek rósł w ozdobnej doniczce, która ładnie komponowała się ze starym dębowym stolikiem, i to było najważniejsze. Zielistki nie cierpiała, uważała ją za wyjątkowe brzydactwo, jednak jako że był ulubiony kwiatek babci, nie ważyła się nawet pomyśleć o tym, by wyrzucić ją na śmietnik. Jedynym wrednym zagraniem, na jakie wobec zielistki sobie pozwalała, było trzymanie jej na tym stoliku, gdzie raz po raz owiewał ją przeciąg. Da Bóg, że z czasem sama padnie.

– Na pewno usiadłaś? – Czy ta Stefa miała trzecie oko albo zainstalowała u niej jakąś szpiegowską aparaturę?

– Tak, tak, siedzę. – Iwona posłusznie przysiadła na oparciu fotela, a słoik postawiła sobie na kolanach. W miarę jak Stefa streszczała jej przebieg spotkania z jakąś Wandą pretendującą do miana pisarki, Iwona coraz słabiej trzymała naczynie, aż zupełnie wypadło jej z rąk, oblewając wodą puchate bambosze, na co ich właścicielka zupełnie nie zwróciła uwagi. Bo mokre stopy wobec tak niesamowitych nowin były nic nieznaczącym drobiazgiem.

– Niemożliwe, niemożliwe... – powtarzała, aż w końcu musiała dopytać, czy aby na pewno Stefa niczego nie przeinaczyła, może czegoś nie zrozumiała. Albo owszem, zrozumiała, tylko zupełnie opacznie.

– Jak to nie rozumiałam? – zachnęła się Lurka na taką insynuację. – Ja miałabym nie zrozumieć?! Za kogo ty mnie uważasz?!

– Musiałam się upewnić, bo wszystko brzmi kosmicznie nieprawdopodobnie!

– Weź pod uwagę, że powtarzam tylko to, co mówiła ta Wanda. Słowo w słowo powtarzam. I jeśli mówiła prawdę, to...

– Znaczący, że...

Po obu stronach łączy telefonicznych zapadło grobowe milczenie. Obie pisarki, każda w swoim domu, intensywnie główkowały nad tym, czego się dowiedziały.

– Ignacy Knychałka... – cicho powiedziała Iwona.

– Nie kończ! Nie kończ! – gwałtownie przerwała jej Stefa.

– Ale jak to możliwe?!

– Musiałyśmy się pomylić!

– My?! Pomylić?! – Tym razem to Iwona oburzyła się na Stefę.

– I wyobraź sobie, że ta bździągwa proponowała mi, że mnie pozna z Knychałką!

Spotkanie sam na sam chciała załatwić!

– O Boże! Chyba się nie zgodziłaś?!

– Oszalałaś? Stanąc z nim oko w oko? Nigdy w życiu, że zacytuję Grocholę.

– Ja też bym się nie odważyła!

– Ale ona przyda nam się do zorganizowania Knychałce spotkania autorskiego. W tłumie będziemy bezpieczniejsze.

– Tak, i wtedy wszystko się wyjaśni.

– Pod warunkiem że dojdzie do skutku...

– Musi dojść. To jest najlepszy pomysł, na jaki mogłam w tej sprawie wpaść. Wywabimy go na światło dzienne, a ta głupia gęś nam w tym pomoże. A jak już będzie wywabiony, to...

– To co?...

– Jeszcze nie wiem, ale zrobię coś strasznego!

– Znowu?!

– Dla mnie to pikuś!

– Stefo, proszę... już nigdy...

– Nie będziesz mi dyktować, co mam robić, rozumiesz? I naturalnie ty nadal we wszystkim będziesz mi pomagać, o ile oczywiście zajdzie taka potrzeba! – I Stefa się rozłączyła.

– Oby nie zaszła... – westchnęła Iwona i przez czas jakiś trzymała słuchawkę przy uchu, układając w głowie usłyszane rewelacje.

– Muszę umyć okna – mruknęła. – Cokolwiek by się zdarzyło, muszę żyć normalnie. A może nic się nie wydarzy? – dodała sobie otuchy i ruszyła w kierunku łazienki z zamiarem przyniesienia stamtąd akcesoriów niezbędnych do gruntownego wyczyszczenia szyby. Gdy wstała, spod dębowego stolika wydobył się ostrzegawczy syk. To babcina kotka Mela dawała sygnał, żeby Iwona nie ważyła się do niej zbliżyć. Od śmierci swojej właścicielki Mela znienawidziła Iwonę z całego kociego serca, a Iwona w pełni odwzajemniała to uczucie. Kilka

razy w sposób dyskretny i taki, który świętej pamięci babcia musiałaby uznać za wypadek, chciała się wrednej kotki pozbyć, ale żaden nie okazał się skuteczny. Dała jej więc spokój, całą opiekę ograniczając jedynie do wypuszczania Meli na podwórze, przy czym zawsze miała nadzieję, że któregoś dnia zwierz nie powróci. Ale niestety wracał, a Iwona z niechęcią wpuszczając go do środka. Raz tego nie zrobiła, więc podła Mela urządziła na całą kamienicę tak rozpaczliwy koci lament, że w jej sprawie zainterweniowało aż trzech sąsiadów. Od tamtej pory Iwona tego typu sztuczki już nie próbowała. Za to za karę przestała dawać Meli jedzenie. Na jej kocich oczach połamała plastikową miseczkę i z dziką satysfakcją wyrzuciła ją do kosza, na co Mela patrzyła dość obojętnie, bo od dawna wszelkie życiowe potrzeby, nie tylko fizjologiczne, załatwiała na podwórzu. Żywiła się w okolicznych śmietnikach, dzięki czemu ciągle miała się bardzo dobrze, osiągnięcie satysfakcji z jej śmierci głodowej nadal było więc poza zasięgiem nienawidzącej jej nowej pani. Oczywiście tego samego dnia, kiedy kocie miseczki zostały połamane, Iwona ostentacyjnie udawała, że próbuje je skleić za pomocą kleju biurowego i taśmy klejącej, a robiła to tylko po to, aby zmarła babcia widziała, że wnuczka nie ma aż tak podłego serca i błąd swój pragnie naprawić, i aby babce do głowy nie przyszło w akcie zemsty zasmrodzić całe mieszkanko.

– Job z tobą! – Iwona machnęła na Melę nogą z zamiarem kopnięcia, ale kotka błyskawicznie zripostowała jej manewr wystawieniem pazurów w kierunku przemoczonego kapcia.

– Człowieka łatwiej zabić, ale i tobie kiedyś dam radę. – Pogroziła jej palcem i zniknęła w łazience.

W tym czasie Stefa patrzyła przez okno na pięknie utrzymany ogród męża, ale jej niewidzący wzrok nie zatrzymał się na żadnej roślinie, albowiem myśli były w miejscu, w którym ciałem nigdy więcej nie chciałaby się już znaleźć.



Wanda po spotkaniu z pisarką czuła się tak, jakby ubyło jej z dziesięć kilogramów. Rozlewające się wszędzie kałuże nie były dla niej przeszkodą. Nie starała się ich ominąć i z dziecięcą frajdą przechodziła przez sam ich środek. Znow zaczęło padać, ale nie zwróciła na to uwagi. Tak bardzo się cieszyła, że los na jej drodze postawił wspaniałą, pragnącą przyjść z pomocą sojuszniczkę, że już wyobrażała sobie swoje zdjęcie (w okazałym kapeluszu oczywiście) na okładce *Wolności skowronka*, o wielkim wrażeniu, jakie wywrze na szefie, nie zapominając. Wspomnienie tego, jak początkowo Stefa niemal jej groziła, a później wręcz zaszantażowała, uleciało daleko i zostało przyćmione przez radość, jaką daje możliwość spełnienia kosmicznej fanaberii szefa oraz własnego marzenia o wydaniu książki, które tliło się w niej od lat. Spotkanie autorskie? Oczywiście dołoży wszelkich starań, aby namówić na nie Knychalkę, w końcu winna jest to Lurce, a i nie tylko jej, bo również rzeszom wielbiących go czytelniczek. Ale jeśli się nie zgodzi, trudno, ręk przecież z tego powodu nie będzie załamywać.

W domu było pusto. Przez głowę Wandy przetoczyło się kilka krytycznych myśli dotyczących prowadzenia się Izy, w końcu jednak na obronę bratanicy skonkludowała, że ona sama też kiedyś była młoda, a poza tym w wolne niedzielne popołudnie grzech siedzieć w starej kamienicy. Szybko włączyła laptop, otworzyła pocztę elektroniczną, wpisała adres Stefy, napisała kilka serdecznych słów, dołączyła plik ze swym dziełem, przeżegnała się i powoli, niemal w zwolnionym tempie dokonała kluczowego kliknięcia. Poszło! Radość nadal jej nie opuszczała, a po wysłaniu wiadomości poczuła się odprężona i zrelaksowana. Wyjęła z lodówki karton mleka i usiadła przy stole. Wypiła raptem kilka łyków, gdy zadzwonił telefon. Lucyna.

– Już jesteś po? – zapytała.

– Tak.

– Mów szybko, jak było.

Wanda łyknęła z kartonu i entuzjastycznie zrelacjonowała przebieg wizyty u tej nie tylko znanej, ale również życzliwej poznańskiej pisarki. Cudownego człowieka po prostu! O zgrzytach, które między nimi nastąpiły, Wanda nie wspomniała ani słowem, bo zupełnie wyparła je z pamięci.

– Świetnie, świetnie! – ucieszyła się Lucyna. – Kończę już, kochana, bo Mundzio porywa mnie na dancing. Wyobrażasz sobie? Będziemy się bawić jak za dawnych lat!

– Dancing?... – Wanda wyobraziła sobie gęstą od papierosowego dymu salę, dźwięki smętnie przygrywającej orkiestry i kilka par podrygujących do taktu staruszków.

– A co, zazdrościsz?

– Skądże! Powiedz tylko, czy mam szykować kolejny prezent ślubny?

– Och, o ślubie nie myślimy. Na razie wprowadziłam się do Mundzia, bo stamtąd mam bliżej do pracy. Gdy będziemy pewni, że znów chcemy być ze sobą na dobre i na złe, damy znać. Pa, pa!

– Pa... I baw się dobrze na tym... dancingu.



W poniedziałek rano szef wrócił z urlopu. Nie czekając, aż Wanda zaparzy sobie kawę, wezwał ją do siebie.

– Jak było na targach? Knychalka przyjechał?

Machnął ręką, aby gdzieś sobie siadła, ale krzesło nadal zarzucone było gazetami, a Wanda nie zamierzała w jego gabinecie sprzątać, więc zatrzymała się tuż przy wejściu.

– Nie, nie przyjechał.

Szef zamieszał w kubku, z którego do nosa Wandy dochodził kuszący aromat kawy. Z zazdrości ścisnęło ją w dołku.

– O, to kiepsko. – Murek schylił się do torby, wyjął plastikowe pudełeczko, a z szuflady widelec. Otworzył pojemnik i zabrał się do jedzenia. Po gabinecie rozniósł się kwaśny zapach śledzi.

– Nie wiem, co z tobą zrobię... – mruknął i wierzchem dłoni stał z ust śmietaną.

– Dasz podwyżkę? – odważnie zasugerowała Wanda i bojowo założyła ręce. Zapach nieosiągalnej kawy, choć zmieszany z kwaśnym odorem śledzi, doprowadzał ją do szału. Murek przestał jeść.

– Że słucham? – Popatrzył na nią krzywo. Bezczelna, pyskata czarnuła, diabelskie nasienie! I tak kiedyś ją wywalę, pomyślał.

– Podwyżka. To, że Knychalki nie było na targach, wcale nie jest porażką. Zrobiłam, jak kazałeś, pojechałam do Lubonia, do Małoty, zaznaczam, że dwie podróże tam odbyłam, i rzeczywiście się na niego natknęłam.

– Naprawdę?! I co powiedział? Zgodził się?! – Murkowi rozbłysły oczy.

– Te dwie podróże odbyłam za własne środki.

– Dobrze, dobrze, pomyślę o tym przy premii, a teraz mów, co Ignacy gadał!

– O właśnie, tu gorzej. Ciężki z niego typ, ale będę nad nim pracować. Myślę, że na wywiad jest spora szansa, ale on musi do niego dojrzeć.

Murkowi zrzedła mina.

– Dojrzeć? Jak długo ma zamiar dojrzewać? Rok, dwa? Za dwa lata ty już możesz nie pamiętać, że u mnie pracowałaś.

Wanda silniej oplotła się rękami.

– Myślę, że w ciągu miesiąca sprawa się wyjaśni.
– To trzymaj rękę na pulsie. – Murek nachylił się nad śledziami z zamiarem dokończenia śniadania.

– Ale jest coś jeszcze.

– Bilety? Oddam ci za nie. Na premię trzeba więcej zrobić. Wiesz, jak u nas krucho z pieniędzmi.

– Bilety! – Prychnęła z pogardą. – Coś zdobyłam!

– Co? – Murek popatrzył na nią znużonym wzrokiem.

– Autograf! Mam autograf Knychalki!

– Co?! Co takiego?! – Murek mało nie wyskoczył z miejsca, gdzie siedział. – Pokaż!

Wanda wyjęła z kieszeni kartkę.

– No wiesz! I tak w kieszeni to nosisz?! Nie mogłaś włożyć do jakiejś teczki?! Tak cenną rzecz profanujesz?!
Z wielką czcią rozprostował papier, a Wanda ze zdziwieniem patrzyła, jak dziką radość szefa wywołał ten świstek. Dobrze, ona też się z niego cieszyła i była dumna, że udało się jej go zdobyć, bo ze względu na tajemniczość Ignacego taki autograf był nie byle czym i nawet gdyby Knychalka na tym ogryzku papieru zwykłą kropkę postawił, to też należałoby ją należycie uszanować. Ale reakcja szefa? Żeby aż tak szaleć? Tak gromko na nią przy tym pokrzykiwać?

– Jaki hrabiowski charakter pisma! Od razu widać, że nie byle kto to pisał. Zobacz te wspaniałe zakrętasy. No, spójrz tutaj!

Wanda podeszła bliżej i wbiła oczy w podpis. Niczego szczególnego w nim nie zauważyła. Jakie wspaniałe zakrętasy? Co ten Murek bredził? Pismo było nadzwyczaj proste, wyraźne.

– I jak?

– W porządku. – Wzruszyła ramionami.

– W porządku? Tylko w porządku?! Nie znasz się, i tyle.

Murek schował kartkę do biurka.

– Czemu tu jeszcze stoisz?

– Mam jeszcze jedną sprawę.

– Dobrze, już dobrze, pomyślę o tobie przy premii.

– Rozmawiałam ze Stefą Lurką.

– Tak? Ja również kiedyś z nią rozmawiałem. I to trzy razy co najmniej.

– Ale ja byłam u niej w domu.

– U niej? U Lurki byłaś?! – Murek ponownie się ożywił. – Nie chwaliłaś się, że jesteście w tak bliskich stosunkach! I my jeszcze wywiadu z nią nie mamy?! – Znów się wściekł, spurpurowiał na twarzy i tak trzepnął pięścią w stół, że pudełko po śledziach w śmietanie podskoczyło na wysokość kilku centymetrów.

– Tadeusz – powiedziała ze spokojem, którego zachowanie wobec rozwścieczonego szefa wiele ją kosztowało – na to też przyjdzie czas.

– Czas?! Jaki czas?! Znałaś Lurkę i podczas gdy nasza gazeta tonie jak Titanic w Atlantyku, trzymałaś ją tylko dla siebie?! I ty mi mówisz o czasie?! Każesz czekać?!

– Tak, ale nie przerywaj mi i daj skończyć. Lurkę poznałam dopiero wczoraj przez znajomego. Oczywiście z myślą o naszej gazecie zapytałam, czy nie udzieliłaby mi wywiadu...

– I co? I co?! – przerwał jej niecierpliwie.

– I to, że ona też musi dojrzeć.

– Następną, która musi dojrzeć?! Knychalka musi i ona musi! Co oni, ci pisarze, mają z tym dojrzewaniem?!

– Nie wiem, ale sądzę, że ma to jakiś związek z ich wybujałymi talentami. Musimy uszanować, że decyzje podejmują dłużej niż inni śmiertelnicy.

– Może i racja... Ten Knychałka też jest jakiś nie tego. Pociągami po kraju jeździ, chowa się po stacjach, co za durne życie prowadzi!

– Ale teraz chwilowo osiadł u Małoty i postaram się to wykorzystać.

– Powiedział ci, po co tam osiadł?

Szef wrócił do jedzenia śledzi i pozwolił Wandzie opowiedzieć wszystko, czego się dowiedziała. Nie wyjawiała mu tylko tego, że Knychałce i Stefie dała do recenzji swoją powieść. Szefowi niezbyt się spodobały zasady związanej transakcji, według których Lurka, dopiero gdy Ignacy zgodzi się na spotkanie autorskie, zdecyduje się udzielić wywiadu rzeki, ale w końcu złożył to na karb jej talentu oraz dodatkowo na babską fanaberię.

– Działaj więc i bądź ostrożna.

– Działaj? Chyba raczej powinnam uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż Ignacy się odezwie i powie, że się zgadza.

– Chcesz beczynnie siedzieć?

– Nie beczynnie, mam reportaż do dokończenia.

– O czym piszesz?

– O bezdomnych kotach na Jeżycach.

– O kotach?! Zwariowałaś?!

– Sam mi kazałeś prowadzić kącik dla miłośników zwierząt.

– Ach tak, rzeczywiście... – burknął. – Ale bezdomne koty muszą poczekać, bo teraz będziesz pracować w terenie.

– Jak mam to rozumieć?

– Masz nie siedzieć, tylko tropić tego Knychałkę – ze złością burknął Murek. – Jaką masz pewność, że mu nie odbije i znów jeździć nie zacznie?

– Przecież obiecał, że się odezwie.

– Obiecanki cacanki...

– ...A głupiemu radość.

– Otóż to! Pilnuj go. I ubierz się jakoś ładnie. Może przemówi do niego twój atrakcyjny wygląd. Takiej szansy przepuścić nie możemy! Rozumiesz?! Bo...

– Bo?

– Wiesz dobrze co. A teraz idź już w teren, przez ciebie kawa mi wystygła.



Wanda wyłączyła komputer, zabrała torbę i wyszła z pracy. Skoro miała pracować w terenie, to proszę bardzo, pojedzie w teren, ale czy coś to da? I niby jak ma to robić? Wypatrywać Ignacego zza krzaków?

Na klatce schodowej jak zwykle śmierdziało kocimi siuškami. Palcami zatkała nos i postanowiła, że jeśli zarobi na książce, to wszystkie pieniądze odłoży na nowe mieszkanie. W końcu oszczędzanie od czegoś musi zacząć, a jak dobrze pójdzie, to kiedyś kupi trzypokojowe z dużym balkonem. W jednym urządzi pracownię z wielkim biurkiem, na którym będzie stał wyłącznie laptop, w drugim będzie mieć sypialnię, a w trzecim salon. Obecności Izy pod uwagę nie brała, bo nie sądziła, aby zakupu nowego lokum dokonała przed końcem jej studiów, a tego, że Iza mogłaby mieszkać z nią dłużej, niż miała się uczyć, kategorycznie nie brała pod uwagę. Wyjęła z torebki klucze, ale okazało się to niepotrzebne, bo drzwi nie były zamknięte, co – odrzuciwszy tezę o włamywaczu oraz tym, że któraś z nich zapomniała je zamknąć – oznaczało, iż tym razem jakimś cudem zastała Izę.

– Jestem! – krzyknęła w progu i z ulgą zdjęła niewygodne pantofle. Kiedy już zostanie znaną pisarką, będzie bosy siedzieć za swoim nieprzyzwoicie wielkim biurkiem, pisać świetne książki, a w przerwach na kawę śmiać się z pracujących na etacie. Z pokoju wyszła Iza i cicho powiedziała: – Ktoś na ciebie czeka – a potem szybko, na migi, zaczęła coś pokazywać, krzywiąc się przy tym niemilośnie.

– Że co? – szeptem zapytała Wanda.

Mimika Izy zrobiła się jeszcze straszliwsza, więc Wanda, nie mogąc pojąć, co takiego bratanica chce jej przekazać, popędzana ciekawością, odsunęła ją na bok i wkroczyła do pomieszczenia, w którym ktoś miał oczekiwać na jej przybycie. Jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała siedzącego w starym fotelu Fabiana Małotę! Dziwnie wyglądał, włosy miał w nieładzie, ubranie zmięte, a swoją krzywą postawą komunikował, że w fotel został wciśnięty siłą. Naprzeciw niego siedział Norbas, w skupieniu jadł lejsy i sprawiał wrażenie, jakby go pilnował. Wanda dostrzegła jednak coś jeszcze, coś, co zmroziło jej serce – na stoliku obok laptopa leżał stos kartek. Ktoś rzucił je tam niedbale, a było ich tyle, że szczelnie zakrywały starą politurę. Na oko była tego cała ryza. Ryza zadrukowana małym drukiem... To musiała być jej *Wolność skowronka!* Ale dlaczego?... Skąd?...

Wydawca na jej widok ożywił się i wykonał ruch, jakby chciał wstać, ale Norbas ostrzegawczo podniósł rękę, więc Małota jeszcze bardziej wcisnął się w fotel.

– Co pan tutaj robi? – cienkim głosikiem zapytała Wanda.

Małota spojrział na adoratora Izy, jakby oczekiwał na udzielenie głosu, ale go nie otrzymał, bowiem to Norbas się odezwał:

– Ten gość przyszedł się poawanturować.

– Poawanturować? Ale o co? – W głowie Wandy zakołatała niejasna myśl, że powodem mógł być właśnie jej maszynopis.

– Bo... – zaczął wydawca, jednak Norbas syknął na niego ostrzegawczo i kontynuował:

– Wywrzaskiwał coś o jakimś pisarzu, narzucaniu się, a potem cisnął w Izę tymi papierami. – Wskazał ręką na stolik. – Wrzaski jeszcze bym odpuścił, ale tego, że napadł na moją kobietę, darować nie mogłem. Grzecznie kazałem mu pozbierać tę makulaturę, a że stawiał opór, więc go przełamałem. Ot, i wszystko. – Skromnie wzruszył ramionami.

Wandzie więcej mówić nie było trzeba. Małota sobie tylko znanym sposobem wszedł w posiadanie *Wolności skowronka* i zawrzał z gniewu, że Wanda zmusza Ignacego Knychalkę do czytania, podczas gdy on powinien się skupić tylko i wyłącznie na kończeniu romansu swojego autorstwa, a że własnoręcznie na pierwszej stronie napisała swój adres – znalazł ją bez problemu. Nie tak to się miało ułożyć, oj, nie tak... Mimo że sytuacja spadła na nią jak grom z jasnego nieba, nie uszło jej uwagi, że Norbas zdecydowanie stanął w obronie bratanicy, za co w myślach odnotowała dla niego duży plus.

– Czy mogę coś powiedzieć? – Małocie wreszcie udało się wyartykułować całe pytanie.

– Gadaj pan, przecież nikt panu tego nie broni – z niewinną miną rzekł Norbas.

– Bo muszę coś powiedzieć i proszę mi nie przerywać. – Wydawca poprawił się w fotelu.

– Ale bez wrzasków i inwektyw, bo tym razem przez okno wyrzucę – ostrzegł heroiczny adorator Izy.

Małota łypnął na niego z ukosa i nieco się zacinając (Wanda do tej pory nie zauważyła, aby wydawca się jąkał, wadę wymowy uznała więc za chwilową i spowodowaną nerwowymi okolicznościami), zaczął mówić:

– Te papiery znalazłem...

– Grzebał pan w biurku Ignacego! – weszła mu w słowo Wanda.

– Ależ skąd!

– Więc w jego torbie!

– Też nie!

– To w czym pan grzebał, że je znalazł, co?! – Wanda zatrzęsała się z oburzenia, podeszła do Norbasa, wsadziła rękę do torebki z chipsami, wyjęła kilka i włożyła sobie do ust.

– W niczym nie grzebałem! – rzucił ostro, ale w oczy jej nie patrzył. – Po prostu znalazłem... – Zaciął się. – Ot, tak sobie leżały... – Lekceważąco machnął ręką, jakby chciał niedbałym gestem pokazać, że znalezienie kompletnego maszynopisu powieści jest proste jak trafienie na chodniku na niedopałek papierosa.

– Niby te papiery na wierzchu leżały, co? – zarechotał Norbas.

– Właśnie tak! – I znów spojrzenie w bok rzucone. Łgał jak pies. – Ale nie to jest najważniejsze!

– Tak? A niby co? – uprzejmie zainteresowała się Wanda.

– To, że ta pani – skinął na Wandę głową – nachodzi mojego pisarza, Ignacego Knychalę, i jakąś grafomanią od roboty go odciąga! Kto to widział, żeby tak mężczyźnie się narzucać?!

– Narzucać?... – Wandy twarz stała się purpurowa.

– Oczywiście! Ja rozumiem, teraz są inne czasy, młodzi przekraczają wiele granic, ale pani? Pani, widzę przecież, jest starej daty, więc powinna trzymać swe chętki na wodzy i przykładną postawą udowodniać młodym, że utrzymanie pewnego poziomu przyzwoitości jest jednak możliwe!

Wandzie zabrakło słów, a stojąca w progu pokoju Iza wymieniła z Norbasem porozumiewawcze spojrzenie i zaniósła się histerycznym śmiechem. Norbasowi słowa Małoty również bardzo się spodobały, bo klepnął się w uda i głośno jej zawtórował. Wanda nie miała pojęcia, co tych dwoje tak rozbawiło. Niewykluczone, że w związku z zarzutami Małoty mieli jakieś skojarzenia.

– Cicho! – fuknęła. Iza jednak nie mogła się opanować i wyszła do kuchni, a w ślad za nią zniknął rechoczący Norbas.

– Nie uważam, abym mu się narzucała – powiedziała Wanda wyniośle i usiadła na zwolnionym przez adoratora Izy krześle.

– A ja wprost przeciwnie! Czy pani nie widzi, że zburzyła jego spokój? Dobrze, że w porę znalazłem ten pani tekst! Odnoszę go i proszę sobie dobrze zapamiętać, jeśli jeszcze raz zobaczę, że kręci się pani przy moim Ignacym, już taki miły nie będę!

Wanda jego pogroźkę poważnie nie wzięła. Następnym razem musi być po prostu ostrożniejsza. Ciekawiło ją, czy i Knychalce ten typ urządził karczemną awanturę? Smutno popatrzyła na drobno zadrukowany papier. Z pierwszej, najbardziej pamiętej, strony kłuły w oczy wszystkie namiary na jej skromną osobę. Małota z nich skorzystał, a Ignacy? Czy był na tyle przewidujący i gdzieś sobie zanotował przynajmniej numer telefonu? Przypomniała sobie obietnicę złożoną Lurce. Spotkanie autorskie! Nie sądziła, aby Małota się zgodził, ale aby mieć czyste sumienie, musiała podjąć tę próbę. W końcu nic jej to nie kosztowało.

– Wie pan co...

– Co? – Patrzył na nią z niechęcią, ale Wanda się nie zrażała.

– Mam pewien pomysł, a w zasadzie propozycję.

– Jaką? – czujnie zapytał Małota, zdziwiony nagłą zmianą tonu jej głosu, który brzmiał teraz miękko i przymilnie.

Wanda, podejrzewając, że wydawca może stawiać opór, zawołała w kierunku kuchni:

– Norbas, mogę cię tu na chwilę prosić?

Wydawca drgnął i mocno zacisnął dłonie na oparciach fotela.

– Tak? – W drzwiach pojawił się, przezuwając coś pracowicie, Norbas.

– Pobądź tu chwilę z nami, dobrze?

Chłopak skinął głową i bez zadawania jakichkolwiek pytań oparł się o ścianę. Do roli bodyguarda idealnie się nadawał. Wanda nie miała wątpliwości, że na Małocie zrobiło wrażenie to, jak go Norbas powitał.

– Nie sądzi pan, że dobrze by było, aby Knychałka wystąpił w spotkaniu autorskim? Wie pan, aby zaspokoić ciekawość czytelników.

– Pani chyba żartuje... – Małota parsknął śmiechem, zamilkł i zrobił się biały jak kreda.

Wanda poderwała się z miejsca, przekonana, że znanego z podłego charakteru wydawcę dosięgła sprawiedliwość niebios i zszedł z tego świata, ale nie, oddychał.

– Panie! – Norbas również się do niego zbliżył. – Odezwij się, pan!

– To niedorzeczne! – powiedział nagle Małota i roześmiał się histerycznie.

Wanda patrzyła na niego z wielkim zaskoczeniem. Komu jak komu, ale jemu, wydawcy, na spotkaniu autorskim swego jedyne go autora powinno zależeć!

– Ale dlaczego? Dobrze by było urządzić mu piękne spotkanie. Wiele osób by przyszło. I wręcz uważam, że trzeba Knychałkę do tego zmusić. Pan mógłby się tym zająć.

– Ja? O, to to jest dopiero niedorzeczne!

– Jakiś wyrodney z pana wydawca. – Z niedowierzaniem pokręciła głową. – Żeby panu nie zależało na...

– A właśnie, że mi nie zależy, bo... – Małota umilkł, zastanawiając się nad rozsądnym argumentem, i nagle coś mu przyszło do głowy – bo bez tego wystarczająco dużo na nim zarabiam! Właśnie tak!

– Ale z pana materialista! – Wanda wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Jestem jaki jestem. I naprawdę niedorzeczny jest ten pani pomysł... – Prychnął i zrobił pogardliwą minę.

– Ależ dorzeczny, bardzo dorzeczny – powiedział Norbas. – Zrobisz pan, co dama sugeruje. A teraz fora ze dwora, bo czas na kolację, a nikt niczym nie będzie tu pana częstować!

Wanda spojrzała na niego z wyrzutem.

– Cicho bądź! – syknęła ostrzegawczo. Małota najdoskonalszy nie był, swoje wady miał, niektóre nawet dość dotkliwe dla otoczenia (o czym Wanda przekonała się na własnej skórze), ale żeby traktować go aż tak obcesowo?

– Jeśli pan ma ochotę, serdecznie pana zapraszam na tę kolację – powiedziała głośniej – ale najpierw musimy omówić sprawę spotkania autorskiego.

– Kobieto! Ja mam gdzieś twoje kolacje, a spotkania i tak nie będzie! Nigdy! Coś ty sobie w głowie naroiła?! Najpierw wywiadu się chciało, a teraz jakiegoś spotkania!

– I było mu leżać w zadek z tą kolacją? – retorycznie zapytał Norbas. – Tym bardziej że w lodówce są tylko ogórki w occie i światło. I w związku z tymi ogórkami dobrze by było, aby ktoś zrobił zakupy... – Norbas z nadzieją popatrzył na Wandę.

Udała, że nie dosłyszała, i zwróciła się do Małoty:

– Powiem krótko: sądzę, że żeńskiej części społeczeństwa spotkanie autorskie z Ignacym Knychałką bezwzględnie się należy.

– A ja tak nie uważam. Ignacy jest tajemniczy i takim ma pozostać! Nie będzie ani wywiadu, ani spotkania. – Małota zaśmiał się sarkastycznie. – Pani myśli, że jeśli opuścił tak ważne wydarzenie, jakim są Targi Książki w Warszawie, to skusi się na spotkanie autorskie w Poznaniu?

– Nie wiem, na co by się skusił, ale już pana w tym głowa, aby go do tego nakłonić – powtórzyła.

– Ja mam go nakłonić?! Pani śni na jawie!

Najgorsze w tym wszystkim było to, że Wanda nie miała na podorędziu żadnego argumentu, którym mogłaby przekonać wydawcę do swojego, a raczej Lurki pomysłu.

– Pani musi wreszcie przyjąć do wiadomości, że zorganizowanie tego spotkania jest absolutnie niemożliwe – powtórzył.

– Dlaczego absolutnie i dlaczego niemożliwe? – zapytał Norbas.

– Bo... ja tak powiedziałem!

Dla Wandy stało się jasne – zorganizowanie spotkania z Ignacym nie było możliwe, bo najwyraźniej pisarz znów ruszył w Polskę, a Małota krył go ze wszystkich sił.

– Co? Znów wsiadł do pociągu? – zapytała smutno.

– Do pociągu? – Wydawcę na chwilę zatkało. – Ach tak, tak to można ująć. Wsiadł do pociągu i pojechał za góry, za lasy!

– Skoro się tak zapiera, chyba czas go puścić wolno? – Norbas zwrócił się do Wandy.

Małota, nie kryjąc radosnego uśmiechu, wstał z fotela, ostentacyjnie się przeciągnął i rzucił triumfujące spojrzenie.

– Szkoda – westchnęła Wanda. – Takie spotkanie na pewno przyciągnęłoby wiele osób. Tłumy nawet. To byłoby wydarzenie, jakiego dawno w Poznaniu nie widziano... – Znów westchnęła.

– Niezbyt kapuję, o co chodzi, ale w sprawie organizacji jakichkolwiek imprez byłbym ostrożny – wtrącił Norbas. – Ostatnio na fejsie skrzyknąłem spotkanie na Starym i oprócz znajomych przyłazły też jakieś łajzy. Laliśmy się pół nocy – zakończył z rozanieloną miną.

– Naprawdę? – przeraziła się Wanda.

– Naprawdę!! – Norbas z rozmachem uderzył się pięścią w tors. – Imprezy, a na pewno już te duże, robione z wielką pompą, zawsze niosą ze sobą ryzyko, że coś komuś odpali, zechce się bić albo bombę podkładać.

– W takim razie może to i dobrze, że spotkanie autorskie z Ignacym nie dojdzie do skutku? Nie narazimy go na nieprzewidziane niebezpieczeństwa. Jeszcze jakaś psychofanka z miłości go udusi albo co? – Wanda dopiero teraz wzięła pod uwagę taką ewentualność i bardzo się przeraziła.

– Pewnie! Jeśli wasz gość jest cenny, to dobrze go chrońcie i na świeczniku nie pokazujcie. Nigdy nie wiadomo, kto przylezie na taką imprezę. Seryjny morderca, diler, gwałcieciel, paser, prostytutka... – Norbas pokiwał głową. – A pan na co jeszcze czeka? Przecież mówiliśmy, że w lodówce są tylko ogórki!

Wydawca nie zareagował. Ponownie twarz mu pobieliała i zastygła, jak wtedy gdy Wanda po raz pierwszy rzuciła propozycję urządzenia Ignacemu spotkania autorskiego.

– Więc? – zapytał Norbas.

– Panie Małota, co z panem?! – zaniepokoiła się Wanda. Może ten typ tak miał, że raz po raz zapadał się w sobie? Może ten feler z wiekiem mu się nasilił? Poza martwej natury, którą przybrał Małota, bardzo Wandę zaniepokoiła. Nie wiedziała, co mu jest i dlaczego, a nade wszystko bała się, żeby w jej domu z tego świata nie zszedł, bo sprawiał wrażenie, jakby to lada chwila miało nastąpić.

– Iza! – zawołała. – Przyniesz szklankę wody!

– Nie, nie... – Wydawca ocknął się wreszcie. – Nie trzeba. Mówicie, że takie spotkanie każdego przyciągnie...

– Oczywiście. – Wanda popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Kto jak kto, ale żeby wydawca tego nie wiedział? Nie, zdecydowanie źle z nim było.

– Psychopaci, mordercy... – Małota zadrżał i objął się rękami, jakby nagle owionął go

zimny prąd powietrza.

– Panie, każda hołota może się pojawić! Każda! Oni tylko czekają na spotkania autorskie! – powiedział Norbas.

Wanda straszaniem, jakiego się dopuszczał adorator bratanicy, poczuła się znużona.

– Norbert! – syknęła. – Nie przesadzasz? Bandziory czekają na spotkania z autorami?!

– Kto wie, co motłochowi po łbach chodzi?

– Właśnie – wtrącił Małota – złodziej i morderca też może być wielbicielem literatury, prawda?

– Dobrze pan gada.

– Norbert, dosyć! – Wanda nie mogła tego słuchać. Spotkania z Ignacym nie będzie, przyjęła to do wiadomości, najwyższy czas, aby Małota opuścił jej mieszkanie. – Pan Małota wyraźnie powiedział, że spotkanie z Ignacym jest niemożliwe do zorganizowania, więc nie ma o czym mówić.

– Że co? Że niby co ja powiedziałem?

– To, że nie jest możliwe zorganizowanie spotkania autorskiego z Ignacym Knychałką.

– Naprawdę tak powiedziałem? – zwrócił się do Norbasa.

– Naprawdę.

– Bzdury mówicie! Każdy normalny wydawca aż drży, aby jego autor miał spotkania autorskie! Przecież to dodatkowa sprzedaż książek, więc również i zysk dla wydawcy!

Wanda oniemiała.

– Miałaś rację – szepnął Norbas – to materialista!

– Jakie bzdury, przecież pan... – zaczęła.

– Co ja? Co ja? Spotkanie autorskie bezwzględnie koniecznie trzeba zorganizować! – Wydawca uciął dyskusję.

Wanda patrzyła na niego z rozdziawionymi ustami i niemym zachwytem wymalowanym w swych pięknych, czarnych oczach. Co spowodowało, że Małota, początkowo tak przeciwny jej pomysłowi, nagle zmienił zdanie? Nie miała czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo skoro zmienił front, należało kuć żelazo, póki gorące:

– To może przy okazji da mi pan jakiś na niego namiar? Numer telefonu albo coś? – rzuciła szybko.

– A w życiu! Nie dam pani żadnego namiaru, ale za to spotkanie na pewno będzie, a jakże! – Zatarł ręce.

– Hm... – Wanda podrapała się po brodzie i przez chwilę udawała, że się zastanawia. – Zorganizowanie spotkania autorskiego dla tak znanej osoby to nie lada wyzwanie. Może chciałby pan kogoś do pomocy? Wydawca uśmiechnął się krzywo.

– Zapewne panią, co?

Wanda obruszyła się nieco, ale ciągnęła:

– Nie, skądże. Tym razem nie mam zamiaru się wciskać, bo na tego typu imprezach w ogóle się nie znam, ale jest ktoś, kto zna się bardzo dobrze...

Wydawca ponownie usiadł w fotelu, a Wanda pokrótce opowiedziała mu o spotkaniu z Lurką. Oczywiście tego, że było to ich pierwsze spotkanie oraz przede wszystkim dotyczyło jej książki, mu nie zdradziła. Stefę przedstawiła jako swą wieloletnią przyjaciółkę, z którą często spotykała się na kawkach, herbatkach i ciasteczkach, a tego właśnie dnia, przez zupełny przypadek oczywiście, wpadły na pomysł odarcia z nimbu tajemniczości słynnego pisarza Knychałki – z korzyścią dla jego fanów oczywiście, bo kto to widział, aby w dzisiejszych czasach tak się ukrywać przed żądną kontaktu publiką?

– Naprawdę Stefa Lurka chciałaby się tym zająć? – Wydawca sprawiał wrażenie bardzo

zadowolonego.

– Tak, nie kłamię przecież.

– Niesamowite, naprawdę niesamowite. Przyszedłem tu, ciężko mi to przyznać, z niemalą awanturą, a wyjdę zupełnie z panią pogodzony.

Wanda się uśmiechnęła. Nic nie zapowiadało tak przyjemnego obrotu sprawy. Czują, że spotkanie autorskie z Ignacym Knychałką miała załatwione niemal w dziewięćdziesięciu procentach, bo który pisarz odmówi swemu wydawcy? Tym bardziej że ten wydawca ma wyłączność na jego książki. Świetnie, świetnie – cieszyła się w duchu. Postanowiła, że jeszcze raz spróbuje zawalczyć o numer telefonu Ignacego.

– To może po telefoniku?

– Nie rozumiem.

– Ja dam panu prywatny numer Lurki, a pan mi...

– Niedoczekanie! Daj mu, kobieto, święty spokój! A z Lurką skontaktuję się bez pani łaski. Ma przecież stronę internetową, więc to żaden problem.

Wydawca wstał, widząc jednak przygnębienie malujące się na twarzy Wandy, rzucił pocieszająco:

– Przecież zobaczy go pani na spotkaniu.

Wstał, pożegnał się pośpiesznie, przy drzwiach zatrzymał się na chwilę, przecesał rzadkie włosy, niewyraźnie wymamrotał słowa przeprosin i wyszedł.



O wizycie Małoty, jej przebiegu oraz niespodziewanym zwrocie akcji Wanda chciała poinformować Lurkę jeszcze tego samego dnia, ale pisarka nie odbierała telefonu. Na automatyczną sekretarkę Wanda nigdy nie lubiła się nagrywać, więc i tym razem nie zrobiła wyjątku. Liczyła, że Lurka w końcu oddzwoni, ale tego nie zrobiła. Napisała więc do niej długiego, obfitującego w wiele wykrzykników SMS-a i wysłała. W odpowiedzi otrzymała krótkie: *Dzięki*. Dzięki? Tylko tyle? Nie tego się spodziewała. Myślała, że po babsku obgadają przebieg wypadków, a może i nawet ustalą ramy tego ważnego wydarzenia? Wanda, i słusznie, poczuła się zlekceważona. Udała jej się rzecz tak ważna, niemal karkołomna, oczekiwała więc ze strony Stefy większej porcji entuzjazmu. Po kilku godzinach zgryzoty, gdy już leżała w łóżku przykryta kołdrą obleczoną w ulubioną poszewkę w żółte kwiatki, złe emocje zaczęły ustępować wyjaśniającym postępowanie Małoty i Lurki przemyśleniom. Wydawcy nie mogła się dziwić, że strzegł Ignacego jak kury znoszącej złote jaja, a dla Lurki taka byle Wanda pretendująca do miana pisarki nie przedstawiała żadnej wartości użytkowej. Postanowiła dać jej czas, a sama ćwiczyć cierpliwość. Do Stefy zadzwoni, lub napisze SMS-a, może za jakiś tydzień, i zapyta, co sądzi o *Wolności skowronka*. Nurtowało ją jeszcze to, czy Ignacy w ogóle miał możliwość (a jeśli tak, to czy z niej skorzystał) przeczytania choćby części jej książki? Głowiła się, czy zapisał (albo może zapamiętał?) jej namiary. Wanda w spotkaniu autorskim z pewnością weźmie udział, ale nie łudziła się, że w tak ważnym dniu Ignacy znajdzie dla niej chwilę, aby omówić kwestię nie tylko przyszłości jej pisarstwa, ale również sprawy wywiadu. Musiała więc zacząć działać tak, jak kazał jej szef – w terenie i na własną rękę.



– Nie możesz spać? Jeszcze nie ma piątej. – Iza stanęła w drzwiach kuchni i poprawiła poły należącego do ciotki białego szlafrocza frotté, chomikowanego przez lata na wypadek leczenia w szpitalu. Na tę ewentualność Wanda miała również odłożone nową piżamę oraz koszulę nocną. Obie rzeczy jeszcze nie były rozpakowane i pewnie jedynie to powstrzymywało

Izę przed ich użyciem.

Wanda poprzedniego wieczoru pochopnie zgodziła się, aby w jej kawalerce przenocował Norbas i dopiero po wyrażeniu zgody uświadomiła sobie, że przecież ma tylko jedno łóżko, w którym śpi razem z Izą. Poza tym łóżko po rozłożeniu zajmowało niemal cały pokój, gdzie miał więc spać gość, jeśli podłoga była zajęta? Oczywiście z nimi. Iza, aby ciotka czuła się bardziej komfortowo, położyła się w środku, oddzielając od siebie Wandę i Norbasa, ale ciotki to nie uspokoiło, całą noc nasłuchiwała, sama nie wiedząc, czego chce się dosłuchać, bo Norbas chrapał pełną piersią, co znaczyło, że spał mocnym snem i Izki pod jej dachem nie bałamucił. Dopiero nad ranem młodzi wymknęli się do łazienki, a Wanda nawet nie chciała myśleć o tym, czego mogli się tam dopuszczać. Leżąc, tłumaczyła sobie, że sama święta nie była (i nigdy nie zamierzała zostać), w końcu zaskoczona własnym zgorzeniem wygramoliła się z łóżka i ewakuowała do nieskażonej (miała taką nadzieję) nieprzyzwoitością kuchni.

– Wanda?

– Co? – Wanda ocknęła się i oderwała wzrok od szlafrocza frotté. Iza zdecydowanie lepiej w nim wyglądała.

– Jest przed piątą. Źle się czujesz?

– Z włosów ci kapie – odparła Wanda. Kiedy ta Iza się nauczy wycierać po myciu głowę?

– Wzięliśmy prysznic, więc kapie – odparła z enigmatycznym uśmiechem.

– Norbas długo jeszcze będzie w tej łazience siedzieć? – zapytała, udając, że nie dostrzegła błędnego wyrazu twarzy bratanicy.

– Nie. Już się wyciera. Ale ty mi nie odpowiedziałaś? Coś nie tak u ciebie? – Iza zmarszczyła czoło. Obawiała się, że ponura mina ciotki była wynikiem obecności Norbasa.

– Nie. Wszystko w porządku. – Pomieszała w kubku. Każdego ranka piła kawę zmieszaną z kakao. Bardzo taki napój lubiła, ale po wizycie Małoty nie wydawał jej się tak smaczny jak wcześniej.

– Nie wyglądasz zbyt dobrze – zauważyła Iza i wyjęła z lodówki margarynę oraz żółty ser w plasterkach. – Może weź kilka dni urlopu i odpocznij?

– Urlop? – prychnęła Wanda. – Zapomnij.

– Gdybym miała takiego szefa, dawno bym go zmieniła.

Wanda wrzuciła ramionami. Ci młodzi gniewni! Ona taka nie była, panicznie bała się zmian, bo a nuż okażą się gorsze od tego, co jest obecnie. Dlatego powinna jak najszybciej wybrać się do Lubonia i mieć na oku mieszkanie wydawcy. Może tym razem jej się poszczęści i natknie się na Knychalkę? Wstała z kuchennego narożnika i wylała do zlewu zawartość kubka. Musiała przyszykować się do wyjścia, a okoliczności po temu sprzyjały, bo Norbas wrócił do łóżka, żeby jeszcze pospać, więc Wanda mogła korzystać z łazienki. Szybko umyła zęby, przeczesła włosy i się ubrała. Na szczęście poprzedniego dnia w łazience naszykowała sobie rzeczy, więc nie musiała wchodzić do pokoju, w którym Norbas się wylegiwał. Wkroczyła do przedpokoju i pociągnęła usta błyszczkiem.

– Wychodzę – rzuciła.

Iza stanęła w progu.

– Tak wcześniej? – Bratanica spojrzała w kierunku pokoju, z którego dochodziło pochrapywanie jej chłopaka.

– Na pracę pora dobra jak każda inna. A nawet lepsza, bo rano jest spokojniej.

Iza podeszła do Wandy i cicho zapytała:

– Wkurza cię, co?

– Niby on? – Wanda skinęła głową w kierunku pokoju.

– Tak. – Iza patrzyła na nią z napięciem.

– Nie aż tak bardzo.

– Powiedz prawdę, a więcej się tu nie pojawi.

Wanda ową prawdę miała na końcu języka, ale się powstrzymała. Przecież własnego zamilowania do świętego spokoju nie mogła przedłożyć nad szczęście jedynej bratanicy.

– Dobra, powiem. Nie przeszkadza. W ogóle nie przeszkadza.

– Serio? Serio mówisz?

– Serio, serio.

Iza patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Gdy wrócisz, już go tu nie będzie – obiecała z niemałym trudem.

– A róbcie, co chcecie.



Niestety, tej wyprawy Wanda do udanych zaliczyć nie mogła. Gdy dojechała na Dębiec, przez krótką chwilę myślała, że szczęście się do niej uśmiechnęło, bo po wyjściu z tramwaju w oddali zauważyła niepozornego, idącego w kierunku pętli mężczyznę. Natychmiast podążyła jego tropem. Osobnik, mimo dość ciepłego ranka, miał postawiony kołnierz, za którym – tak to Wanda odebrała – chował twarz. Serce jej zadrżało. Ignacy Knychałka?! W tej chwili podjechał tramwaj numer dziewięć. Ludzie zaczęli do niego wsiadać, a mężczyzna przyspieszył kroku. Wanda uczyniła to samo, ale pechowo potknęła się i upadła. Kierowca zadzwonił, dając znak, że pojazd zaraz ruszy, na co osobnik puścił się biegiem i w ostatniej chwili wskoczył do pojazdu. Wanda poderwała się z kolan, ale drzwi już się zamknęły.

– Panie Ignacy! – zawołała. Mężczyzna spojrział na nią zza szyby, ale dzieląca ich odległość oraz postawiony kołnierz uniemożliwiały stwierdzenie, czy na pewno to był pisarz.

Wanda smutno patrzyła, jak dziewczątka uwozi go w głąb Poznania, a on, ten domniemany pisarz, patrzył na nią. Gdy straciła z oczu tramwaj, zawróciła i powoli poszła na przystanek autobusowy. Przez jakiś czas rozmyślała o tajemniczym, chowającym swoją twarz mężczyźnie, ale im więcej czasu mijało od tego spotkania, tym bardziej wątpiła, że osobnikiem tym był Ignacy. Od chwili gdy odjechał, natknęła się jeszcze na co najmniej pięciu niepozornych mężczyzn, którzy w jakiś sposób przypominali jej pisarza, dlatego z każdą mijaną minutą opadała ją coraz większa wątpliwość, czy ten, przez którego stłukła sobie kolano, na pewno był tym właściwym. Jakąż typową urodę reprezentował! Westchnęła. Kto to widział, żeby tak wybitny pisarz tak pospolicie wyglądał! Z dezaprobatą pokręciła głową.



Pod blokiem wydawcy, schowana za znajdującym się na wprost jego okien śmietnikiem, spędziła dziesięć śmiertelnie nudnych minut i być może odcierpiałaby jeszcze kolejnych dziesięć, gdyby nie zaczął jej facet wynoszący śmieci. Wyglądał na sześćdziesięciolatka, był otyły, odziany w rozciągnięty, znoszony dres, a na nogach miał białe plastikowe chodaki. Popatrzył na nią z zainteresowaniem, wyrzucił śmieci, a gdy zrobiła krok w tył, aby skryć się za murkiem, podszedł do niej i zapytał:

– Co pani tu robi?

Już szykowała w myślach jakąś sensowną odpowiedź, ale w kuchni Małoty ktoś uchylił okno, więc natychmiast skierowała tam wzrok.

– Nie ma się czego wstydzić. Ja, wie pani, zarabiam dość nędznie i rozumiem tych, co nic nie mają.

Wanda oderwała oczy od kuchennego okna.

– To nie tak... – zaczęła.

– Dobra tam! Powiedziałem, że nie ma się czego wstydzić. Pani tu poczeka, idę na zakupy. Co by pani zjadła? Bułkę, rogała? Paszтетową? Albo nie. – Chwycił ją za rękę. – Chodźmy razem i sama sobie pani wybierze, na co ma ochotę.

– Ale ja niczego nie potrzebuję!

– Nie mnie takie głupoty. Chodź pani, może mnie kiedyś pani pomoże.

Facet nadal mocno trzymał Wandę za rękę. Spróbowała ją wyszarpnąć, ale uścisk był tak silny, że prędzej wyrwałaby sobie rękę ze stawu, niż oswobodziła.

– Niech się pani nie szarpie i idzie ze mną.

Poszła więc z nim do najbliższego spożywczego, gdzie dla świętego spokoju wybrała serek wiejski i bochenek chleba.

– A tej paszтетowej pani nie chce? Gwarantuję, dobrą mają.

– Nie. Tyle mi wystarczy.

– Następnym razem polecam paszтетową. Palce lizać. – Po czym podał jej numer swojej klatki oraz mieszkania, na wypadek gdyby nie pojawił się przed śmietnikiem w czasie, gdy – jak sądził – ona ponownie będzie w nim buszować. Wanda oczywiście adresu nie zapamiętała. Podziękowała szczeremu ofiarodawcy za zakupy oraz z trudem wybroniła się od przyjęcia drobnych na autobus, argumentując, że ma jeszcze parę złotych, które zostały jej z wczorajszego zebrania. To wreszcie przemówiło do mężczyzny, zostawił więc Wandę przed sklepem i oddalił się w kierunku bloku, w którym mieszkał Małota.

Odczekała, aż Biały Chodak zniknie na klatce, i zamierzała ruszyć jego śladem, ale się rozmyśliła. Nie, to nie był dobry pomysł. Nie teraz. Przez chwilę stała jeszcze i patrzyła na blok, w którym mieszkał wydawca. Westchnęła i skręciła w kierunku Wzgórza Jana Pawła II. Za Centrum Pajo zatrzymała się przy małym strumyczku i podarowanym chlebem nakarmiła pływające tam kaczki. Serek wiejski, na wypadek gdyby w domu lodówka była pusta, zachowała dla siebie. Przy wzgórzu skręciła w prawo z zamiarem udania się na pobliski przystanek autobusowy, ale ostatecznie skonkludowała, że wolnego czasu ma aż nadto, a jej kondycja jest dość kiepska, lepiej więc będzie, jeśli na Dębiec uda się spacerkiem. Czekala ją plus minus trzykilometrowa przechadzka, ale przecież nigdzie się nie spieszyła.



Spacer nie sprawił jej żadnej przyjemności. Do połowy drogi myśli jej rozpraszał zsuwający się z ramienia pasek torby, a po połowie poczuła, że jest strasznie głodna, a do tego otarł ją prawy but i upieranie się przy dalszej wędrówce byłoby aktem masochizmu. Wobec zaistniałego splotu niesprzyjających okoliczności zmuszona była skorzystać z komunikacji miejskiej. Z ulgą wsiadła do nadjeżdżającego autobusu. Oparła się o siedzenie, które zajmowała starsza pani, i otworzyła torebkę, licząc, że może jakimś cudem zabłąkał się tam zapomniany baton lub choćby małe ciasteczko. Zjedzenia serka pod uwagę nie brała, bo łyżeczki ani widelca nie miała w zwyczaju ze sobą nosić. Podczas przeglądania zawartości torebki rzuciła okiem na komórkę. Ktoś przysłał SMS-a. Stefa?! Wanda w jednej chwili zapomniała o głodzie. Lurka pisała krótko i dramatycznie:

Wandeczko! Wpadnij do mnie natychmiast! Wszystko się skomplikowało!

Wszystko?! To znaczy co? Wybrała numer do pisarki. Tym razem szczęście jej dopisało, bo Stefa odebrała. I to natychmiast.

– Wandeczko! – cienko zaćwierkał znajomy jej głos. – Naprawdę nie chciałam cię niepokoić, bo zapewne w pracy jesteś...

– Nie, nie – zaprzeczyła pospiesznie. – Co się stało?

– Już sama nie wiem, co robić! Kochana, świat się wali! – Lurka cienko siąknęła nosem.
– Ale to nie jest rozmowa na telefon. Musimy niezwłocznie się spotkać i wtedy wszystko ci opowiem.
– Kiedy się spotkamy?
– Choćby od razu! Dasz radę?
– Stefo, dla ciebie zawsze! Gdzie mam przyjść?
– Wpadnij do mnie, kochana. O tej porze nie jestem jeszcze odpowiednio zrobiona, aby pokazywać się ludziom w mieście.



Było około dziesiątej, gdy Wanda zadzwoniła do furty pisarki. Stefa chyba czekała na nią w oknie, bo natychmiast otworzyła drzwi i wybiegła naprzeciw, powiewając połami różowego peniuaru. Makijaż oraz fryzurę miała całkowicie dopracowane. Aby mogła pokazać się ludziom, wystarczyło więc jedynie zdjęcie frywolnego fatalaszka i włożenie bardziej nobliwego stroju. Najwyraźniej nie chciało jej się wychodzić z domu, stwierdziła Wanda.

– Jesteś! Wandeczko, kochana, jesteś wreszcie! – Lurka rzuciła się pędem do powitania, aż Wanda się przeraziła, że zaraz zostanie staranowana lub uduszona w rozpaczliwym uścisku. Nic takiego jednak nie nastąpiło, bo Stefa nagle gwałtownie przystanęła i poprzestała na chłodnym uściśnięciu dłoni. Ot, pisarska nieprzewidywalność.

– Co się stało?!

– Ach, kochana, wejdźmy do środka. Opowiem ci wszystko już za chwilę, gdy tylko przyjedzie Iwona, bo rzecz jest tak bolesna, że dwa razy nie chcę wszystkiego powtarzać.

– Iwona?

– Tak. Cieciorka.

– Naprawdę? – Wanda się ucieszyła, że pozna kolejną poznańską pisarkę.

– Tak, tak. Ale wejdźmy już do środka.

– A twój mąż? Jest w domu?

– On? A gdzie tam! – Lurka lekceważąco machnęła wypielęgowaną dłonią. – Znów ma jakiś dyżur. Ale to dobrze, nie będzie nam przeszkadzał.

Weszły do środka. W powietrzu unosił się zapach nie tylko kawy, ale również smakowitego jedzenia.

– Właśnie miałam zasiąść do śniadania... – Lurka przerwała i puściła gościa przodem. Wanda ponownie znalazła się w wielkim salonie Stefy i ponownie z zazdrością rzuciła okiem za okno, na taras. Potem dopiero skierowała wzrok na stolik, który zastawiony był po brzegi – stały tam dzbanek, miseczka z gotowanymi jajami, jakaś sałatka, tosty, masło, dwie salaterki z dżemami, koszyczek z pieczywem oraz trzy nakrycia. Wanda nie miała pojęcia, jakim cudem na tak małym stoliczku pomieściło się aż tyle dobra. Czy był obdarzony cudownymi właściwościami, czy była to zasługa zaradnej pani domu? Przełknęła ślinę.

– Siadaj, proszę, i się częstuj.

Wanda najchętniej od razu zabrałaby się do jedzenia, ale powstrzymały ją przed tym wpajane od dzieciństwa zasady dobrego wychowania. Ponadto czuła się niezręcznie, bo nie miała niczego, czym mogłaby obdarować gospodynię. Za pierwszym razem również przyszła z pustymi rękoma i teraz sytuacja się powtórzyła. Nieładnie, oj, nieładnie... Nagle przypomniała sobie o schowanym w torebce serku wiejskim.

– Dziękuję, bardzo chętnie – powiedziała i powoli, unikając wlepiania głodnego wzroku w uginający się stolik, zajęła to samo miejsce, na którym siedziała podczas pierwszej wizyty. – Stefo, pozwolisz, że i ja coś dorzucę do tego miłego śniadanka? – Włożyła rękę do torebki,

wyjęła serek i nie zwracając uwagi na zdziwienie pisarki, wcisnęła go między koszyczek z pieczywem a miseczkę z dżemem.

– Ach tak... rzeczywiście... sery! Zupełnie o nich zapomniałam! Ale jedźmy już.

Nie pytając gościa o preferencje, do filiżanek nałala kawy z mlekiem. Wanda podziękowała niewyraźnie, bo zdążyła już pochwycić bułkę, bez przekrawania maznąc ją masłem, ugryźć spory kawał oraz wpakować do ust pół niedbale obranego ze skorupki jajka na miękko. Stefa napiła się kawy, kromkę chleba (bez masła, co nie uszło uwagi Wandy) musnęła dżemem i niespiesznie zaczęła jeść. Wanda była w połowie pochłaniania bułki, gdy rozległ się dźwięk domofonu.

– To pewnie Iwona – powiedziała Stefa. Na brzeg talerzyka odłożyła chleb, dyskretnie wytarła usta i poszła przywitać gościa.



Iwona Cieciorka wyglądała na wzburzoną, a wrażenie to dodatkowo potęgowały jej nastrożone, suche jak siano włosy. Wanda знаła ją jedynie z wywiadów udzielonych w telewizji oraz z fotografii w gazetach i z tego, co pamiętała, Iwona zawsze nosiła krótkie blond włosy. Najwidoczniej jednak w ostatnim czasie postanowiła je zapaść, bo sięgały ramion, ale w niczym nie przypominały wypielęgowanych fryzur blond kociaków. Po tym, co miała na głowie, można było wnioskować, że do czasu osiągnięcia wymarzonej długości pozwoliła czuprynie żyć własnym życiem. Makijażu nigdy nie nosiła, więc tym razem również nie była umalowana i gdyby nie koszula w wielobarwną kratę, wyglądałaby mdło i nijako.

– Dzień dobry – burknęła do Wandy i obrzuciła ją nieprzyjemnym spojrzeniem. – Iwona Cieciorka jestem, ale ręki nie podam, bo mnie boli.

Rzeczywiście, coś z jej prawicą było nie w porządku, bo lewą dłonią przyciskała do niej chusteczkę higieniczną, której brzegi zabarwione były na czerwono. Krwią zapewne, bo czym innym? Wanda przedstawiła się pisarce i z troską popatrzyła na jej rękę.

– Siadaj. – Lurka wskazała wolne krzesło. – Co się stało?

– Kot mnie drapnął. Podłe bydlę.

Bydlę? Wanda z osłupieniem spojrzała na Cieciorkę. Jak mogła tak mówić o kocie? Poczytna pisarka powinna być wzorem dla społeczeństwa, a tu z wielką pogardą i – o zgrozo! – nienawiścią prawie tak brzydko określiła Bogu ducha winne stworzenie. Sama Wanda, przyznawała się do tego uczciwie i bez naciskania, za tymi zwierzakami nie przepadała – paskudziły na klatce, po nocach miauczały jak zarzynane – ale krzywdy, nawet złym słowem, nigdy by im nie zrobiła. Nie przeganiała, a zimą często dokarmiała, doskonale zdając sobie sprawę, że tym samym zachęca je do stałego związania się z tym miejscem. Ale nie dbała o to. Grunt, że zwierzakom było dobrze. A teraz w ustach znanej autorki pikantnych miłosnych historii owo *podłe bydlę* zabrzmiało niczym huk z armaty oddany w spokojną cichą noc.

– Musisz koniecznie iść do lekarza. Może cię czymś zakaził? – zatroszczyła się Wanda.

– Nic mi nie będzie. – Cieciorka mocniej ścisnęła rękę.

– Napijesz się kawy z mlekiem? – zaproponowała Lurka.

– Daj.

Stefa napełniła filiżankę, a Iwona wzrokiem wskazała, w którym miejscu na stoliku ma ją postawić. Była w podłym nastroju, bo nadal męczyło ją wspomnienie owego prześmiewczego tekstu na blogu Dziuni W. Sam wpis mogłaby jeszcze przełknąć, ale hejterskich pod nim komentarzy nigdy. Rozpętana złośliwa dyskusja żywo obrażała jej twórczość, a wszystkie uwagi mocno zapadły w pamięć i poraniły uczucia. Iwona niejednokrotnie odnosiła wrażenie, że komentujący mają prowodyra, który podjudza, podpuszcza, podgrzewa atmosferę i nie pozwala

na szybkie wygaśnięcie polemiki. Ponadto niemal od początku dręczyło ją przecucie, że ów prowodyr ukrywa się pod wieloma nickami i często dyskutuje sam ze sobą, wyśmiewając Iwonę na wszelkie możliwe najbrzydsze sposoby. Spostrzeżeniem tym podzieliła się ze Stefą, ale ta rozwiła jej wątpliwości, twierdząc, że na całym świecie nikt nie jest aż tak chory, aby podszywać się pod niemal sześćdziesiąt nicków po to tylko, by zhejtować jej książki. Krótco przed odebraniem telefonu od Stefy Iwona zgłębiała najzjadliwsze opinie, które nabuzowały ją do tego stopnia, że kilka razy przez głowę przeleciała jej myśl, aby na zawsze porzucić pisanie i wybrać bardziej przyziemne zajęcie. Siły z niej opadły, żyć się odechciało i najchętniej siedziałaby w domu (nawet z tym piekielnym kotem), a tu nagle Lurka zadzwoniła i krótko rzuciła rozkaz: *Przyjedź do mnie natychmiast! Czy przyjaciółce się odmawia? I w dodatku TAKIEJ? Nie. Przyjechała więc. Niechętnie, ale na wezwanie się stawiała. Teraz musiała u niej siedzieć i znosić towarzystwo jakiejś baby, która nie dość, że była ładna, to jeszcze ćwiczyła się w pisaniu książek. Następną, której Nagroda Nike śni się po nocach?*

– Więc o co chodzi? – zapytała Cieciora.

Wanda również była ciekawa przyczyny tego zebrania, które owszem, ją ucieszyło, ale przede wszystkim poważnie zaniepokoiło. Miała nadzieję, że złe wieści, a właśnie takich się spodziewała, nie będą dotyczyć jej książki.

– Chodzi o tego Knychalkę, tak? – zapytała Iwona, a Wanda mogłaby przysiąc, że usłyszała ciche zgrzytnięcie zębów.

– Ignacego? Co z nim? – Wanda niespokojnie wierciła się na krześle.

– Ach! – Lurka z wściekłością zacisnęła pięści.

– Nie! Tylko nie mów, że się nie zgodził! – Iwona ponownie zgrzytnęła.

– Poczekaj! – uciszyła ją Lurka. – Wandeczko, już cię wprowadzam w całą sprawę. Otóż wczoraj wieczorem odbyłam rozmowę z Fabianem Małotą w sprawie zorganizowania spotkania autorskiego z tym jego tajemniczym pisarzem. – Przewróciła oczami.

– O, szybko się ze sobą skontaktowaliście! – rzuciła Wanda.

– Tak, też się z tego cieszę, ale do rzeczy. Na początku Fabian był zachwycony pomysłem pokazania świata swego autora i nie torpedował żadnego z moich pomysłów dotyczących organizacji imprezy.

– Ignacy przy tym był? – zainteresowała się Wanda.

– Nie. Nie wiem. – Stefa wzruszyła ramionami. – Może stał gdzieś obok. Przez telefon wszystko omawialiśmy. W każdym razie Fabian obiecał, że wpłynie na Ignacego, aby wyszedł do ludzi, a o efekcie tej rozmowy miał mnie poinformować dzisiaj rano. Kochane! Żebyście wiedziały, co ja przez tę noc przeżyłam! Ile nerwów sobie zszargałam! I wszystko na nic, bo przed godziną usłyszałam, że Knychalka kategorycznie odmawia wzięcia udziału w jakichkolwiek spotkaniach. Fabian twierdzi, że powoływał się nawet na mój pisarski autorytet, ale nawet to do tego uparciucha nie przemówiło! Poprosiłam, żeby jeszcze raz z nim porozmawiał, do rozumu przemówił, ale odparł, że to nie ma sensu. Powiedział też, że u Knychalki uparty charakter idzie w parze z upodobaniem do zachowania tajemniczości, więc nic z tego nie będzie.

– To kicha – skwitowała Iwona.

Wanda posmutniała. Porażka Stefy była również jej porażką. Poza tym co będzie z jej książką? Czy Stefa na pewno będzie pilotować wydanie *Wolności skowronka*? A co z wywiadem? Czy zgodzi się na rozmowę dla gazety?

Lurka westchnęła.

– Zawołałam was, bo sądziłam, że we trzy łatwiej coś wymyślimy.

– Mnie nic do głowy nie przychodzi – powiedziała Cieciora.

– Ani mnie – dodała Wanda, ciesząc się w duchu, że na razie Stefa o wycofaniu się ze wsparcia nie wspomniała.

– Wiecie co... a ja chyba coś wymyśliłam... Coś związanego z naszą uroczą Wandeczką. – Lurka popatrzyła na nią zmięszonym spojrzeniem, a Wandzie wzdłuż kręgosłupa przebiegł zimny prąd.

– Droga Wandziu – powiedziała kategorycznie pisarka – ponieważ miałaś kontakt z Ignacym, musisz go odnaleźć. Ale skutecznie tym razem! Nie interesuje mnie żadne połowiczne załatwienie sprawy. Masz się do tego przyłożyć, bo nie tknę twojej książki! I tak ci życie uprzykrzę, że... – Wycelowwała w nią palec, ale nie dokończyła.

– Inaczej się umawiałyśmy! – z wyrzutem wykrzyknęła Wanda.

– Owszem, pamiętam. Ale teraz zrobiłam aneks do tamtej umowy. – Lurka obserwowała, jak zmienia się wyraz twarzy Wandy. Kąciki ust jej opadły, a na czole pojawiła się zmarszczka. Ku swemu zdziwieniu odczuła coś na kształt wyrzutów sumienia: – Jeśli będziesz skuteczna, obie z Iwoną udzielimy do „Z literaturą na ty” wywiadu, jakiego ludzkie oko nie czytało – powiedziała łagodniej.

– Wywiadu? O jakim wywiadzie ty mówisz? – Iwona popatrzyła na Stefę z osłupieniem. – I niby do czego? Do tego szmatławca?

– Milcz, Iwona! Jeśli ja mówię, że wywiadu udzielisz, to udzielisz...

– Ale Stefo...

– I książkę Wandy również przeczytasz!

– Po co?

– Żebyś i ty miała podstawy do wystawienia recenzji. – Wandzie wydało się, że Stefa mrugnęła do Iwony lewym okiem, ale pewności nie miała, więc nie przywiązała do tego wagi.

– Ostatecznie, co mi szkodzi, mogę rzucić okiem...

– Nie tylko rzucisz okiem, ale również podpowiesz niezbędne poprawki.

– Skoro tak mówisz...

– Tak właśnie mówię. I, Wandeczko, obiecuję ci, że z *Wolności skowronka* zrobimy bestseller, jakiego literacki świat nie widział.

– *Wolność skowronka*? – Iwona z niedowierzaniem popatrzyła na Wandę, a Lurka zmarszczyła idealnie wyskubane brwi i obdarzyła ją ostrym spojrzeniem.

– Więc jak? Umowa stoi?

– Chyba tak... a może by...

– Co znowu? – burknęła Stefa.

– Mam świetny pomysł! Może zrzucimy się na detektywa, który wytropi Knychalkę i dopiero wtedy wkroczę do akcji?! – Wanda z zadowoleniem popatrzyła na pisarki. Pomysł wydał się jej genialny. Że też wcześniej na to nie wpadła. Murka nie mogła obwiniać, że ją jedną zaangażował w szukanie Ignacego, bo oszczędność była jego drugą naturą, ale gdyby we trzy zrzuciły się na profesjonalistę, na pewno naprowadziłyby je na nieuchwytnego pisarza. Och, co za świetny pomysł! Wanda powiodła wzrokiem po stoliku. Może coś jeszcze przekąsi? Świetny pomysł dobrze jest nagrodzić smaczną kanapczką.

– Co?! – wrzasnęła Lurka, a Wandzie natychmiast odeszła chęć do jedzenia. Nie, tego było za wiele! U Stefy była raptem drugi raz i znów czuła się jak na huśtawce. Przebywanie z osobą o tak nierównym charakterze źle jej robiło.

– Mogłybyśmy zrzucić się na detektywa... – powiedziała cichutko, lecz miny pisarek mówiły, że nie zakochały się w tym pomysłe. Ale dlaczego? Ha, jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze. No, kogo jak kogo, ale te dwie o deficyty finansowe nigdy by nie podejrzewała...

– Ale ja nie mam na myśli żadnego znanego, żadnego drogiego...

Iwona zaczęła śmiać się głośno, przesadnie i znów, jak na gust Wandy, nieco zbyt histerycznie. Nie, zdecydowanie śmiech atutem tej Cieciorki nie był.

– Powiedziałam coś nie tak?

– Stefa, ona pyta, czy coś nie tak powiedziała! Kumasz?! – Po policzkach Iwony potoczyły się łzy. Otarła je wierzchem zdrowej dłoni. – Dawno nikt mnie tak nie rozbawił.

Wanda patrzyła na nią z osłupieniem. Poza motywem finansowym nie mogła dostrzec żadnego innego, który mógłby wywołać tę dziwną reakcję.

– Powiedziałam coś nie tak? – powtórzyła zirytowana.

– Ty, ona... – zaczęła znów Iwona ze śmiechem, ale Stefa przerwała jej machnięciem ręki.

– Wandeczko, kochanie, twój pomysł jest ... – Lurka przerwała, poprawiła włosy i wygodniej ułożyła się na krześle. – Hm... jest całkowicie... – Szukała w myślach właściwego określenia.

– Do bani! – wtrąciła Iwona. – Do bani jest ten pomysł, nie ma co owijać w bawełnę!

– Cicho bądź! – Lurka ofuknęła Cieciorkę. – Nie jest do bani – zwróciła się do Wandy, ale...

– Do dupy!

– Bo cię wyproszę!

– Wiesz co? Sama wyjdę. Wyjdę na twój piękny tarasik, wypalę papierosa, a gdy się uspokoję, sama wrócę.

– Lewą ręką dasz radę?

– Co lewą?

– Czy lewą dasz radę zapalić papierosa? – słodko zapytała Lurka.

– Dam czy nie, moja sprawa.

Iwona wstała i z poważnym trudem otworzywszy drzwi balkonowe, wyszła na taras, a po chwili wahania zeszła po schodkach do ogrodu.

– Zjedz coś jeszcze. – Stefa zachęciła Wandę z nagłą troskliwością. – Dolać ci kawki?

– Nie, dziękuję.

– A może herbatki ci zaparzę?

– Chętnie.

Lurka pospiesznie wyszła do kuchni, a gdy zjawiła się z herbatą, Wanda wróciła do wyśmianego przez pisarki pomysłu:

– Dlaczego nie chcecie zgodzić się na detektywa?

Lurka zmarszczyła czoło, spojrzała przez okno na palącą w ogrodzie Cieciorkę, potem na Wandę i przejechała dłonią po czole. Nie, zdecydowanie musiała nad sobą panować. Cel mogła osiągnąć jedynie spokojem.

– Dlaczego? – Wanda zapytała ponownie, bo panująca cisza wyprowadzała ją z równowagi.

– Widzisz... – zaczęła Lurka ostrożnie. – Bo widzisz... my bardzo chcemy namówić Ignacego na spotkanie autorskie, lecz sądzę, sądzimy – poprawiła się – że żaden detektyw, nawet najlepszy pod słońcem, nie zabierze się do sprawy tak dobrze, jak zrobiłaby to kobieta. Jak ty byś to zrobiła...

– Bzdura! – Wanda wzruszyła ramionami. – Profesjonalista odnalazłby go raz-dwa, podał na tacy wszelkie dane, a ja pół roboty miałabym z głowy.

– Profesjonalista? – podchwyciła Lurka. – Myślisz, że Ignacy profesjonalisty nie przejrzy? Osobnik tak przeczulony na punkcie własnej prywatności każdego detektywa

wywącha, a wtedy koniec z naszą akcją.

– Jeśli wyczuje profesjonalistę, mnie tym bardziej wytropi – przytomnie zauważyła Wanda.

– I dobrze! Niech wytropi! Ładniutka jesteś... a on nic, tylko pociągami jeździ, więc kobiety jest wygłodniały.

– Stefo! Jak możesz tak mówić, tak brzydtko o mnie myśleć?! Sądziś, że mu do łóżka wskoczę?

– Oj tam, nie gniewaj się, takie jest życie.

– Nie podoba mi to, co sugerujesz.

– Źle mnie zrozumiałaś. Jeśli poczułaś się urażona, przepraszam. Ale prawda jest taka, że ten okropny świat opiera się głównie na seksie, pieniądzach i...

– I morderstwach – wtrąciła się nagle Cieciorka, która, nie wiedząc kiedy, bezszelestnie wróciła do salonu.

– Och, ta Iwona i jej skłonność do przesady – zachnęła się Stefa. – Nie strasz naszej Wandy, bo ucieknie gdzie pieprz rośnie.

– Uciekniesz? – Cieciorka uśmiechnęła się krzywo i złośliwie.

– Nie, ale przyznam, że ciężko mi się z wami rozmawia. I nie podoba mi się, że...

– Och, mnie w życiu wiele rzeczy się nie podoba, a co do ciężaru rozmowy...

– Im sprawa ważniejsza, tym rozmowa cięższa – mentorskim tonem rzuciła Iwona.

– Uważamy, że wprost idealnie nadajesz się do przeprowadzenia tej akcji, a jak rola cię przerasta, to... do widzenia. Nie będziesz mieć wydanej książki, bo wydawcom odpowiednio o tobie opowiemy, a na wszelkich forach, blogach i portalach wystawimy takie opinie, że jeśli nawet sama byś sobie tę książkę wydrukowała, nikt jej nie przeczyta. Zostaniesz z kupą makulatury i debetem na koncie. No i oczywiście z wywiadów również nici.

– Stefo!

Wanda czuła, że znalazła się pod murem. Czy mogła im odmówić? Teraz, gdy ją zaszantażowały?

– No dalej – popędziła ją Iwona – wchodzisz w to?

Wanda pomiętoszyła w dłoniach kromkę chleba i powiedziała:

– Tak, oczywiście.



Burzliwe spotkanie u Lurki zakończyło się po trzynastej. Ścisłej ujmując, zakończyło się dla Wandy, bo Cieciorka jeszcze została u Stefy, mówiąc, że ma z nią do pogadania.

Wandzie kręciło się w głowie, czuła się bardzo zmęczona. Miała wrażenie, że pisarki wysysały z niej wszystkie siły i radość życia. Oddalanie się od pięknej willi miało jednak działanie terapeutyczne, bo będąc już w znacznej odległości od domu Lurki, Wanda poczuła nagle porządny głód. Śniadaniem u Stefy niewiele się posiliła, a żywiołowa dyskusja spowodowała stratę pozyskanej energii. Na myśl przyszły jej naleśniki z serem, pomidorowa z ryżem i placki ziemniaczane. Zastanowiła się nad wyborem baru i postanowiła wejść do Caritasu. Tego dnia na pewno nie zamierzała udawać przed sobą, że jest zwolenniczką zdrowego jedzenia i liczenia kalorii.

Placki były wspaniałe. Wanda kończyła pierwszą porcję, zamierzała zamówić kolejną, gdy czyjeś dłonie zasłoniły jej oczy. Chciała je zdjąć z twarzy, ale się nie dały. Ręce, mimo że trzymały mocno, były delikatne i przyjemnie czymś pachniały, a woń wydała jej się znajoma. Niuchnęła raz, drugi i rozwiązała zagadkę: tak pachniał jej, kupiony za ciężkie pieniądze, krem pod oczy!

– Izka! Brałaś mój krem! – wrzasnęła, a dłonie natychmiast puściły.

Faktycznie to była jej bratanica. Przysiadła obok Wandy i wzruszyła ramionami.

– No... tak... Ale niewiele, bo mnie szczypał. A co tu sobie jadłaś? – Iza szybko zmieniła temat, przysunęła ku sobie ciotczyną porcję i dokończyła placek. – Pycha! – Tęsknie popatrzyła na pusty talerz. Wandzie natychmiast zrobiło się jej żal. Ot, nieoobyta, biedna dziewczyna. Sierota niemal. I jak tu takiej czegokolwiek żałować?

– Zamawiam drugą porcję. Też chcesz? – zapytała Wanda.

– Pewnie. I sok marchwiowy. Albo nie, jabłkowy, ale nie z lodówki, bo trochę mnie w gardle drapie.

– Gdzie się wybierasz? – zapytała Wanda po skończonym posiłku.

– Do Norbasa. A ty?

– Wracam do domu.

– To świetnie. Zabrałabyś moją torbę? Byłam w bibliotece, pożyczyłam kilka książek i filmów. Wieczorkiem z Norbasem u ciebie obejrzymy.

– Ale my nie mamy odtwarzacza.

– Norbas własny przywiezie.

– Nie możecie pooglądać u niego?

– Nie, bo mieszka w trzyosobowym pokoju. U ciebie będzie spokój. A ty, jak chcesz, możesz do nas dołączyć. To są kryminały jakies...

– Słucham?

– Kryminały. Zaraz sprawdzę tytuły, bo zapomniałam.

– Nie, nie o to mi chodzi.

– A o co?

– O twojego chłopaka.

– Rano mówiłaś, że ci nie przeszkadza – rzuciła Iza, zerwała się z miejsca, cmoknęła ją w policzek, wyfrunęła na ulicę i wmieszała się w pieszach. Wanda niechętnie podniosła kolorową reklamówkę i zajrzała do środka: trzy grube książki i dwa filmy. Nie czytała tytułów, bo nie miała zamiaru ich oglądać, a jeśli młodzi będą ją irytować, wyniesie się do Lucyny.

A może nie czekać do pierwszych nerwów i od razu załatwić sobie u niej nocleg? Jeśli Norbas irytował ją wczoraj, dzisiaj zapewne również tak będzie. Wyjęła telefon i wybrała numer przyjaciółki.

– To ja.

– Możesz zadzwonić za chwilę? – W tle słychać było suszarkę do włosów.

– Lucyna, ja krótko. Mogę u ciebie przenocować?

– Pewnie. Wpadnij do zakładu po klucze.

Wanda rozłączyła się, zabrała swoją torbę i reklamówkę Izy. Z mieszkania wzięła kilka najpotrzebniejszych rzeczy, na kartce skreśliła kilka słów w sposób enigmatyczny wyjaśniających jej nieobecność i położyła ją w widocznym miejscu. Wybierając najkrótszą możliwą drogę, skierowała się na ulicę Mielżyńskiego, przy której znajdował się zakład fryzjerski „O mały włos”.

Zakład Lucyny i Mundka był niewielki i przeznaczony wyłącznie dla mężczyzn. To właśnie tam Wanda, gnana przed laty dramatycznym postanowieniem ścięcia włosów, zadzierzgnęła z małżeństwem Kudłaszyków (wtedy jeszcze byli ze sobą po pierwszym ślubie) trwałą, aczkolwiek niespodziewaną przyjaźń.

Któregoś dnia, gdy kolejny jej związek legł w gruzach, zdecydowała, że natychmiast musi zrobić coś ze swoim życiem. Postanowiła, że zacznie od zmiany fryzury. Wypadła z kawiarni W-Z (gdzie przy torciku mokka ówczesna Miłość Jej Życia oznajmiła jej, że jest

świetna i w ogóle, ale najlepiej będzie, gdy zostaną przyjaciółmi) i podążyła przed siebie w poszukiwaniu fryzjera. Pierwszym zakładem, na który się natknęła, był „O mały włos”. Nie zważając, że zakład jest męski, zażądała natychmiastowego ścięcia włosów. Mały, krępy fryzjer w czarnym fartuchu z logo firmy już-już miał jej odmówić, argumentując, że przecież kobiet nie strzygą, ale w oczach przybyłej zobaczył tyle wściekłości i dzikiej furii, że pędem uciekł na zaplecze. Po chwili wyszła stamtąd drobna blondynka, również odziana w czarny firmowy fartuszek.

– Proszę mi natychmiast obciąć włosy!

Fryzjerka jednak nie wykonała polecenia. Spokojnym głosem zapytała, co się stało. Wanda najpierw się nastroszyła, ale gdy kobieta ponowiła pytanie, zaczęła mówić. Do zakładu w tym czasie na szczęście nie zawitał żaden klient, więc Wanda bez przeszkód mogła wyrzucić z siebie cały żal i pretensje. Bo oto kolejna, zapowiadająca się na wielką, miłość okazała się nic nieznaczącym epizodem! I w ten właśnie sposób, od Wandy monologu, zaczęła się wieloletnia przyjaźń. W ramach wdzięczności za wysłuchanie oraz kilka dobrych rad, których udzieliła jej fryzjerka Lucyna, Wanda zaprosiła ją oraz jej (nawiasem mówiąc bardzo tchórzliwego) męża na kolację, później oni ją, a kolejne spotkania odbywały się już z reguły tylko w babskim gronie, bo Mundek, mimo że Wandę polubił, wolny czas wolał spędzać przed telewizorem albo na Bułgarskiej na oglądaniu meczów. Wanda bardzo przeżyła rozwód przyjaciół, a później z radością i zaskoczeniem przyjęła do wiadomości, że ponownie biorą ślub. Gdy rozwodzili się powtórnie, zahartowana poprzednią sytuacją już tak bardzo tego nie przeżywała, poza tym gdzieś w głębi duszy czuła, że niebawem ponownie się zejdą. I miała rację. A ponieważ zawiązana przyjaźń trwała lat naście, Wanda nie miała obiekcji, aby teraz poprosić Lucynę o udostępnienie pustego lokum.

– Weź sobie klucze, są na zapleczu, w torebce. – Lucyna była w trakcie podcinania nędznego owłosienia młodego mężczyzny, który wymowną miną obwieszczał światu, że podchodzi nader krytycznie do czynionej nad jego czaszką usługi. Wanda obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem: z pustego i Salomon nie należy, pomyślała.

– Mundka nie ma?

– Wyszedł coś załatwić. Jakiś problem? – Lucyna popatrzyła na nią uważnie.

– Niezupełnie. W zasadzie to sama nie wiem...

– Śpię u niego, ale wieczorem wpadnę do ciebie i pogadamy.

Po pierwszym rozwodzie Mundek kupił w pobliżu Mielżyńskiego kawalerkę, w której pomieszkiwał podczas rozstań z Lucyną, a którą w chwilach pokoju zajmowali wspólnie. Dwupokojowe mieszkanie na Dożynkowej, które Lucyna kupiła jeszcze przed pierwszym ślubem z Mundkiem, w czasie pojednań wynajmowała studentom. Teraz stało puste, bo nie zdążyła jeszcze zamieścić ogłoszenia. Zresztą o tej porze roku miałyby z wynajmem kłopot, maj nie sprzyjał tego typu transakcjom.

– W takim razie do wieczora.

– Do wieczora.

– Co pani tu zrobiła?! – Wanda, nim wyszła z zakładu, usłyszała podniesiony głos mężczyzny. – Tu, z prawej strony! Ucho odkryte! Nie tak miało być!



Wanda z radością przekroczyła próg mieszkania przyjaciółki. Na Dożynkową wybrała się pieszo, bo pogoda zachęcała do spacerów. Idąc, przyglądała się młodym kobietom, a już szczególnie tym, które biegaly. Zdecydowanie powinnam schudnąć, pomyślała. Wstąpiła jeszcze do drogerii, gdzie kupiła żel pod prysznic, pastę do zębów oraz balsam do ciała. Podejrzewała, że

Lucyna z kosmetyków swej łazienki zupełnie nie opróżniła, ale po pierwsze Wanda nie wiedziała, co przyjaciółka zostawiła, a po drugie nie chciała nadużywać jej gościnności. Po prowiant na kolację postanowiła się wybrać, gdy trochę odpocznie. Małą torbę rzuciła w przedpokoju na podłogę i poszła do kuchni wstawić wodę na kawę. Zajrzała do lodówki. Na szczęście nie świeciła pustką, było tam kilka jogurtów, serek waniliowy i opakowanie polędwicy sopockiej, Wanda ucieszyła się więc, że nie musi się wybierać na zakupy. Zaparzyła kawę, z łakomstwa wzięła serek i poszła do pokoju. Usadowiła się w fotelu, nogi oparła o stojący obok puf i włączyła telewizor. Orientacji w nadawanych serialach nie miała żadnej, toteż przełączyła na wiadomości, zjadła serek, puste pudełko położyła na podłogę (zaraz je uprzątnę, pomyślała), przymknęła oczy i zasnęła. Po ciężkiej nocy jej organizm domagał się uczciwego odpoczynku. Był wczesny wieczór, gdy zadzwonił domofon. Zerwała się na równe nogi.

– Już tak późno? – zdziwiła się, zerknąwszy na stojący na szafce budzik, i miazdząc po drodze kubek po serku, popędziła do wejścia.

– Otwieraj, mam pizzę.

Głos był niewyraźny, ale bardzo radosny. Tak radośnie gadać mogła tylko Lucyna, wierna fanka wszelkich pizz, pit, makaronów oraz wielkich kebabów.

– Jak tam? Rozgościłaś się? – Przed sobą trzymała wielkie pudło, z którego dolatywał obłądny zapach.

– Pewnie. Już szykuję talerze. – Podczas krzątania Wanda przypomniała sobie kilka spotkanych tego dnia zgrabnych kobiet, których widok sprowokował ją do myśli o odchudzaniu. Ale one mają lepsze geny, a z genetyką nie wygram, pomyślała na swe usprawiedliwienie.

– Szklanki też wyjmij. W torebce mam pepsi. Gratis dorzucili.

Zajęły się jedzeniem. Kuchnia była jedynym pomieszczeniem, w którym Lucyna jeszcze nie zrobiła remontu, a mimo to i tak Wandzie wydawała się elegancka. To dlatego że porównywała ją z własną, której pomoc mogłoby chyba tylko definitywne zrównanie z ziemią. Remontu, z braku finansów, Wanda nie przeprowadziła od lat, ale inną rzeczą było to, że wszelkich remontów nie lubiła w sposób patologiczny, gdyby więc nawet pozyskała odpowiednią kwotę, i tak pewnie do remontowania by się nie wzięła. Dlatego pokładała tyle nadziei w zaistnieniu na rynku wydawniczym. Może nie od razu po wydaniu pierwszej książki, ale gdy będzie miała na koncie już kilka, nie będzie jej potrzebny żaden remont, bo za honoraria kupi nowe mieszkanie, w którym siłą rzeczy wszystko będzie nowe.

– Pyszności! – powiedziała Lucyna i sięgnęła po pepsi. – Dolać ci?

– Nie, dzięki – niewyraźnie mruknęła Wanda.

– Kolację ci zapewniłam, na śniadanie dojedz resztki z lodówki, chyba że są przeterminowane albo nie spełniają twoich wymagań dietetycznych.

– Już zajrzałam do lodówki. Dzięki za zapasy. Chcesz herbaty?

– Nie, a teraz mów, co cię wypędziło z własnego domu?

– Och, Iza ma chłopaka... We trójkę ciasno w jednym łóżku, a poza tym trzy osoby w małej kawalerce to dla mnie o jedną za dużo.

– Iza ma chłopaka? Nie wiedziałam.

– Świeża sprawa. – Wanda machnęła ręką, jakby chciała podkreślić ulotność i brak znaczenia tego związku, ale w głębi serca czuła, że Norbas dla Izki jest naprawdę ważny. I... naprawdę młodej tego zazdrościła!

– Więc się wyprowadziłaś, zostawiając im miłosne gniazdko? Dobra z ciebie ciocia! A tak w ogóle, to co to za jeden? Chyba coś poważnego, skoro już u ciebie nocuje?

– W Izy wieku każdy związek jest poważny. Takie tam bzdury... – powiedziała Wanda wbrew własnemu przekonaniu. Czyżby się bała, że zbliża się czas wyfrunięcia Izzy z jej

kawalerki? Bratanica kiedyś się wyprowadzi, Wanda zostanie wreszcie sama i będzie mieć upragniony święty spokój, ale czy będzie jej z tym dobrze?

– Mam trochę spraw do przemyślenia i chcę spokoju, a oni planują u mnie obejrzeć film.

– Wanda zaczęła się tłumaczyć, sama nie wiedząc, czy tymi słowami stara się przekonać bardziej siebie czy Lucynę.

– U ciebie? I ty zwalniasz im swoje lokum?

– Tak. A gdzie się mają podziać? Niech teraz jeszcze pokorzystają sobie z mojego dobrego serca, ale po ślubie, jak tu siedzę, obiecuję, że im to ukróczę. Na żadne pomieszkiwanie czy nocowanie w moim domu już nie pozwolę.

– Ja ci radzę: od razu ukróć, niech się nie przyzwyczajają. Mówię ci, zawczasu ukręć łeb tej hydrze. O ile nie chcesz mieć ich u siebie po ślubie. Na stałe. Z wrzeszczącym dzieciakiem na dodatek... Cóż, zbieram się, bo idziemy z Mundkiem do tej francuskiej knajpki przy Starym Rynku. – Lucyna się skrzywiła. – Wiesz, jak on lubi te zagraniczne wymysły. Dobrze, że teraz się najadłam, bo tam jak zwykle niczego dla siebie nie znajdę.

– Już wychodzisz? Ale ja ci jeszcze wszystkiego nie opowiedziałam. W zasadzie to niczego nie opowiedziałam.

– Rzeczywiście. Więc co tam u ciebie?

Wanda zwięźle – bo Lucyna przemieściła się już do przedpokoju, założyła buty i zajęła się układaniem szykownej apaszki – nakreśliła przebieg ostatnich wydarzeń.

– To wszystko?

– Tak.

– Cóż ci mogę powiedzieć... – Lucyna wyjęła z torebki szminkę i wprawnym ruchem pomalowała sobie usta. Poprawiła je, obejrzała, znów poprawiła i rzekła: – Szukaj tego waszego pisarza, a Lurka... cóż... sądziłam, że będzie inna. No dobrze, pędzę już. – Ponownie przejrzała się w lustrze, jeszcze raz poprawiła szminką usta i położyła rękę na klamce. Miała już wyjść, ale ujęła w rękę pasmo włosów Wandy i obejrzała je uważnie.

– Wiesz co? Wpadnij do mnie, coś z nimi zrobię. Cieniowanie dobrze im robi...

– Przecież zawsze mówiłaś, że kobiet nie strzyżesz.

– Bo nie strzygę, ale wyglądasz fatalnie. Jeśli jeszcze raz w takiej fryzurze pokażesz się temu twojemu Ignacemu, czy jak mu tam, chłopina wskoczy do pierwszego pociągu i ucieknie na koniec świata. To do jutra. Pa!

– Pa! – Wanda starannie zamknęła za nią drzwi. Dwa razy sprawdziła, czy zamki trzymają, przeciągnęła się leniwie i poszła do kuchni posprzątać po kolacji.



Wanda obudziła się przed szóstą. Zorientowawszy się, jak wczesna jest pora, zamierzała jeszcze pospać, ale sen nie nadchodził. Nie ma to jak własne łóżko, westchnęła. A że leżenie na zbyt twardym materacu było tak samo niewygodne jak nudne, postanowiła wstać i zgodnie z poleceniem szefa popracować w terenie. Szybko się ubrała, a że głodna nie była, wypila kilka łyków kawy i wyszła. Podczas zamykania drzwi usłyszała, że piętro niżej ktoś również wyszedł na klatkę. Nie należała do osób ciekawskich, ale że znajdowała się blisko poręczy, spojrzała w dół. Do wyjścia szybkim krokiem zmierzał mężczyzna drobnej postury. Uśmiechnęła się i pokręciła głową. O nie, tym razem się nie nabierze! To nie Knychałka! Jej przekonanie potwierdzone zostało niebawem, gdy przechodziła obok mieszkania, z którego wyłonił się niepozorny osobnik. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich zgarbiona staruszka, która szybko podreptała do poręczy.

– Panie Eryczku, śniadanko! – zawołała. Zamachała trzymanym w ręce zawiniątkiem,

sądząc, że zwróci tym gestem na siebie uwagę, ale było za późno, na dole rozległo się donośne trzaśnięcie drzwiami. I miałam rację, pomyślała Wanda. To nie Ignacy, tylko jakiś Eryk.

– No wziął i zapomniał – mruknęła babcia z rezygnacją. – A może pani mi pomoże? – Z nadzieją zwróciła na nią wyblakłe, otoczone siateczką zmarszczek oczy. – Pobiegnie pani za nim i poda mu śniadanko? Mówił, że tu niedaleko pracuje, na Cytadeli, w zieleni miejskiej.

Wanda nie chciała odmową sprawić starowince zawodu. Babcia patrzyła na nią tak pokornie i bezbrinnie, że sama nie wiedziała, kiedy z jej ust wyleciało:

– Z przyjemnością mu to zaniosę.

A potem wyciągnęła rękę po zawiniątko i pobiegła na dół.

– Dziękuję! – usłyszała za sobą głos staruszki.

Ale na zewnątrz mężczyzny już nie było. Wanda włożyła paczuszkę do torby i szybko ruszyła w kierunku Cytadeli. Po drodze rozglądała się bacznie, czy nie dostrzeże gdzieś jego sylwetki, ale nikogo do niego podobnego wzrokiem nie wyłowiła. Albo był taki szybki, albo babci się pomieszało, że on gdzieś tu pracuje. Ale jego firmy Wanda szukać nie zamierzała. Jeśli jest roztrzepany, to niech głoduje.



W Luboniu pod blokiem wydawcy Wanda spędziła cztery godziny i były to najbardziej męczące godziny w całym jej życiu. Nie mogąc przez tak długi czas stać pod śmietnikiem (bo przecież w każdej chwili mógł się pojawić Biały Chodak!), od czasu do czasu robiła krótkie rundki wokół bloku. Musiała być przy tym wyczulona na trzech osobników: Knychalkę, Małotę oraz owego Białego Chodaka, przy czym miała świadomość, że w przypadku natknięcia się na któregoś z dwóch ostatnich typków będzie musiała salwować się ucieczką.

Do Poznania wróciła wykończona. Oczywiście pamiętała o zaproszeniu Lucyny, ale na zmianę fryzury czy jakiegokolwiek inne upiększanie tego dnia nastroju nie miała. Jej jedynym pragnieniem było jak najszybciej dotrzeć na Dożynkową i wziąć prysznic.

W drodze powrotnej, gdy szła przez Cytadelę, przypomniało jej się, że wciąż ma przy sobie kanapki roztargnionego Eryka. W torebce namacała niewielki pakunek. Ależ była głodna! Rozejrzała się po tonącym w soczystej zieleni terenie, ale oprócz dwóch matek z dziećmi i pary siedzących na ławce staruszków nikogo innego nie zauważyła. Nikogo, kto by wyglądał jak pracownik zieleni miejskiej, ściślej jak Eryk. Te kanapki... Zjeść czy nie zjeść?... Och, zje, a potem coś za to odkupi. Tuż obok abakanów Wanda przysiadła na ławce i z ciekawością odwinęła papier. Dwie podwójne kanapki. Bez masła, jedna z żółtym serem, a druga z suchą kielbasą i keczupem. Męskie żarcie. Wybrała tę z serem i ugryzła kęs. Gdyby robiła je kobieta – spekulowała w myślach – posmarowałyby kromki jakąś reklamowaną jako zdrowa margaryną, włożyła listek sałaty i plasterek pomidora lub ogórka. Znać, że biedne chłopisko sam je robił. Robił sam dla siebie... A czy dla niej, dla Wandy, jakiś mężczyzna kiedykolwiek przyrządził coś do jedzenia? Nie. Zrobiło jej się smutno. Nigdy żaden z jej byłych ukochanych nie przygotował dla niej choćby najprostszego posiłku, nawet tak tragicznie skromnych kanapek. Zaciekawilo ją nagle, czy Norbas Izie coś ugotował? Ale w gruncie rzeczy nie była to jej sprawa. Poza tym bratanica do takich gestów mogła nie przywiązywać wagi, a ona owszem. Po raz pierwszy jadła jedzenie przygotowane męską ręką i było jej przy tym tak bardzo, bardzo przykro, że o mało się nie rozplakała. Dlaczego kanapki nie zostały przyrządzone z myślą o niej? Ale może jeszcze wszystko przed nią?...

Otarła z policzka łzę i drugą kanapkę, tę z kielbasą, starannie zapakowała w papier. Zachowa ją na pamiątkę. Niech będzie jej talizmanem, który być może kiedyś sprawi, że jakiś mężczyzna tylko dla niej przyrządzi, niechby i najbardziej parszywą, potrawę. Włoży kanapkę do

zamrażarki i będzie tam trzymać do dnia, w którym spełni się jej marzenie. Ciężko podniosła się z ławki i powoli poszła w kierunku Dożynkowej.



Mimo że tego dnia i w tej chwili pogoda była wzorcowo majowa, Iwona Cieciorka wcale się nią nie napawała. Od rana bowiem, wyraźniej niż kiedykolwiek do tej pory, wyczuwała odór unoszącego się w mieszkaniu ducha zmarłej babci Franciszki. Zapach czosnku i mentowalu tak drażnił jej zmysł powonienia, że raz po raz musiała przytykać do nosa chusteczkę nasączoną wodą toaletową. Wietrzenie mieszkania również nie pomogło, więc kobieta, w obawie przed przeciągiem, zamknęła okna. Zostawiła otwarte tylko jedno z myślą o Meli; może kotka na pociechę wdrapie się na parapet i niechcący z niego spadnie? Niestety, kotce ani w głowie było na niego wskakiwać, ale najwidoczniej i ona musiała wyczuwać ducha babki, bo jeżyła się i zrywała z nagłą, by bez sensu przebiec z miejsca na miejsce. Iwona kilka razy próbowała wygonić ją na podwórze, ale podły zwierz nie dał się złapać, a w dodatku raz i drugi machnął na swą nową panią ostrymi pazurkami. Dała więc Iwona Meli spokój i po raz kolejny zasiadła do pisania, ale jej myśli znów nie zdążyły właściwym torem. Przez chwilę próbowała walczyć z chęcią zajrzenia na bloga Dziuni W., aż w końcu dała za wygraną i otworzyła zniechęconą stronę. Miała zamiar tylko zerknąć, szybko rzucić okiem, czy przypadkiem nie pojawił się nowy tekst. Obiecowała sobie, że jeśli nawet będzie, wcale, ale to wcale go nie przeczyta. Niestety, nowy wpis był, a Iwona oczywiście postąpiła wbrew postanowieniu, bo przeczytała go natychmiast łącznie ze wstrętnymi komentarzami wpisanymi rękami internetowych hejterów. Po lekturze zerwała się z krzesła i popędziła do kuchni. Nalała szklankę wody, drżącymi rękami wydłubała z blistra różową tabletkę, włożyła do ust, przełknęła i łapczywie popiła. Za co tyle nienawiści?! Jaki chory osobnik bądź osobniczka odczuwa przyjemność z zadawania jej bólu?! Kto podjudza czytających i zagrzewa do obrzucania jej bryzgami internetowego błota?! Ale nie! Ona się nie podda! Będzie pisać! Na przekór hejterom i wszelkiej maści zazdrośnikom. I co więcej – zrobi to zaraz, natychmiast! Nalała kolejną szklankę wody, wrzuciła trzy kostki lodu, spokojniejsza wróciła do biurka i otworzyła plik, w którym zaczęła pisać nową książkę.

Przez ostatnie cztery dni wydusiła z siebie (właśnie tak: wydusiła, a nie napisała!) raptem sto stron, co według rygorów, jakie sobie narzuciła, było skandalicznie złym wynikiem. Przebiegła wzrokiem ostatnich kilkanaście zdań i – aby się wczuć w nastrój dzieła i przypomnieć imiona bohaterów – przymknęła oczy. Ale niewiele jej się przypomniało. Mocniej zacisnęła powieki. Nadal nic. Czyżby wena na dobre ją opuściła? Gdy ponownie zamknęła oczy, tym razem ujrzała krew, świeży grób i starcze dłonie rozgrzebujące ziemię! Poderwała się z krzesła, padła na kolana i zrobiła znak krzyża. Mela syknęła cicho.

– Zamknij się! Za twoją panią się modlę! – krzyknęła na kotkę.

Iwona na kolanach przemieściła się pod okno, w miejsce gdzie jej pracowita babka pewnego feralnego dnia spadła z aluminiowej drabinki, na której stała, wieszając firanę.

– Zdrowaś Mario... Nie sycz, tylko się przyłącz!

Ale gdyby Mela posiadała zdolność mówienia, jej pierwszym zdaniem z pewnością nie byłyby słowa modlitwy.

– Wiesz co? Masz rację. – Iwona wstała z kolan. – Dość tego! Pobiegam sobie. To mi lepiej robi.

Cieciorka biegać bardzo lubiła, ale (i słusznie) nie uznawała zażywania ruchu wzdłuż ulicznych arterii, była bowiem zdania, że ze sportu, podczas którego płuca są inhalowane spalinami, nic dobrego wyniknąć nie mogło. A że bardzo lubiła Cytadelę, często właśnie tam się udawała. Na terenie Cytadeli nie tylko biegała i się gimnastykowała, ale nierzadko siadywała na

ławce, czytała książki i cieszyła oczy obfitą zielenią. Niekiedy zdarzało się, że spędzała tam bardzo długie godziny, kojąc nerwy i wystawiając bladą twarz do słońca, aby nadać jej zdrowy, złocisty odcień.

Szybko założyła odpowiedni strój – spodenki i bluzkę we wściekłym żółtym kolorze, uszyte z drogiej, polecanej do uprawiania sportu tkaniny. Do tego sportowe buty, których jedyną godną uwagi cechą była koszmarnie wysoka cena, bo podczas biegania Iwona nie odczuła różnicy w porównaniu ze zwykłymi, kupionymi kiedyś na Wildeckim Rynku trampkami. Jednak z wiadomych względów w pospolitych trampkach ludziom na oczy pokazać się nie mogła. Mogłaby to zrobić tylko w jednym przypadku, gdyby nadal była pospolitą zjadaczką chleba, a nie pisarką o bardzo twórczym umyśle! Związała włosy gumką i zrobiła tyle skłonów, podskoków i wymachów, aż poczuła, że jej ciało jest gotowe. Przed wyjściem na klatkę zawróciła jeszcze do lustra i bacznie się obejrzała. Dobra prezencja to podstawa – zawsze, na swój sposób, o to dbała, na wypadek gdyby spotkała którąś ze swoich czytelniczek (albo czytelników). Zawołała Mełę, a gdy kotka ostrożnie wychyliła spod stolika lepek, z całej siły tupnęła na nią nogą i wyszła z mieszkania, nie dbając o to, że w tak ciepły dzień zostawia zwierzaka bez kropli wody do picia. O zdanie świętej pamięci babci nie dbała, przecież duch czcigodnej staruszki w głowie jej nie siedział i Iwona o wodzie dla tej głupkowatej kotki mogła zapomnieć, prawda? Niech no babka spróbuje jej udowodnić, że jest inaczej!



Stefa Lurka, zawsze czuła i wrażliwa na piękno otaczającej ją przyrody, tak jak i jej przyjaciółka po piórze, Iwona Cieciorka, tego dnia również nie dostrzegła majowego wybuchu lata. Porażona nowiną, którą oznajmił jej wieloletni mąż Bartosz, oparta w kuchni o blat wiśniowego stołu, stała z ciężko zwieszoną głową. Bartosz siedział naprzeciw niej, w ręce trzymał filiżankę z kawą i pił z niej ze spokojem nieadekwatnym do wywołanego napięcia. Gratulował sobie odwagi, że wreszcie zdobył się na przepędzenie ze swego życia tej straszliwej i piekielnej baby. Od czasu gdy zupełnie osiwił, coraz częściej brał pod uwagę możliwość radykalnej zmiany dotychczasowej egzystencji poprzez wygonienie ze swojej willi wrzaskliwej jędzy i sprowadzenie do domu osóбки miłej, cichej, pracowitej i przede wszystkim sporo od starej małpy młodszej. Nie znaczyło to, że do tej pory był tej sekutnicy wierny. O, co to, to nie! Przez długie lata swego małżeństwa przetestował wiele krótszych lub dłuższych związków z kobietami reprezentującymi typ, jaki lubił, ale nadszedł czas, że pokątne spotkania przestały mu wystarczać i zapragnął stabilizacji. Ponadto odnosił wrażenie, że z biegiem lat charakter Stefanii uległ drastycznemu pogorszeniu, a może to on z wiekiem stracił do żony cierpliwość? Może i tak było, ale nie chciało mu się w to wnikać. Bartosz Lurka pragnął jeszcze pożyć, poszaleć i potrzymać kobietę na krótkim łańcuszku, bo kto to widział, aby mąż, w dodatku piastujący tak zacne stanowisko, jakie on zajmował, bał się własnej żony?!

– Jak to zamierzasz odejść? – po raz kolejny powtórzyła pytanie Stefa i uniosła głowę. Brwi miała ściągnięte, a jej oczy przybrały kolor głębokiej czerni. Bartosza te jej czarne, straszne i wściekłe oczy zawsze napawały przerażeniem.

– Tak to. – Wzruszył ramionami. O swym wyborze dyskutować nie zamierzał. Nie zamierzał również jej informować o dorodnej Julitce, która już poprzedniej jesieni (od początku czuł, że będzie to coś wyjątkowego) zagościła w jego życiu. Na wszelki wypadek unikał patrzenia na straszne oczy Stefy, bo po co w tak miłym dniu psuć sobie humor.

– Masz kogoś?

O, tego jej nie powie! Bał się, że nim on zdąży się nacieszyć Julitką, Stefa zrobi jej coś złego. A że nowej kobiety syty jeszcze nie był, więc pary na jej temat z paszczy puścić nie

zamierzał. Będzie Julitkę chronić do upadłego, a gdy zajdzie potrzeba, najmie jej ochronę. I sobie również.

– Mógłbyś mi odpowiedzieć. Po tylu latach małżeństwa...

– Właśnie! Po tylu latach małżeństwa jeszcze nie nauczyłaś się parzyć dobrej kawy. – Bartosz ze wstrętem odsunął od siebie filiżankę. – Nie wiem, jak można spieprzyć kawę, którą i tak ekspres robi!

– Dlatego chcesz się mnie pozbyć? Nie lepiej kupić nowy ekspres? – wbrew sobie, wbrew swemu złemu charakterowi i pełnym nienawiści myślom zaskamlała Stefa.

– Nie – rzucił krótko i uciekł spojrzeniem w bok, bo wciąż wlepiła w niego pełne furii spojrzenie.

– Więc jeśli nie kawa, to co jest przyczyną, że mnie już nie chcesz? Słona zupa z pewnością nie, bo nie gotuję. Więc co? Ja ci powiem co! Baba się za tym kryje! – Rąbnęła pięścią w stół, aż podskoczyła filiżanka i zadzwęczała, uderzając o spodek.

– Uwważaj na tę porcelanę, moja jest! – warknął Bartosz.

– I co jeszcze jest twoje? – chlipnęła Stefa. Dom, ten boski dom przede wszystkim był jego!

– Willka. Moja willeczka. – Uśmiechnął się złośliwie, ukazując w policzkach słodkie, tchnące niewinnością dołeczki. Te dołki były jego zmorą. Nie cierpiał ich tak samo jak swej nadwagi, którą miał w dawnych czasach, gdy jeszcze uczył się w ogólniaku, i w pierwszych latach studiów. Potem się za siebie wziął, schudł mocno i już zawsze trzymał wzorcową sylwetkę, ale w świadomości swojej oraz dawnych znajomych na zawsze został tym grubym. A dołeczki? Tych dietą ani żadnymi ćwiczeniami pozbyć się nie był w stanie. Pozostała medycyna estetyczna. Najwyższy czas z niej skorzystać.

– Więc mam się wyprowadzić, tak? – Stefa zadrżała.

– Oczywiście. Kupię ci w mieście mieszkanie. Albo na Księżycu, wybieraj, gdzie chcesz się wyprowadzić, ale tego domu nie dostaniesz!

Że też była taka opieszala! Przez lata często rozmyślała o tym, że dom, który pokochała bardziej niż męża, nigdy nie był, nie jest i nie będzie jej, ale nic z tym nie zrobiła. Jak mogła zwlekać z tak ważnym działaniem?! Teraz miała to, na co zasłużyła – Bartosz zrobił pierwszy ruch i oto wyrzuca ją z miejsca stanowiącego jej wizytówkę i powód do dumy, będącego dzieckiem, którego nie dane jej było urodzić. Swoją drogą, dziecka nie urodziła, bo nie chciała go mieć, ale tej decyzji nigdy nie żałowała i żałować nie będzie. Nie wyobrażała sobie, żeby jej wyczyszczone na błysk (przez przychodzącą dwa razy w tygodniu sprzątaczkę) marmury brudził jakiś wrzeszczący bachor, a myśl o odbitych na meblach śladach małych dłoni przyprawiała ją o palpitacje serca. A potem zapewne byłyby wnuki?! O Boże jedyny, gdyby miały być, pewnie już by były, bo Stefa miała lat... nieważne ile. I tego, że jakiś gnojek miałby mówić do niej *babciu*, również sobie nie wyobrażała. Bo czy czuła się bądź wyglądała na babcię?! Ależ skąd! Nigdy się tak nie zapuści, by ktoś o niej w ten sposób pomyślał lub powiedział.

Tymczasem Bartosz wstał i oznajmił:

– Masz tydzień na spakowanie rzeczy.

– Tydzień... – szepnęła Lurka, a prawa powieka mocno jej zadrżała. – Dokąd idziesz?!

– Już nie muszę ci się tłumaczyć. Wrócę za tydzień i wspaniałomyślnie zawiozę cię w miejsce, które wskażesz. I co więcej, zrobię to z ogromną przyjemnością.

Zostawił Stefę tkwiącą nad blatem kuchennego stołu i dumnym krokiem z wysoko podniesioną głową opuścił willę.

Cholerny zwyczajca! – pomyślała Stefa i po chwili usłyszała cichy pomruk silnika mercedesa. Oczywiście jego mercedesa. Jak to się stało, że tak znana jak ona pisarka nie miała

własnych oszczędności i została niemal z niczym? Otóż zgubił ją hazard. Bartosz, zajęty pracą i kobietami, nie zdawał sobie sprawy z nałogu trapiącego jego żonę. Myślał, że Stefa ma na swoim koncie znaczną kwotę zarobioną ze sprzedanych książek i dlatego porzucał ją bez krztyny wyrzutów sumienia, mniemając, że bez niego świetnie sobie poradzi. Nawiasem mówiąc, gdyby miał świadomość, w jakich długach tonęła jego żona, zostawiłby ją wcześniej i chętniej.



Iwona wysiadła z tramwaju tuż przy Cytadeli. Kilka razy zamachała rękami, potruchtała w miejscu i po tej powtórnej, tym razem po macoszemu uczynionej rozgrzewce ruszyła alejką przed siebie. Z przyjemnością wdychała rześkie powietrze i usilnie pracowała nad wyrzuceniem z głowy obrazu grobu oraz tych starczych, strasznych, rozdrapujących ziemię dłoni.

Śmierć babci Frani była dla Iwony darem losu, bo bez jej odejścia nie wiedzieć, jak długo jeszcze musiałyby czekać na zachomikowane przez staruszkę oszczędności. Babcia, która Iwonę wychowała od maleńkości, nigdy nie rozpuszczała jej tak, jak inne babcie rozpuszczają swoje wnuki, lecz trzymała krótko, a każdy dzień życia Iwony obwarowany był wieloma zakazami i nakazami. Starowinka wiedziała, co robi, bo od dnia narodzin swej jedynej wnuczki wyczuwała w niej tak zwane diabelskie nasienie. Nie znaczyło to, że w życie dziewczynki, a później młodej kobiety, wprowadziła niemożliwy do wytrzymania terror, nie, tak nie było. Frania była jedynie twarda, wymagająca, a jej marzeniem było, aby Iwonka zdobyła dobre wykształcenie. Chętnie i hojnie by na nie łożyła, ale Iwona nauką zainteresowana nie była. Z trudem ukończyła ogólniak, potem kurs pedicure, przez jakiś czas mówiła o ogrodnictwie i nagle, niemal z dnia na dzień, ubzdurała sobie, że zostanie wielką pisarką. Niestety, talent miała mizerny, pisać nie potrafiła, a przynajmniej nie tak, jak oczekiwałaby od niej własna babcia, bo jak na babciny gust w prozie wnuczki było zbyt wiele golizny, o czym babcia Frania powiedziała od razu, gdy Iwona kiedyś dała jej do oceny jeden ze swoich rękopisów.

Iwona przez długi czas nie mogła znaleźć wydawcy dla swej pierwszej powieści, aż wyszperała w Internecie firmę, która gotowa była wydać wszystko, pod warunkiem że się za to zapłaci. Babcia na pierwszą książkę swej jedynej wnuczki grosza poskąpiła, więc Iwona przez dwa kolejne letnie sezony dorabiała przy zbiorach truskawek oraz porzeczek, a gdy zajęcie się kończyło – roznosiła ulotki. W końcu uzbierała odpowiednią kwotę, wydała książkę i z dumą wręczyła ją babci Frani. Babcia przyjęła dzieło z wielkim zaskoczeniem i obawą.

– Iwoneczko, toż to pornografia! – krzyknęła po przeczytaniu kilku stron.

– Zaraz tam pornografia! – odburknęła Iwona.

– Ależ tak! Sama golizna... nie, Iwoneczko, nie pisz ty już żadnych książek i znajdź normalne zajęcie.

Babcia Frania tak wyganiała Iwonę do tak zwanej normalnej pracy, tak uporczywie nalegała, przypominała, zrządziła, nagabywała, aż się doigrała i w końcu spadła z tej drabiny! Iwona z ulgą odetchnęła, zaczęła żyć, jak marzyła, a przede wszystkim dobrała się do babcinych oszczędności i na potęgę zaczęła wydawać kontrowersyjne płody swego umysłu.

A teraz znów wizja grobu. Dlaczego ciągle miała go przed oczami? Mogłaby zrozumieć majak wywróconej drabiny, rozlanej wody i babci cicho jęczącej na podłodze. Obraz przeraźliwie miauczącej Meli również miałby uzasadnienie, ale dlaczego jej głowy tak uporczywie trzymał się horror o tych starczych łapach wylazących z grobu?! Iwona nawet nie zauważyła, że pod wpływem czarnych myśli zaczęła biec szybciej i szybciej. Dopiero silna zadyszka jej uświadomiła, że lada chwila nie da rady i jeśli nie zwolni i nie odpocznie, padnie na ścieżkę jak długa. Przystanąła, schyliła głowę, ręce oparła na kolanach. Żywiła nadzieję, że w pobliżu nie kręci się nikt, kto mógłby ją rozpoznać, bo nie chciała mieć świadka swej złej formy.

Rozejrzała się dyskretnie. Niedaleko spacerowały dwie matki z dziećmi, a w oddali, przy Dzwonie Pokoju i Przyjaźni, jakiś mężczyzna, zapewne pracownik zieleni, kosił trawę. Odetchnęła z ulgą. Z pewnością to nie byli jej czytelnicy. Kobiety obciążone tak małymi dziećmi czytają pewnie co najwyżej przepisy na przecierane zupki, a ten robot sprawiał wrażenie takiego, co nie ma pojęcia, czym jest księgarnia, a co dopiero książka! Po chwili odpoczynku, gdy oddech jej się wyrównał, ruszyła w kierunku mężczyzny. Biegła drobnym truchtem, pilnując, aby jej sylwetka prezentowała się prosto i lekko. Niech robot się na nią napatrzy, jaka jest zgrabna! Im bardziej zbliżała się do mężczyzny, tym dźwięk podkaszarki do trawy stawał się coraz bardziej nieznośny. Nic ciekawego – pomyślała, kątem oka taksując pracującego – niski kurdupel. I jaki hałas robi! Już miała skrócić w boczną alejkę, ale coś jej kazało nadal trzymać się obranego kierunku. Coraz intensywniej wlepiła oczy w mężczyznę i zupełnie przestała przejmować się ładną prezencją. Czyżby... Ależ to niemożliwe! Może jednak się myli?! W końcu on stoi bokiem, poza tym na twarzy ma maskę... ale mimo wszystko, ta sylwetka i mała bródka... Iwona знаła tylko jedną osobę, która tak wygląda... Ignacego Knychalkę! Pisnęła cicho, z przerażeniem, zawróciła na pięcie i popędziła w kierunku przystanku tramwajowego. Niezwłocznie musiała spotkać się ze Stefą, bo tak poważne podejrzenie do przekazania przez telefon zupełnie się nie nadawało!



Iwona stanęła przy ozdobnej furtce i niecierpliwie nacisnęła brzęczyk domofonu. Zatupała, pogrzebała butem w górcie piasku i ponownie nacisnęła guzik. Co z tą Stefą? W piątki o tej porze zawsze była w domu. Oboje z Bartoszem byli. Iwona pomyślała o babci Frani dogorywającej w kałuży brudnej wody... A jeśli Stefie również przytrafił się jakiś podły wypadek?! Iwona nie mogła czekać. Wdrapała się na bogato zdobiony płot, zeskoczyła na podwórko i pobiegła do drzwi. Na podjeździe nie zauważyła mercedesa Bartosza, co dodatkowo spotęgowało jej obawy, bo z tego, co pamiętała, od wiosny do jesieni w piątki pan domu zawsze przebywał w ogrodzie, gdzie zajmował się pielęgnacją roślin – a zimą sprzed willi odgarniał śnieg (I po co to robisz, durniu? – śmiała się z niego Stefa). Może w pracy zmienił mu się grafik? Ale akurat dzisiaj? A co ze Stefą?! Dlaczego w takim razie ona jej nie otworzyła?! Iwona chwyciła za klamkę i bez problemu uchyliła drzwi, co niemal doprowadziło ją do hysterii, bo przecież zawsze były od środka zamykane na klucz. Wpadła do przedpokoju.

– Stefo, żyjesz?! – wrzasnęła z rozpaczą i tak przeraźliwie, że musiała zostać usłyszana wszędzie, nawet w najdalszym zakątku tej wielkiej willi.

– Żyję... – z kuchni doszedł cichy głos przyjaciółki.

Iwona migiem tam popędziła i zastała Stefę stojącą przy kuchennym blacie, wpatrującą się beznamiętnie w ścianę.

– Co on ci zrobił?! –

– Kto? –

– Bartosz! –

– Rzucił mnie... –

– Rzucił?... –

– Rzucił... –

Iwona na chwilę rozdziawiła usta, zamknęła, otworzyła i ponownie zapytała:

– Rzucił? Naprawdę rzucił?! –

– Tak, rzucił! Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?! Przez żet z kropką mam powiedzieć, żeby do ciebie dotarło?! –

– Ale jak... to niemożliwe! Dlaczego?! Jakim prawem! A to gnida!... –

– Zamknij się! – krzyknęła Stefa. Złapała się za głowę i przymknęła oczy. – Tak! Ten osioł miał czelność mnie zostawić! Wyobrażasz sobie?! On mnie! To ja miałam być pierwsza! To miał być mój ruch, a ten matoł mnie uprzedził!

– Uprzedził... – bez sensu powtórzyła Iwona.

– Powtarzasz po mnie, żeby mnie dręczyć?!

– Nie, Stefo, wcale nie! Jest mi tak okropnie przykro!

– Nie obchodzi mnie, czy ci przykro, czy nie. Muszę coś wymyślić!

Iwona niecierpliwie przestąpiła z nogi na nogę.

– Zrobić ci coś do picia? – zapytała.

– Herbatę.

Stefa miała wrażenie, że jej ciało pod wpływem przeżytych emocji całe zeszytywniało. Z wielkim trudem przesunęła stojące obok krzesło i na nim usiadła. I ona miałaby mu lekką ręką zostawić te krzesła, z których każde kosztowało ponad dwa tysiące?! Albo ten stół? Dycha! Nie, bez walki się nie podda!

– Zabijesz go – grobowym, zimnym głosem rzuciła nagle Lurka.

Iwona przystanąła z czajnikiem w ręce.

– Co?

– Zabijesz go. Bartosza.

– Ja?!

– Tak, ty. Wyrównamy rachunki.

– A nie są już równe? – zapytała Iwona piskliwie.

– Nie, nie są. – Stefa zmierzyła ją mrozącym krew w żyłach spojrzeniem. – Pozwól, że ci przypomnę, ja mam już na koncie półtora trupa, a ty tylko połowę. Teraz twoja kolej. Pójdiesz na całość, załatwisz Bartosza i tym sposobem każda z nas, jakby co, będzie odpowiadać za tyle samo nieboszczyków. Po półtora na głowę.

Stefa miała rację i dlatego Iwona nawet nie próbowała z nią dyskutować. Zaciekawiała ją inna kwestia i musiała, ale koniecznie musiała, zadać to pytanie:

– Ma inną?

Stefie wydało się, że w głosie Iwony dał się słyszeć cień złośliwej satysfakcji. A może wcale nie? Może była przeczulona?

Wzruszyła ramionami.

– Nie przyznał się? – drążyła Iwona.

– Gdybym go zapytała, z pewnością wszystko by wyśpiewał. Widziałam w jego oczach, że wręcz się gotował, aby się pochwalić, ale odmówiłam mu tej przyjemności i tematu kochanki nie poruszałam – odrzekła wyniosłym tonem. – Nic o tym nie wiem i niczego wiedzieć nie chcę – dodała, nie patrząc Iwonie w oczy.

Przyjdzie czas, a Stefa ją odnajdzie, tę zdzirę i złodziejkę cudzych willi! Wydobędzie bździałgwę z najgorętszego wulkanu, wytropi na pustyni, spod ziemi wykopie i załatwi tak, jak tylko kobieta kobietę załatwić potrafi. Ale Iwona o tym się nie dowie. Niech trwa w przekonaniu, że Stefa po wieki wieków jedynie za półtora trupa będzie odpowiadać.

– Twoja herbatka. Posłodzić ci? – Iwona postawiła przed Stefą filiżankę.

– Zostaw, gorzką wypiję.

Stefa zwiesiła głowę i podparła czoło rękami. Iwonie tak bardzo było jej żal! Nieraz się zdarzało, że Stefa była dla niej niemila i opryskliwa, ale Iwona wybaczała przyjaciółce wszystkie złe humory, bo to była jej mentorka, wzór i osoba, która przecież miała na sumieniu całego trupa więcej, a to było nie byle co, tym bardziej że ów trup był...

– Nie gap się tak na mnie – nie unosząc głowy, mruknęła Stefa. – Wyraźnie czuję, że się

gapisz, a ja bardzo tego nie lubię.

– Dobrze, przepraszam.

– Załatwisz go najszybciej, jak się da – ciągnęła. – W szopce na narzędzia są nożyce do żywopłatów, siekiera, kable i co tam będziesz potrzebować. Wykorzystaj to skutecznie.

– Nożyce? Siekiera? Nie chcę rozlewu krwi... To takie straszne!

Lurka gwałtownie uniosła głowę, jej oczy ciskały gromy.

– Może zabić też go nie chcesz, co?!

– Ależ chcę go zabić, nawet nie wiesz jak! Tylko nie tak krwawo! Jak ja potem wszystko doczyszczę?!

– Tak samo, jak doszorowałaś podłogę po babci.

– Nie przypominaj mi!

– A to dlaczego? – Stefa uśmiechnęła się złośliwie. – Dlaczego mam ci nie przypomnieć twojej czcigodnej babuni?

– Bo... bo ona nie żyje!

– A komu to zawdzięczasz, co?! Mnie! I mnie wcale nie przeszkadzało, że się darła, gdy ją z drabiny strząsałam! Nie przeszkadzało również i to, że jej kot mnie pokąsał! Twoja rola sprowadziła się tylko do tego, że wpadłaś sprawdzić, czy żyje, a potem jak ten szczur uciekłaś do mnie i w moim pokoju dwa dni po uszy zawinięta w kołdrę przeleżałaś!

– Ciszej, Stefo, ciszej... – Iwona podbiegła do drzwi, sprawdzić, czy na pewno je zamknęła. Babcia Frania była owym całym trupem, za którego odpowiadała Lurka, ale nie znaczyło to, że Iwona była całkowicie zwolniona z odpowiedzialności za jej śmierć. Tamtej jesieni szczególnie często żaliła się Stefie, że babcia jest niereformowalna i zupełnie nie może z nią wytrzymać. Zastrzegła przy tym, że z babcinego mieszkania nie ma zamiaru nigdzie się wyprowadzać, więc Lurka obojętnym tonem rzuciła:

– W takim razie ją wyprowadź.

– Gdzie?

– Na cmentarz.

– Co ty mówisz?!

– To, co słyszysz. Pomóc ci?

Iwona myślała nad tym cztery dni, zgryzła przy tym do krwi wszystkie paznokcie, i wróciła do Lurki:

– Masz rację. Trzeba babkę wyprowadzić. Pomożesz?

Przyjaciółka chętnie jej pomogła. Szczęśliwie dla nich się złożyło, że w tym czasie Stefa znalazła w Internecie ogłoszenie o organizowanym w Warszawie kursie pisania bestsellerów.

– W styczniu się na niego zapiszesz i raz w miesiącu będziesz jeździć na dwudniowe mityngi.

– Ale ja nie mam ani grosza! Nie stać mnie na bilet, na żadne opłaty również, a te oni chcą z góry!

– Ja za wszystko zapłacę.

– A jeśli babcia będzie wnikać, dlaczego na taki kurs jadę aż do Warszawy? W Poznaniu podobne też można znaleźć.

– Wtedy jej powiesz, że w stolicy wykładają same literackie autorytety. No, wymyśl coś! Książki piszesz i własnej babki okłamać nie umiesz?

Ale Iwona okłamywać babci nie musiała, bo pytanie o powód zapisania się na kurs organizowany aż w Warszawie nie padło i pisarki bez przeszkód mogły przeprowadzić zaplanowaną akcję.

Babcia, na swoje nieszczęście, była niepoprawną miłośniczką czystości. Raz w miesiącu

myła wszystkie okna oraz prała firany i to ją zgubiło. Iwona, acz niechętnie, zawsze brała w porządkach udział, bo mieszkanie w kamienicy było bardzo wysokie, a babcia leciwa. Nie chciała, aby coś się staruszce stało, z połamaną babką miałyby tylko kłopot. Oczywiście w swej fałszywej trosce wyrodna wnuczka trwała do czasu. W styczniu wzięła udział w pierwszych warsztatach, a w lutym miała za zadanie tak babcie zwodzić informowaniem o terminie kolejnego zjazdu, aby ostatecznie staruszka w weekend przeznaczony na porządki została w domu sama. Iwonie udało się wszystko tak ułożyć, że podczas gdy babcia wyciągała z komórki aluminiową drabinę, ona była w drodze do Warszawy. W tym momencie do akcji wkroczyła Stefa. Korzystając z otrzymanego od Iwony dodatkowego kompletu kluczy, cicho weszła do mieszkania, na twarz naciągnęła kominiarkę i upewniwszy się, że starowinka jest już na drabinie – podbiegła do niej i kilkoma potrząśnięciami usiłowała zrzucić na podłogę. Babcia zaczęła krzyżeć, a Mela skoczyła Stefie na plecy. Szamotanina i wrzaski nie trwały na szczęście długo, zresztą i tak nie było to istotne, bo nawet gdyby trwały dłużej, z pewnością żaden z sąsiadów by się nimi nie zainteresował, jako że z mieszkania kobiet często dochodziły odgłosy awantur. Kolejna dawka krzyków niczym nowym dla sąsiadów więc by nie była. Iwona z Warszawy miała wrócić dopiero po wysłuchaniu wszystkich wykładów, ale że nie mogła usiedzieć na miejscu, przyjechała do Poznania jeszcze tego samego dnia. Koniecznie musiała sprawdzić, jak Stefie poszło! Było już późno, gdy cicho otworzyła drzwi... Ale nie, reszty wspominać nie będzie! Im rzadziej będzie myśleć o tamtym wieczorze, tym szybciej obraz powinien zniknąć z jej pamięci.

– Wiesz co? – Iwona przypomniała sobie, po co właściwie przyszła do Lurki. Ignacy Knychalka na Cytadeli. Dobry temat do zagadania Stefy, a może tak ją tym zajmie, że przyjaciółka odstąpi od chęci zamordowania męża? Albo chociaż sama zapragnie go załatwić? Czyż nie byłoby przyjemniej własnoręcznie zabić kogoś, kto zadał aż tyle bólu?

– Masz jakiś plan?

– Nie, ale wiesz, kogo spotkałam na Cytadeli? To znaczy myślę, że to był on... ale... tak, to musiał być on!

– Kogo tam spotkałaś? – obojętnie zapytała Stefa.

– Knychalkę!

Iwona patrzyła z napięciem zmieszonym z radosnym oczekiwaniem na odpowiedź przyjaciółki dotyczącą usłyszonej rewelacji. Na jakieś zdanie lub choćby pełny zaskoczenia okrzyk, który mógłby być punktem zaczepienia do zmiany tematu i rozpoczęcia nowej dyskusji. Ale nic z tego. Stefa popatrzyła na Iwonę tępym wzrokiem, a po chwili podniosła filiżankę i uczyniła ruch, jakby chciała nią w przyjaciółkę rzucić!

– Gdyby nie była taka droga, wylądowałyby na twojej głowie!

– Mogłaś śmiało rzucać, i tak należy do twojego męża – przewyciężając paralizujący szacunek do Lurki, odgryzła się Iwona. To ona dwoi się i troi, żeby ją pocieszyć, oderwać myśli od przykrego zdarzenia, a Stefa traktuje ją jak psa?!

– Coś ty powiedziała?!

– To!

– Zastanów się, komu pyskujesz, dobrze?

Iwona bez słowa podeszła do lodówki i wyjęła sok pomarańczowy. Nalała do szklanki, usiadła obok Stefy i powiedziała:

– Ale ten facet był taki podobny... to musiał być Ignacy... – Napiła się soku i skrzywiła. Był zimny i kwaśny. Dobrze, że nie ma tyle pieniędzy co Stefa, przynajmniej nie przepłaca. Zwykle napoje są lepsze – tanie, a przede wszystkim słodkie.

– Nie wierzę. Bzdury gadasz.

– Nie gadam bzdur! Jedź ze mną na Cytadelę, może jeszcze tam będzie.

- Co on tam robił? Co wybitny pisarz Knychałka mógł robić na poznańskiej Cytadeli?!
- Trawę kosił.

Stefa popatrzyła na Iwonę z osłupieniem. Knychałka kosił trawę! Gdyby wiedziała, że śmierć babci Frani wypali w jej mózgu takie piętno, palcem by tej starej nie tknęła!

- Daj spokój.
- Nie wierzysz mi?
- Nie.
- Ale...

– Mam na głowie ważniejsze sprawy niż twoja fatamorgana. Wypij ten sok i zostaw mnie samą. Muszę mieć warunki do myślenia.

- W kwestii Ignacego? – zainteresowała się Iwona.
- Nie! W kwestii mojego męża!
- Dobrze, już dobrze. Uspokój się.
- Zejdź mi z oczu.
- Może pójdę na górę do tego małego pokoju? W nocy kiepsko spałam...
- Świetny pomysł, idź się położyć.
- Ale Ignacy naprawdę był na tej...

– Nie! Nie chcę na jego temat już nic więcej słyszeć! Wbij sobie mocno do głowy, że Ignacy albo u Małoty kończy książkę, albo jeździ pociągami, albo...

- Nie kończ, nie kończ! Już idę się położyć!



Wanda marzyła o szczelnym zaciągnięciu zasłon, odgradzeniu od całego świata i pograżeniu w bezmyślnym nieróbstwie. Ale najpierw wyjęła z torebki bezcenną kanapkę z kiebasą i otworzyła zamrażarkę. W szufladzie leżały dwa okazałe, wyglądające na jakieś mięso, zawiniątka, dwa opakowania truskawek i jedno jagód. Kanapkę położyła po prawej stronie i zamknęła zamrażarkę. Po chwili namysłu ponownie ją otworzyła i z zainteresowaniem obejrzała mrożonki. Daty ważności na opakowaniach były w porządku. Postanowiła, że babci oraz Erykowi podaruje po paczce mrożonek. Nic dla nich nie miała, a mrożonki są zdrowe, na koktajl, do makaronu lub ryżu w sam raz. Babcia doceni miękki pokarm, a mężczyźnie Wanda bąknie o polifenolach, bioflawonoidach i tak dalej, oczywiście jeśli będzie chciał słuchać. Wybierze się do sąsiadów, ale jeszcze nie teraz. Teraz należał jej się zasłużony odpoczynek, nawet na tak niewygodnym łóżku, jakie miała Lucyna.



W czasie gdy Wanda odpoczywała, w małym mieszkanku w Luboniu żona Fabiana Małoty pracowała w pocie czoła. Nachylona nad laptopem szybko przebierała palcami po klawiaturze, by po napisaniu kilkunastu zdań przerwać, przeczytać świeżo stworzony tekst i ze złością go skasować. Och, z jaką przyjemnością zajęłaby się czymś innym! Powiodła wzrokiem po pokoju. Tak dawno nie sprzątała, że po kątach tłumnie zaczęły się gromadzić duże pęki kotów. Rzeczy do prasowania również narosła cała sterta, no i chętnie coś by ugotowała, dość już miała serwowanych przez męża zupkę z proszku.

- Jak ci idzie? – W drzwiach pokoju stanął Fabian. W ręce trzymał szklanę.
- Nie widzisz?! W ogóle mi nie idzie!
- Myślałem, że gdy się wyniesie, wena ci wróci.
- Nie chodzi o niego. Już nie wiem, o co mi chodzi...
- Właśnie. Dobrze by było, żebyś się określiła i przestała stroić fochy. Gdy z nami

mieszkał, narzekałaś, że to przez niego, że się połapie, więc powiedziałem mu, aby się wyprowadził, a wiesz, że bardzo go lubię.

– Właśnie. Ty go lubisz. Ale ja go nie lubię!

– Tylko dlatego, że rozwiódł się z twoją siostrą? Przestań. Zresztą winna była Monika.

Ponoć regularnie przyprawiała mu rogi.

– Niech cię nie interesuje moja siostra i jej były mąż również. Kto to widział, żeby tak lubić mojego byłego szwagra?!

Maryla trzasnęła klapą laptopa.

– Nie będziesz już dziś pisać? – Małota drgnął niespokojnie.

Maryla ostatnio dobrze nie wyglądała. Przygarbiła się, a między brwiami pojawiła jej się pionowa zmarszczka. I chyba kilka siwych włosów również jej przybyło. Z żarliwej miłości, która ich łączyła, dawno nic nie zostało, ale Fabian na swój sposób nadal ją kochał. Poza tym była dla niego bardzo użyteczna.

– Chcę odpocząć. Miałaś mi przynieść wody.

– Proszę. – Podał jej szklankę.

– Z cytryną?

– Tak.

Maryla Małota, od czasu gdy mąż zmusił ją do pisania książki, zaczęła mieć problemy z żołądkiem. Dokuczały jej zgaga, ucisk w dołku i częste odbijanie. Gdy w apteczce brakowało przynoszących ulgę środków farmakologicznych, piła wodę z cytryną, co czasem nawet pomagało. Drażniła ją najmniejsza błahostka, a to, że Fabian, bez pytania o zgodę, pozwolił u nich mieszkać jej byłemu szwagrowi, przyprawiło ją o niemożliwą do przezwyciężenia niemoc twórczą.

– Męczy mnie ta sytuacja.

– A mnie myślisz, co? Też wykańcza.

– Ale ty całą noc przesypiasz, a ja nie! Dlaczego nie pójdziesz na policję?!

– Dokończ tę książkę. Wydamy ją, a potem się zobaczy.

– Całe szczęście, że się nie zgodził na to spotkanie... – Maryla wypila wodę.

– A ja żałuję. Mogłoby być ciekawie. A gdyby tego wywiadu udzielił, dopiero by było zabawnie!

– Zabawnie?! Ty mówisz, że by było zabawnie?! Skoro tak twierdzisz, to dlaczego go do tego zniechęcałaś? Trzeba go było namówić! Albo jeszcze lepiej, sam udzieli wywiadu!

– Z pewnością bym udzielił, gdybym to ja był tak do niego podobny. Och... Gdyby to mnie łączyło takie podobieństwo... To by było pole do popisu! – Maryla widziała po rozanielonej minie męża, że rozmarzył się wręcz nieprzyzwoicie.

– Nie do popisu, tylko nadużyć! Gdybym wiedziała, co mnie przy tobie spotka, nigdy nie zgodziłabym się z tobą współpracować i nigdy byś się nie dowiedział, że potrafię pisać!

– Nie denerwuj się, Marylko, ty moja złota. – Małota podszedł do żony, czule odgarnął jej włosy, aby pocałować w kark, ale się odsunęła. – Właśnie dobrze się stało – ciągnął niezrażony jej nieprzyjaznym gestem – że odkryłem twój talent. Dzięki niemu zbijemy piękny majątek, a potem...

– Zaszycemy się na końcu świata... – Tym razem to ona pogrążyła się w marzeniach. Na jej ustach pojawił się błogi uśmiech. Zobaczyła plażę, siebie w skąpym bikini, z kwiatem wpiętym we włosy i drinkiem trzymanym w wypielęgnowanej dłoni... Słońce, woda, cisza i fura pieniędzy...

– Tak, zaszycemy się w jakimś pięknym miejscu. – Tym razem udało mu się cmoknąć ją w kark. – Ja z drinkiem pójde na plażę, a ty pod palmą schronisz się przed słońkiem. Kupię ci

najlepszego laptopa na świecie i będziesz pisać...

Rozmarzony uśmiech znikł z twarzy Maryli jak starta z tablicy kreda.

– Po moim trupie!

– Dobrze, dobrze. – Poklepał ją po ramieniu. – Bierz się do roboty i pamiętaj, że książka ma się ukazać jesienią. Bezwzględnie.

Patrzył na nią wyczekująco, ale milczała.

– Idę do sklepu. Kupić ci coś?

Maryla spojrzała na niego ze złością.

– Wstąp do apteki i kup coś na zgagę.

– Może wreszcie pójdziesz z tym do lekarza?

– Pójdę, gdy skończę pisać!

A właśnie że nigdzie nie pójde, pomyślała, skończę ze sobą i tyle. Nie miała wątpliwości, że Fabian nie odpuści i już zawsze będzie kazał jej pisać. Najlepiej więc, żeby koniec jej dni nadszedł jak najszybciej. Umrze i nie będzie jej przerażać zawartość piwniczki, a ściślej znajdującej się tam zamrażarki. Ale kto wie? Może wcale nie będzie musiała sama się zabijać? Z tak potężnym obciążeniem psychicznym z pewnością długo nie pociągnie.



Wandzie udało się usnąć. Spała niecałą godzinę, ale to wystarczyło, aby poczuła się wypoczęta. W kuchni zaparzyła kawę i zjadła truskawkowy jogurt. Źle, że Lucyna zabrała ze sobą laptop, mogłaby zacząć pisać kolejną książkę. Od pewnego czasu nosiła w sobie nowy pomysł, ale był to jedynie mglisty zarys i aby stwierdzić, czy warto go rozwijać, musiała przelać go na papier i obejrzeć, jak się zaprezentuje czarno na białym. Potem wypiła jeszcze szklankę kranówki i przypomniała jej się mrożonka dla staruszki. Wieczorem do niej wpadnie. Tymczasem mogłaby ponownie wybrać się do Lubonia. Miała dość kretyńskiego tropienia Knychalki, ale do przerażającego widma utraty pracy doszedł jeszcze szantaż Lurki, musiała więc działać.

Na miejscu wysiadła jak zwykle na przystanku za Pajo. Przeszła na drugą stronę ulicy i podążyła wzdłuż budynku Spółdzielni Lubonianka. Tak była zamyślona, że nie zauważyła wychodzącego z apteki Małoty. Ten jednak natychmiast ją rozpoznał, przystanął i zawołał ze zdziwieniem:

– Hola!

Wanda spojrzała w kierunku, skąd doszło zawołanie. Małota! Jaki pech!

– Dzień dobry – powiedziała uprzejmie i nie zwalniając kroku, szła w dół chodnika, wprost w kierunku Centrum Pajo. Nie takie było jej zamierzenie, ale teraz, gdy cholera jasna, spotkała wydawcę, nie mogła skrócić w lewo, by nie dać mu powodu do podejrzeń, iż celem jej przyjazdu było kręcenie się pod oknami jego mieszkania.

– Hola! – powtórzył, zbiegł po trzech schodkach i błyskawicznie znalazł się przy niej.

W ręce trzymał foliową torebkę z jakimiś lekarstwami. – Mogę zapytać, co pani tu robi?

– Może pan.

– Więc co pani tu robi?

– Idę.

– Świetnie, ale dlaczego w Luboniu?

– To w Luboniu chodzić sobie nie można?! – Wanda przystanąła i wzięła się pod boki. – Jak pan mnie nie zostawisz, to wrzeszczeć będę!

– Cicho, cicho. – Chciał na jej ramieniu położyć rękę, ale odskoczyła. Niedoczekanie, żeby ją dotykał!

– Szuka go pani, co? – zapytał z krzywym uśmiechem.
– Kogo? – Popatrzyła na niego uważnie. Miał na sobie bawełnianą koszulkę w poprzeczne biało-zielone paski, które sprawiały, że wydawał się jeszcze szerszy.
– Pani dobrze wie, o kogo pytam. O Knychalkę. Jego pani szuka?
– Skądże, do Pajo idę. A tak na marginesie, co u niego słyhać?
– Książkę kończy. – Wydawca przesywał ją wzrokiem. Tak uważnego spojrzenia Wanda nigdy nie doświadczyła.

– Ale już nie u mnie – dodał.

Czyli jednak Ignacy nie wytrzymał i ruszył w trasę... – pomyślała.

Oj, głupia kobieta – myślał Małota. – Wydaje się, że uwierzyła. I dobrze. Ale, prawda, mówi, że do sklepu idzie, ciekawe. I niezła z niej sztuka. Baczniej jej się przyjrzał. Dość korpulentna, ale nie za gruba, była taka, jakie lubił. Włosy też miała długie, co u kobiet w jej wieku rzadko się spotyka.

– Domyślałam się, że tak zrobi. – Wanda westchnęła. – Kiedy się wyprowadził?

– Wczoraj.

– A w którym kierunku pojechał, nie wie pan?

Musiała zadać to pytanie choćby przez wzgląd na własne interesy.

– Gdzieś tam. – Małota machnął ręką w stronę Poznania. – Będzie go pani szukać?

– Nie wiem...

Nie uważała za zasadne informować go o swoich planach. Oczywiście, że nigdzie po Polsce za tym Knychalką latać nie będzie. Jeszcze na głowę nie upadła. Cóż, straci pracę, a jeśli nawet uda jej się wydać książkę, to Lurka obsmaruje ją w gazecie. A może to i dobrze, że obsmaruje? Zawsze to jakaś reklama. Aby zaistnieć, każdy sposób jest dobry.

– Jeszcze się pani łudzi, że zgodzi się na to spotkanie, co? Nic z tego. Nie warto za nim latać, bo nic z tego nie będzie. A tej pani książki również nie przeczytał.

– Wiem przecież. Po co mi pan przypomina?

Małota patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Cóż... W takim razie wracam do Poznania.

– Do Pajo już się pani nie wybiera? – Uśmiechnął się półgębkiem, zamachał radośnie torebką z lekarstwami i poszedł w lewo, w stronę swojego bloku. Wanda nie widziała już sensu chodzenia za nim, bo czuła, że wydawca nie kłamał i Knychalka rzeczywiście się od niego wyprowadził.

Przez chwilę patrzyła za Małotą, ten chyba poczuł na plecach jej wzrok, bo obejrzał się i pomachał jej ręką. Nie chcąc dawać mu satysfakcji, weszła do sklepu, przemierzyła halę i wyszła z drugiej strony, na parking, a stamtąd udała się na przystanek.



Zaczęło padać. Podczas gdy Wanda wracała autobusem do Poznania i bezmyślnie gapiała się w mokrą szybę, Lurka piła w kuchni zimną herbatę. Sączyła łyk za łykiem, a w jej oczach, gdy tylko spojrzała na którąś z cenniejszych rzeczy, zapalały się dzikie błyski. Niczego mu nie odda! Bartosz jest już martwy! Najpierw załatwię jego, a w odpowiednim czasie tę jego zdiurę! Przez chwilę nasłuchiwała, czy Iwona nie schodzi z góry. Cisza. Ta tchórzliwa kretyńska spała w najlepsze, podczas gdy Stefa opracowywała PPM, czyli Plan Pomyślnego Mordu. Popatrzyła na lejącego za oknem deszcz. Psia pogoda podsunęła jej pewną myśl! Na razie jednak musiała wyładować nagromadzone emocje, a że nie miała żadnego domowego zwierzęcia, które mogłaby szturchnąć lub wyrzucić w strugi ulewy, szybko podeszła do laptopa, który akurat stał w kuchni, bo nim Bartosz obwieścił jej straszną nowinę, pisała na nim swą kolejną, sama już nie wiedziała

którą książkę. Posłuchała jeszcze chwilę, czy na górze na pewno nadal panuje niczym niezmacona cisza, i niezwłocznie weszła na swój sekretny blog. Blog Dziuni W. Błyskawicznie napisała tam kilkanaście słów niewybrednie obrażających twórczość jej przyjaciółki Iwony Cieciorke, uważnie przeczytała wpis, poprawiła przecinki i się wylogowała. Niech ma! Niech cierpi! Lurka od razu poczuła, jak opuszcza ją napięcie.

Uśmiechnęła się złowrogo, zatarła ręce i podeszła do schodów:

– Iwonka! – zawołała słodko. – Wstawaj, kochanie, czas na podwieczorek!



Ulewa zmoczyła Wandę doszczętnie. W jakimś stopniu ją to ucieszyło, bo zgodnie z tym, co wmawiały jej świętej pamięci już babcie, majowy deszcz miał dobrze wpływać na włosy. W mieszkaniu zdjęła spodnie, bluzkę, okryła się kocem, a na głowie z ręcznika ukręciła turban. Że też ze swojego mieszkanka wzięła jedynie szczoteczkę do zębów oraz kilka zmian bielizny! Ale stało się tak przez nich, tych młodych, a w szczególności oczywiście winien był Norbas! Otworzyła szafę Lucyny. Niższa od niej o głowę, filigranowa przyjaciółka gustowała przede wszystkim w sukienkach oraz tunikach, czyli wszystkim tym, co na Wandę było zbyt wąskie w piersiach i czego, nawet gdyby bardzo się starała, na pewno nie zdołałaby na siebie wcisnąć. Szybko przejrzała wieszaki i gdy niczego tam dla siebie nie znalazła, zabrała się do przeszukiwania zawartości półek. W końcu znalazła coś, co mogło być na nią dobre – dres, ale był w tak oplakany stanie, że Wanda doszła do wniosku, iż Lucyna musiała wkładać go tylko do sprzątanania. Nogawki i rękawy były nieco przykrótkie, ale poza tym leżał jak ulał. Założyła go i poszła do kuchni. Otworzyła lodówkę i wzięła kolejny jogurt. Zanim go otworzyła, jej wzrok padł na zamrażarkę. Tam, w jednej z szuflad leżała ona, kanapka z kielbasą, symbol szczęśliwego związku. Delikatnie wyjęła zawiniątko. Chleb był zimny i porządnie zeszywniał. Pogłaskała go z czułością. Delikatnie odłożyła kanapkę i zamknęła zamrażarkę. Zjadła jogurt i wybrała numer Lurki. Nie odbierała. Trudno, nie będzie się napraszać. Jak zechce, to oddzwoni. Jakiś honor mieć trzeba.

Wanda wysuszyła w łazience włosy i wróciła do kuchni. Tym razem z zamrażarki wyjęła, z myślą o wybraniu się do staruszki, dwie paczki mrożonych owoców. Włożyła je do znalezionej w pierwszej otworzonej przez siebie szufladzie foliowej torebki i ruszyła do drzwi.



Iwona weszła do kuchni, gdzie Stefa, podśpiewując pod nosem, mieszała coś w garnku. Coś, co ładnie słodko pachniało. Budyń?

– Ale pospałam... – Przeciągnęła się leniwie.

– To przez tę pogodę – powiedziała Stefa. – Zjesz budyń z sokiem?

– Jaki gotujesz?

– Waniliowy.

Lurka rzuciła na Iwonę przelotne spojrzenie. Co za straszdyło – pomyślała na widok nastroszonych, suchych blond włosów. Nic jej te markowe ciuchy nie pomagają i nigdy nie pomogą. Zawsze taka będzie, bez ładu i składu. Taka jak te jej głupie książki.

– Siadaj, zaraz ci podam.

Iwona usiadła tyłem do okna. Kuchnia, tonąca teraz w sztucznym świetle, wydawała się o wiele przytulniejsza. Dobrze, że Lurka je włączyła. Włączyła również radio, z którego dochodziły dźwięki cichej, wesołej muzyki. Najwyraźniej ma lepszy humor, a to znaczyło, że coś wymyśliła, oby tylko nic krwawego.



Wanda już miała chwycić za klamkę, ale opadły ją wątpliwości. W za krótkim, przybrudzonym dresie wyglądała jak kloszard, a w takim stroju nie wypadało pokazywać się ludziom na oczy. Zawróciła i z westchnieniem wrzuciła mrożonki do zamrażarki. Do staruszki pójdzie jutro, gdy ubranie już wyschnie, a tymczasem napije się herbaty. W szafce znalazła malinową z pigwą, cytryną, agawą i hibiskusem. Takiej mieszanki jeszcze nie próbowała. Z zaciekawieniem powąchała saszetkę i włożyła ją do kubka. Wydało jej się, że słyszy ciche pukanie. Wyłączyła czajnik i nastawiła ucha. Nieśmiało pukanie znów się powtórzyło.

– Kto tam? – zapytała i pożałowała, że Lucyna nie miała wizjera.

– To ja, Jadwiga.

Jadwiga? Cóż to za Jadwiga? Wanda ostrożnie uchyliła drzwi. W progu stała spotkana rano staruszka.

– O! – powiedziały niemal jednocześnie.

– Pani sprząta u Lucynki? – z ciekawością zapytała babcia.

– Sprząta? Dlaczego akurat sprząta? – zachnęła się Wanda.

– Tak sobie tylko pomyślałam... – Staruszka wymownie spojrzała na przywdziany przez Wandę dres.

– Nie, będę tu jakiś czas mieszkać. Raczej krócej niż dłużej.

– Lucynka nie mówiła, że teraz będzie wynajmować, a zawsze mnie o tym informowała – rzuciła z pretensją w głosie.

– Mnie Lucyna również nie mówiła, że pani nic nie mówiła.

Babcia zmarszczyła cienkie brwi.

– Nie rozumiem...

– Nieważne. Lucyna chwilowo mieszka u byłego męża.

– O, znów do niego wróciła? – W głosie staruszki słychać było zawód. – A obiecała mi podciąć włosy.

– Cóż... – Wanda nie wiedziała, jak ją pocieszyć. – Mogę do niej zadzwonić i przypomnieć o pani.

– Uchowaj Boże! – Jadzia złapała Wandę za rękę. – Niech pani jej nie przeszkadza, niech sobie Lucynka spokojnie na nowo życie układa!

Kobiecina już zbierała się do odejścia, ale przystanęła jeszcze:

– Czy dostarczyła pani Erykowi kanapki? Pytam, bo jeszcze nie wrócił.

– No... no niestety, nie.

– Och, szkoda. Pewnie jest głodny.

Wanda nagle poczuła się osamotniona i żądna jakiegokolwiek towarzystwa, a staruszka wydawała się jej tak szalenie sympatyczna, że zapragnęła z nią porozmawiać dłużej. Poza tym nadarzyła się odpowiednia chwila, aby powiedzieć, co naprawdę stało się z kanapkami oraz wręczyć ekwiwalent za spowodowaną stratę.

– A może...

– Tak?

– Może wejdzie pani na herbatkę? Mam tu taką dziwną mieszankę, razem się napijemy.

– Wie pani, bardzo chętnie się z panią tej dziwnej herbatki napiję.

Wanda chciała babcie Jadzie podjąć w pokoju, ale starsza pani zaprotestowała, mówiąc, że z Lucynką herbatki zawsze pijają w kuchni. Gdy babcia wygodnie usiadła, Wanda z trudem wyznała jej uogólnioną prawdę na temat kanapek Eryka – zjadła wszystkie i kropka.

– I jako rekompensatę za zjedzenie tych kanapek postanowiłam dać pani coś zdrowego,

mianowicie dwie paczki mrożonych owoców.

– Ależ, Wandziu – Wanda pozwoliła babci mówić do siebie na ty, babcia w stosunku do siebie jej tego nie zaproponowała – nie chcę niczego w zamian! A poza tym może to i dobrze, że ich nie dostał? Jeśli porządnie zgłodniał, nabierze rozumu, aby o śniadaniu zawsze pamiętać.

Potem babcia Jadzia przypomniała sobie, że ma w domu jeszcze placek z kruszonką. Niezwłocznie podreptała do siebie i przyniosła, mówiąc:

– Zjemy sobie do tej dziwnej herbatki.

Postawiła talerz na stole, nałożyła po kawałku dla Wandy oraz dla siebie i zatraciła się w opowieści o młodości przypadającej na czasy wojny, a także o radościach i smutkach, których nie uniknęła w swym długim – miała już osiemdziesiąt siedem lat! – życiu.

– No i teraz zostałam sama... – Westchnęła. – Moja Marzenka z Jacusiem – Marzenka to córka babci Jadzi, a Jacuś zięć, Wanda już na wstępie się o tym dowiedziała – wyjechali do Australii. Jacuś ma tam bogatego przyjaciela. Nie powiem, chcieli mnie ze sobą zabrać, ale się nie dałam.

– A co z wnukiem, tym... – Wanda nie mogła przypomnieć sobie jego imienia.

– Krzysiem? Mówiłam przecież, że ma w Karpaczu pensjonat. – Popatrzyła na nią z dezaprobatą.

– I pani tak tu sama...

– Dlatego wynajmuję pokój. Żeby mi smutno nie było. Od kilku dni wprawdzie, ale jestem dobrej myśli. Bo wiesz, najpierw się przestraszyłam, gdy na ogłoszenie odpowiedział mężczyzna, ale tak mnie prosił, tak ręczył, że jego kolega nic mi nie zrobi, więc nie miałam serca odmówić.

– Jego kolega? Nic nie rozumiem.

– Oj, na moje ogłoszenie odpowiedział taki jeden starszy, kolega Eryczka i on zaklepał dla niego pokój.

– I jest pani z niego zadowolona? Z tego Eryka?

– Czy ja wiem? Krótko ze mną mieszka, ale grzeczny jest, cichy i w domu nie brudzi.

Może tak źle nie będzie? Poza tym Lucynka często studentom wynajmuje i ona jeszcze nigdy nie narzekała.

Babcia napiła się z kubka, sięgnęła po kawałek ciasta i ugryzła.

– A ty, Wandziu, też się częstuj, bo zaraz sama zjem wszystko.

Wandzie ciasto niezbyt smakowało, było za słodkie i nieco trąciło pleśnią, ale nie chcąc robić babci przykrości, dokończyła swoją porcję.

– Wiesz, Wandziu – ciągnęła babcia Jadzia – tej samotności wcale bym nie odczuwała, gdybym nadal mieszkała na Wildzie, ale Marzenka i Jacuś uparli się na nowe mieszkanie i oczywiście je kupili. Dopiero potem, gdy to na Wildzie było już sprzedane, wymyślili daleki wyjazd. A wszystkich na starych śmieciach znałam, miałam tam tyle przyjaciółek... – Babcia Jadzia otarła dwie łzy. – Najmocniej tęsknię za Franciszką. Może o niej słyszałaś?

Wanda ze zdziwieniem spojrzała na babcię Jadzię. Dlaczego miałyby słyszeć o jakiejś Franciszce pochodzącej z Wildy? Czy to był ktoś znany? Może jakaś lokalna poetka? Nie, niemożliwe, na temat takiej osoby do Wandy na pewno doszłyby jakieś słuchy. Zapewne babcia Jadzia sądziła, że skoro ta Frania była dla niej tak niezmiernie ważna, to każdy powinien ją znać. Ot, starczy punkt widzenia – z pobłażaniem pomyślała Wanda, głośno natomiast rzekła:

– Nie wydaje mi się.

– Oj, nie myśl, że to był ktoś znany. – Jadzia chyba czytała w jej myślach. – Frania umarła na skutek wypadku i nawet w „Głosie” była o tym wzmianka. Spadła z drabiny. Czytałaś o tym?

Wanda zastanowiła się chwilę, ale takiego zdarzenia sobie nie przypominała. Wiadomości w „Głosie” zawsze czytała dokładnie, ale to mógł być czas, kiedy akurat była w jakimś konflikcie z Murkiem, co zdarzało się nierzadko. W takich chwilach, na ile to było możliwe, izolowała się od świata, odchorowywała awanturę, a śledzenie wiadomości w prasie było ostatnią czynnością, na którą miała wtedy ochotę.

– Nie, nie czytałam.

– To się wydarzyło w lutym trzy lata temu. Oczywiście ona znów myła okna, a tyle razy jej mówiłam, że w tym wieku powinna wybić to sobie z głowy!

– Tak, rzeczywiście, szkoda kobiety – obojętnie rzuciła Wanda. – Napije się jeszcze pani herbatki?

– Owszem, napiję. Niezła jest jak na takie dziwadło. Ale o czym ja mówiłam? Ach, o Frani. Wandziu, wybaczone, że poruszyłam tak przykry temat, ale wciąż nie mogę się pogodzić z jej głupią śmiercią. – Z dezaprobatą pokręciła głową. – Kto to widział, żeby w tym wieku po drabinach łązić?!

– Nie miała nikogo do pomocy? Była samotna?

– Nie. Wnuczkę miała. Iwonę. Ale ona tego dnia pojechała na jakiś zjazd czy coś.

– Nie mogła z tymi oknami poczekać, aż ona wróci?

– Otóż nie mogła. Okna myła raz w miesiącu, tylko w ściśle wyznaczoną sobotę, a tego dnia akurat Iwona miała wyjazd. Wandziu, wyobrażasz sobie, żeby tak często myć okna?!

Wanda absolutnie sobie tego nie wyobrażała. Postawiła przed babcią Jadzią herbatę i podsunęła cukiernicę. Polubiła tę staruszkę, ale czuła się już zmęczona. Opowieści na temat jej życia były interesujące, ale roztrząsanie okoliczności śmierci mieszkającej na Wildzie jakiejś tam Franciszki zupełnie Wandy nie obchodziło. Nie chcąc robić gościowi przykrości, słuchała jednak cierpliwie.

– Oj, Frania, Frania... Samą mnie zostawiła. Bezmyślna!

Jak na gust Wandy temat Franciszki mógłby już zostać zakończony, bo nie dość, że ją to nudziło, to na dodatek zaczęła się obawiać o babcię Jadzię, aby czasem nie zaszkodziły jej ponure wspomnienia.

– Kotka ponoć bardzo nad nią miauczała...

– Jaka kotka?

– Jej kotka. Mela. Wyobrażasz sobie? Wnuczka hen daleko na wyjeździe, Frania na podłodze, a nad nią rozpaczająca kotka. To musiał być bardzo przejmujący widok!

– Rzeczywiście...

– Tak... ta Mela jest bardzo dzielna. Tak miauczała nad Franią, że aż sąsiedzi się zainteresowali i wyważyli drzwi, ale było za późno!

– Tragiczna historia! – Wanda podparła ręką głowę. Na Boga, ile jej jeszcze przyjdzie o tym słuchać?

– Bardzo. I nie tylko Mela była załamana, bo i Franina wnuczka również. Na pogrzebie dobrze jej się przyglądałam, rozpaczała naprawdę mocno.

Wanda pożałowała, że zaprosiła Jadzię na herbatę, a nie poszła do niej z tymi mrożonkami, bo o końcu wizyty sama mogłaby zdecydować. O czym jeszcze staruszka jej opowie?

– I w taki oto sposób zakończył się żywot mojej kochanej Franciszki...

Czyżby wizyta wreszcie dobiegała końca? Franciszka umarła, została pochowana, o czym tu jeszcze rozprawiać? Wanda była zmęczona, ale niezmordowana babcia Jadzia ciągnęła:

– Nigdy jej nie zapomnę, Franeczki mojej... Ale wiesz, czasem wpada do mnie Iwona, ta

jej wnuczka. Niestety, nigdy nie siądzie i nie porozmawia, bo ciągle gdzieś się spieszy, ale za to zawsze ma dla mnie książkę.

– To miło z jej strony...

– Niewiele za nie bierze, mówi, że po cenach hurtowych sprzedaje.

– Pracuje w jakiejś hurtowni?

– A gdzie tam! Jakoś sama te książki produkuje. Prosiła mnie nawet, abym wśród sąsiadów popytała, czy kto nie zechce kupić, ale nikt nie był zainteresowany.

– Co ona pisze? – obojętnie zapytała Wanda. Doszła do wniosku, że czy będzie podtrzymywać rozmowę, czy nie, to i tak babcia Jadzia zadecyduje, kiedy ma opuścić jej mieszkanie. Znaczący Lucyny mieszkanie.

– Och... – Babcia Frania machnęła ręką. – Straszne rzeczy w nich pisze! Wszyscy się tam seksują! Franciszka też tych Iwonki książek nie lubiła. A może to my jesteśmy do nich za stare, co?

– Jak ona, ta pisarka, się nazywa? – Wandzie coś zaczęło świtać.

– Mówiłam ci przecież.

– Nie, nie mówiła pani.

– Oj, mówiłam, tylko ty nieuważnie słuchasz, Cieciora się nazywa. Słyszałaś o niej?



– I co wymyśliłaś? – zapytała Iwona, polewając budyń sokiem malinowym. Szkoda, że sok nie był domowej roboty, ale Stefa do gotowania zawsze miała dwie lewe ręce. Dobrze przynajmniej, że budyniu nie przypaliła.

– Słuchaj...

W kieszeni Iwony odezwała się komórka.

– Poczekaj, zaraz wyłączę.

– Nie, odbierz.

– Nie, wyłączę. – Iwona wyjęła z kieszeni aparat.

– Odbierz zaraz, bo potem będziesz ciągle na nią zerkać i myśleć, co za wielbiciel się do ciebie dobijał!

– No wiesz!

– Odbieraj!

Iwona z wyraźną radością odebrała połączenie.

– Słucham?

Przez chwilę do uszu Lurki dochodził rozemocjonowany damski głos.

– Już jadę – rzuciła krótko Iwona.

– Dokąd się wybierasz? – zimno zapytała Lurka.

– Muszę jechać do domu. – Westchnęła i przewróciła oczami. – Mela miauczy wniebogłoso. Sąsiadka mówiła, że wytrzymać nie można. Wypuszczę ją na dwór i wracam.

Lurka zazgrzytała zębami. Tyle razy Iwonie powtarzała, że powinna zrobić z tą kotką porządek. Kto to widział, żeby trzymać w domu zwierzę, które nie daje się ułożyć?!

Iwona wstała.

– Naprawdę muszę iść. Mogę? – zapytała, widząc wściekłą minę Stefy.

– Możesz, możesz, ale szybko wracaj.

Iwona niemal biegiem opuściła kuchnię, a Stefa nastawiła wodę na herbatę i sięgnęła po porcję budyniu.

– Może tym razem zdołasz jej łeb ukręcić! – krzyknęła za Iwoną, ale ona tego nie słyszała, dawno była za drzwiami i dobiegała do pięknej kutej furtki.



– O, znasz ją! Czytałaś jakieś jej książki? – zapytała babcia Jadzia.

– Tak, znam. Jej twórczość też nie jest mi obca. – Wanda się zarumieniła, a babcia Jadzia ze zgorzaniem pokiwała głową. – Co wcale nie znaczy, że mi się podoba! – szybko dodała Wanda. – Ale chciałabym być chociaż w jednej trzeciej tak sławna jak Iwona...

– Ty też jesteś pisarką?

Wanda się zastanowiła. Czy mogła twierdzić, że jest pisarką, skoro nie miała jeszcze wydanej żadnej książki?

– Coś tam napisałam, ale nie wiem, czy znajdę wydawcę.

– Może Iwona by ci pomogła?

– Już na ten temat rozmawialiśmy – odpowiedziała wymijająco.

– Naprawdę. I co?

– Nic. Jeszcze nic. Czekam na odpowiedź.

– Aha. – Babcia Jadzia pokiwała głową i wstała z cichym stęknieniem.

– Ale się zasiedziałam. – Rozmasowała prawe biodro. – Długo tu będziesz, Wandziu, mieszkać?

– Mówiłam już, jeszcze kilka dni.

– Nie mówiłaś. Pamiętałabym.

Jadzia wyciągnęła rękę po talerz, na którym przyniosła ciasto, ale nagle zatrzymała się nachylona nad stołem z ręką uniesioną w powietrzu:

– Oj, w kręgosłupie mi łupnęło! Ale zaraz, powoli... powolutku... – Zaczęła się prostować. – No, już! Puściło! Starość nie radość, pogrzeb nie wesele – rzekła i znów pomasowała prawe biodro. – Dziś nie ćwiczyłam i mam za swoje. Wandziu, czy mogłabyś mnie odprowadzić? Nie chcę ci robić kłopotu, ale po takim zasiedzeniu muszę mocno trzymać się poręczy, więc talerza nie dam rady ponieść.

– Oczywiście! – Wanda z przesadną gorliwością zerwała się z miejsca, chwyciła talerz, szybko go umyła i już była gotowa do odprowadzenia babci Jadzi. Nareszcie! – śmiały się jej oczy.

Na klatce wzięła starowinkę pod rękę i ochoczo poprowadziła schodami wprost do jej mieszkanek.

– Nie tak szybko, Wandziu! – upomniała ją staruszka. Przed drzwiami mieszkania Jadzia się stropiła. – Oj, gdzie są moje klucze? – Pomacała się po kieszeniach. – Ale nie będę ich szukać, może Eryczek już wrócił? – Nacisnęła dzwonek. Z drugiej strony dało się słyszeć szuranie, po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich... Tym razem Wanda zobaczyła go dokładnie. Nie, to nie był obcy mężczyzna podobny do Knychałki. To był Knychałka we własnej osobie!

– Ignacy?! – zawołała na jego widok, a mężczyzna cofnął się dwa kroki. – Pan Ignacy! – powtórzyła.

Babcia Jadzia ze zdziwieniem popatrzyła to na Wandę, to na swojego lokatora.

– Jaki Ignacy? Wandziu, przecież to Eryczek! Eryk Morawiec!

– A skądże znowu! To jest Ignacy Knychałka! Najbardziej znany i najbardziej tajemniczy polski pisarz!

– Ależ Wandziu, co ty opowiadasz? Eryczku, powiedz coś. – Babcia Jadzia patrzyła na Wandę wielce zdziwionymi oczami.

– Starsza pani ma rację. Nie jestem żadnym Ignacym, tylko Erykiem Morawcem.

– Tak, jasne. A ja jestem Giną Lollobrigidą!

– Nie jestem żadnym Knychalką! – wycedził przez zęby. – Jestem Erykiem!
Babcia Jadzia przeniosła wzrok z Wandy na Eryka, potem z niego na Wandę
i powiedziała:

– Wiecie co, moi mili? Ja wejdę do mieszkania, a wy tutaj wasze sprawy omawiajcie. –
Staruszka wyrwała Wandzie z ręki talerz, wdreptała do środka, Eryka wypchnęła na korytarz
i zatrzęsła drzwiami.

Zostali sami. Stali naprzeciw siebie – Wanda Rzążewska oraz mężczyzna, od którego
decyzji, jak sądziła, zależały jej dalsze losy w gazecie. Jak na jej gust był nieco za niski i za
chudy, ale miał całkiem ładne oczy. Zielone. Przez chwilę patrzył na nią ze złością, która
stopniowo ustąpiła miejsca żywemu zainteresowaniu. Zachodził w głowę, jakim cudem ona go tu
wytropiła? Uparta desperatka! Ładna jest, stwierdził, może nie tak ładna jak ta Lollobrigida,
o której wspomniała, ale buźkę miała całkiem niczego sobie. Szkoda, że jest nieco przyduża –
myślał. Przyglądał jej się z ciekawością, na co Wanda się zmieszała, zakaszła nerwowo
i przerwała niezręczne milczenie.

– Niech pan nie kłamie... – zaczęła.

– Nie kłamie! A pani co tu robi?! Śledzi mnie?!

– Chwilowo mieszkam. Na górze. – Wskazała palcem sufit. – I niech pan nie zmienia
tematu, Ignacy Knychalko!

– Ja nie jestem... – wycedził przez zęby i zacisnął pięści – żadnym waszym Ignacym!
Ani tym Knychalką również nie jestem! Boże, co ja bredzę, przecież to jest jedna i ta sama
osoba... – mruknął i pokiwał głową, jakby chciał się nad sobą uzalić.

– W takim razie kim pan jest?

– Byłem szwagrem Fabiana Małoty. Nazywam się Eryk Morawiec!

Wanda zaśmiała się przesadnie głośno.

– Też pan wymyślił! Myśli pan, że uwierzę w tę wydumaną kombinację?

– Ale właśnie tak jest! – krzyknął z zapalem.

– Jeśli nie chce pan ocenić mojej książki ani udzielić wywiadu, nie musi pan się uciekać
do wymyślania tak kosmicznych bzdur... Najwyżej z roboty wylecę, co mi tam... – powiedziała
sarkastycznie i pozornie obojętnie wzruszyła ramionami. – Bo pan...

– Eryk jestem. Naprawdę. Tak właśnie mam na imię. – Na chwilę, w geście bezsilności,
ukrył twarz w dłoniach i tak żałośnie przy tym wyglądał, tak niewinnie, że Wandzie nagle zrobiło
się go żal i zapragnęła go jakoś rozweselić:

– W porządku. Do mnie też mów Wanda, a nie Gina.

– A ty do mnie Eryk... proszę... – Mężczyzna odsłonił twarz i uśmiechnął się z nadzieją.

– Ale autograf w jego imieniu dałeś, co?! – przypomniało jej się nagle.

Mężczyzna rozdziawił usta, zamknął je, otworzył, zamknął, pomyślał chwilę
i powiedział:

– Dałem, ale... naprawdę nie jestem Knychalką.

Wanda prychnęła sarkastycznie.

– Dałem, ale nie jestem! I jak mam cię rozumieć?

– Mam pomysł – powiedział.

– Jaki?

– Dziś już jest późno, ale jutro możemy do niego pojechać.

– Do kogo?

– Do Fabiana. Może jemu uwierzysz. Wpadnę po ciebie, dobrze? Może być dwunasta? –
Mężczyzna patrzył na nią z napięciem.

– Dlaczego tak ci zależy, abym uwierzyła?

– Bo chcę mieć święty spokój.



Lurka ze zniecierpliwieniem bębniła palcami o blat tak samo pięknego, jak i drogiego kuchennego stołu. Kiedy ta idiotka wróci?! Sięgnęła po telefon. Zanim Iwona się zjawi, ona załatwi część PPM, czyli Planu Pomyślnego Morderstwa. Wybrała numer Bartosza:

– Już się spakowałaś? – usłyszała zdziwiony głos męża. Stefę bardzo interesowało, gdzie oraz z kim jej niewierny małżonek teraz przebywał, ale duma powstrzymała ją od postawienia tego pytania. W swoim czasie i tak wszystkiego się dowie.

– Nie. Dzwonię do ciebie w sprawie ogrodu – rzekła wyniośle.

– Ogrodu? – Lurka niemal słyszała obracające się w głowie Bartosza trybiki. Jakim trzeba być głupkiem, żeby zapomnieć o własnej pasji! Czy ona, porzucona przez niego kobieta, nadal musi mu o tym przypominać? Ale tym razem Stefa wykorzysta jego roztrzepanie do własnych celów.

– Pamiętasz? W tym tygodniu miałeś nawieźć trawnik.

Lurka nigdy nie rozumiała miłości Bartosza do ogrodu oraz wszelkich prac z nim związanych, a już przesadne pieszczonienie trawnika całkowicie wykraczało poza jej zdolność pojmowania.

– Pamiętam. Ale wiesz... ta sytuacja...

– Pozwolisz, aby przez nasz rozwód ucierpiał twój piękny ogród? – Mocno zaakcentowała słowo *twój*.

– Poczekaj. Nic mu nie będzie. – W głosie Bartosza wyczuła niepewność i wahanie.

– Ale badyłowi będzie.

– Jakiemu badyłowi?

– Temu z Puszczykowa. Dzwonili, że jutro przywiozą.

– W sobotę?! A poza tym ile razy mam ci powtarzać, że to nie badył, tylko jałowiec chiński!

– Badył chiński czy japoński, co za różnica? Mają go przywieźć i ty masz go odebrać, bo na śmietnik wywalę!

– Na śmietnik? Tak cenną odmianę bonsai?! Boga w sercu nie masz!

– Nie twój interes, co mam w sercu! I ciesz się, że u schyłku naszego małżeństwa dbam o twoje pokręcone hobby. Bady! – prychnęła. – Też mi pasja!

Bartosz puścił mimo uszu wzgardliwe prychnięcie Stefy. Już dawno się przekonał, że ta bezduszna istota nie była w stanie kochać ani roślin, ani zwierząt, ani ludzi.

– Skąd wiesz, że jutro przywiozą? Dzwonili do ciebie?

– Przecież już powiedziałam, że dzwonili.

– Dziwne, dlaczego się ze mną nie skontaktowali...

– Może zgubili twój numer? Więc odbierzesz ten badył czy nie? – szybko zagadła Stefa, aby Bartosz nie miał czasu do namysłu i nie zaczął wnikać, skąd firma ogrodnicza mogła mieć telefon do jego żony.

– Jasne, że odbiorę, muszę przy tym być!

Okazały, piękny *Juniperus chinensis Mountbatten bonsai* doktor Bartosz Lurka zamówił w szkółce w Puszczykowie ponad miesiąc wcześniej. Oczywiście nikt w tej sprawie nie dzwonił i nikt nazajutrz nie miał rośliny dostarczyć, ale Stefa, wyczuwając niechęć męża do pojawienia się w domu, musiała uciec się do kłamstwa, które niezawodnie go tutaj zwabi.

– Ale że w sobotę przyjadą... – W głowie Bartosza trybiki zaczęły przyspieszać, więc Stefa szybko mu przerwała.

– Przecież szkółki w soboty też pracują.
– Wiem, ale ja im mówiłem, że właśnie żadna sobota mi nie pasuje.
– Może zapomnieli, a może tobie się wydaje, że im powiedziałeś, a wcale tego nie zrobiłeś? Dać ci do nich telefon? Zadzwoń i zrób awanturę jak należy!
– Nigdzie nie będę dzwonić i z nikim się awanturować również nie mam zamiaru! – podniósł głos.
– Ciszej! Więc jak, przyjedziesz?
– Przyjadę.
– Ach, byłabym zapomniała, jeszcze ta trawa... nie kosiłeś jej dzisiaj.
– Wiem. Jutro wszystkim się zajmę.
– Powiedz, kiedy będziesz, a zniknę z domu. Zakupy zrobię.
– A masz za co? – wyrwało się Bartoszewi, ale zmienił temat: – Ci z Puszczykowa kiedy mają przyjechać?
– Po pierwszej.
– Dobrze. Będę trochę wcześniej, około południa, jak trawa podeschnie.
– Na pewno podeschnie, w radiu zapowiadali ładny dzień.
– Ale ciebie na pewno nie będzie? Obiecujesz?
– Obiecuję – powiedziała, a po krótkiej pauzie nie odmówiła sobie postawienia pytania:
– Boisz się mnie? – zaśmiała się cicho, zdaniem Bartosza złośliwie, ale przez lata wspólnego życia Stefa przyzwyczyła go do gorszych złośliwości niż byle szydery śmieszek.
– Też wymyśliłaś! – odrzekł szybko i odchrząknął zażenowany, bo z tym strachem trafiła w dziesiątkę.
– Więc... pa...
– Pa...
Na twarzy Stefy wykwitł brzydki grymas. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, następnego dnia odbędzie się jego ostatnie koszenie. Następne zrobi w zaświatach.
– Jestem! – usłyszała nagle za plecami.
Drgnęła, wypuściła z rąk telefon i szybko się odwróciła.
– Ale mnie wystraszyłaś! Nie mogłaś zapukać?!
– No co ty, ja?
– Tak, ty!
– Mogłaś zamknąć drzwi na klucz. – Iwona wzruszyła ramionami. Stefa popatrzyła na nią nieprzyjemnym wzrokiem.
– Co z kotem? – zapytała.
– Wypuściłam na podwórze.
– Siadaj i dokończ budyń. – Stefa podsunęła jej salaterkę.
– Nie mam ochoty. – Iwona usiadła za stołem i odsunęła od siebie naczynie. Stefa przyglądała się jej uważnie. Cieciorke znała wystarczająco długo, aby raz rzucić na nią okiem i wiedzieć, że coś się stało.
– Co jest?
– Nie mogłam się powstrzymać i znów to zrobiłam!
– Co zrobiłaś?! – Ta Iwona! Co takiego wykombinowała?! I to teraz, gdy wszystkie siły powinna skupić na zabiciu Bartosza!
– Przed wyjściem z domu włączyłam komputer i zajrzałam na jej bloga...
– Bloga? Czyjego bloga? – Stefa udała, że nie wie, o czym Iwona mówi.
– Dziuni W....
– Tej lafiryndy? – Wyraziła fałszywie wielkie wzburzenie. – I po co?! Po co?! –

Teatralnym gestem załamała dłonie. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś tego nie czytała?! A tabletkę połknęłaś? – zakończyła z nutką fałszywej troski, której wzburzona Cieciorka nie była w stanie wychwycić.

– Pewnie! Jeszcze przed włączeniem komputera.

– Widzę, że niezbyt ci pomogła, bo ciągle się trzęsiesz.

– Tak. Chyba są za słabe.

– Jeśli nie przestaniesz czytać tych głupot, będziesz musiała iść do psychiatry po coś mocniejszego. Naprawdę chcesz do końca życia łykać proszki?

Iwona bezmyślnie patrzyła na Stefę, ale to, że jej spojrzenie wyrażało pustkę, wcale nie znaczyło, iż nie myślała. Myślała i to bardzo intensywnie. Dziękowała Bogu, że miała taką, może nieco zbyt nerwową i despotyczną, ale jednak oddaną przyjaciółkę! Wspaniałą, troskliwą Stefę Lurkę! Co by bez niej zrobiła? I na wizytę u psychiatry namówiła, i pilnuje, aby toksycznego bloga nie czytała, a ona, Iwona, jest tak niepokorna!

– Obiecasz mi, że przestaniesz?

Iwona milczała.

– Co ja z tobą mam! – Lurka z oburzeniem pokręciła głową.

– Stefo, żebyś wiedziała, co Dziunia tam napisała...

– Inwektywy?

– Tylko tę, że moje książki są najgorszym chłamedem, jakie ludzkie oko mogło czytać.

– Tym akurat bym się nie przejmowała. – Stefa uwielbiała widok Iwony takiej jak dziś: pokonanej, zgnębionej, wielokrotnie złamanej. – I cóż jeszcze tam było?

– Napisała, że jestem megalomanką i że pornografia w moim wydaniu zamiast podniecać, śmieszy. I jeszcze to, że nie jestem pisarką, tylko autorką swoich tekstów! – Iwona, żeby się nie rozplakać, mocno zacisnęła powieki.

– Tylko tyle?

Cieciorka otworzyła oczy:

– Nie. Tam było jeszcze coś, czego najbardziej nie mogę przeżyć. Zaraz, jak to brzmiało... ale Stefo, włącz komputer, a cały wpis na własne oczy zobaczysz.

– Nie, nie. Powiedz mi szybko, co tam jeszcze było.

– Poczekaj... aha, że czytanie moich książek jest jak nurzanie się w intelektualnym błocie i że na pewno piszę je pod wpływem środków psychotropowych! Stefo! Skąd ona wie, że ja coś łykam?!

Stefa zakaszłała, tłumiąc śmiech. Wiedziała, iż to zdanie będzie strzałem w dziesiątkę!

– Nie mam pojęcia! Ale z niej małpa! Żeby tylko w moje ręce wpadła, już bym jej pokazała!

– Dziękuję ci, kochana! Wierzę, że skutecznie byś ją załatwiła, w imieniu moim i innych, niedocenionych oraz poniewieranych autorów!

– Iwonko – Stefa pogładziła ją po drżącej ręce – nie myśl już o tym. Skupmy się na innej sprawie. Bartosz! – zakończyła, mocno akcentując imię męża.

– Ach, właśnie... – Mimo że Iwona się odezwała, wyglądała, jakby nie do końca rozumiała, o czym Stefa chce z nią rozmawiać.

– Dać ci klina?

– Pewnie!

Stefa wyszła do salonu, gdzie naląła pełny kieliszek wódki.

– Proszę.

Ponieważ Lurka nie podała jej niczego do popicia, Iwona podeszła do czajnika, naląła szklankę wody, a następnie łyknęła z kieliszka i natychmiast zapiła. Otarła dłonią usta

i przymknęła powieki. Uwielbiała to uczucie, gdy mocny trunek spływał jej do żołądka i powoli rozgrzewał trzewia.

– I co tam wymyśliłaś? – zapytała.

– Bartosz zginie przez kosiarkę. Porazi go prąd i żywot jego dobiegnie końca.

Iwona odetchnęła. Jak ładnie to nazwała: żywot dobiegnie końca! A jeszcze bardziej podobało jej się to, że pomysł przyjaciółki nie był krwawy. Porażenie prądem. Piękna sprawa! Tylko jaką ona miałyby rolę do odegrania?

– Wobec tego chyba nie będę ci do niczego potrzebna?

– Ależ będziesz.

– Tak? A do czego?

– Nadetniesz kabel.

– Tylko tyle? Sama tego zrobić nie możesz?

– Nie. Ja ci babcię, ty mi męża.

– Za babcię mam ci tylko naciąć kabel? – Myślała, że się przesłyszała, a poza tym nieco zakręciło jej się w głowie i pożałowała, że przed klinem nie dojadła budyniu.

– Myślałam, że za babcię każesz mi go tasakiem albo siekierką... ale tylko nacięcie kabla? Tylko tyle za nią chcesz?

– Tak, w ten sposób wyrównamy rachunki. Wypadnie po półtora trupa na główkę i koniec sprawy.

– Kabel... proszę bardzo. Ale przysięgniesz mi, że Bartosz będzie ostatnim twoim zleceniem?

Iwona przestraszyła się, iż Lurka po jakimś czasie stwierdzi, że jednak pomoc przy porażeniu Bartosza prądem była niczym w porównaniu z pozbyciem się babci, i faktycznie będzie jej kazała kogoś usunąć, tym razem już w sposób krwawy i definitywnie wyrównujący rachunki.

– Dlaczego ci na tym zależy?

– Bo nie jestem głupia i widzę, jaki będę mieć wkład pracy. Niemal zerowy. – Wypity kieliszek wódki sprawił, że Iwona myślała sprawniej niż zwykle. – Ty musiałaś się z babcią szarpać, a ja tylko ciach zrobię i po sprawie, więc nie chcę, abys jeszcze kiedyś w coś podobnego chciała mnie wikłać.

– To nie jest takie proste, na jakie wygląda.

– A co w tym skomplikowanego? – Iwona parsknęła śmiechem. Szkoda, że Stefa nie przyniosła całej butelki. Ta jej przesadna poznańska oszczędność!

– To, że kabel przetniesz zupełnie nowymi nożycami.

– Phi tam! I to ma być problem?

– Takimi, których jeszcze nikt nigdy nie używał. I będziesz ich dotykać gołymi rękami.

Kosiarkę również obmacasz.

Iwona spojrzała na Stefę z osłupieniem.

– Oszalałaś?!

– Nie, myślę nad wyraz jasno.

– Jeśli ktoś zacznie przy tej śmierci węszyć...

– Myślisz, że nie wiem, co zrobiłaś z drabinką, z której zrzuciłam babcię?!

Iwona uciekła wzrokiem w bok. Rzeczywiście, natychmiast po pogrzebie dobrze ją ukryła. Założyła rękawiczki i schowała głęboko w komórce. Wiedziała, że Stefa jej dotykała i na wszelki wypadek chciała mieć asa w rękawie, za pomocą którego mogłaby się przed sądem wybronić.

– I ty, Iwona, w ramach rewanzu, gołymi łapkami podotykasz nożyc, kabelka oraz kosiarki. Wszędzie masz zostawić swoje odciski, zrozumiałaś?

Stefa nie spuszczała z niej wzroku. Ta głupia Iwona na pewno się zgodzi. I dobrze, i o to jej chodziło. A tę aluminiową drabinę może sobie trzymać, gdzie chce i jak długo chce. Stefa przez cały czas pracy nad babcią miała założone rękawiczki. W końcu był luty.



Tak jak poprzedniego dnia prognozowali synoptycy, sobota zapowiadała się piękna. Wanda cieszyła się, że może aura, mimo wpływu enigmatycznego El Niño znad Pacyfiku, wreszcie pozytywnie się ustabilizuje. Ignacy-Eryk zjawił się punktualnie o dwunastej. Nie żeby zależało mu na zrobieniu na niej wrażenia, ale żałował, że nie miał samochodu. Audi A4, którym do tej pory jeździł, było własnością jego żony, więc po rozwodzie został bez auta. Och, nie żeby chciał tej Wandzie zaimponować (bo w końcu co ona go obchodzi?), ale czułby się o wiele lepiej, jak prawdziwy mężczyzna, gdyby do Lubonia mógł ją zawieźć własnym środkiem transportu. Tramwaj! Kto to widział! Nie wiedział jednak, że kobiecie nawet przez myśl nie przeszło, że mogliby w jakiś inny sposób niż właśnie miejską komunikacją dotrzeć do Małoty. Rozmowa rwała się, utknęli więc w niezręcznym milczeniu i tak dotarli na miejsce. Ignacy-Eryk od czasu do czasu ukradkiem zerkał na Wandę, a jego spojrzenie nie kryło podziwu. Wanda kilka razy go na tym przyłapała, przestał więc na nią łypać i utkwiał wzrok w kierowcy, dzięki czemu to ona mogła mu się poprzyglądać.

Do tej pory wiązała się z mężczyznami jeśli nie wyższymi, to równymi z nią wzrostem, ale ten drobny, niepozorny osobnik był na swój sposób interesujący. W związku z nim przychodziło jej nawet na myśl staroświeckie, raczej używane w odniesieniu do kobiet, określenie: czarujący.

Szybko odwróciła wzrok, bo Ignacy-Eryk na nią spojrzał. Na chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały. On pomyślał, że to niemożliwe, aby ktokolwiek na świecie miał tak duże oczy, a ona, że tak bardzo zielonych tęczówek w życiu nie widziała, po czym każde, spłoszone, zapatrzyło się w inną stronę – on w czubek głowy kierowcy, a ona w szybę.

– Tak... – niezdecydowanie zaczął Ignacy-Eryk, gdy dojechali na miejsce.

– Tak?...

– Zasadniczo... zasadniczo to właściwie nie wiem, czy Fabian jest w domu... –

Uśmiechnął się głupawo.

– Nie dzwoniłeś do niego? Nie powiedziałaś, że przyjedziemy? – zapytała z niedowierzaniem.

– Nie. Babcia Jadzia tak mnie zagadła, że zapomniałem. – Machnął ręką.

Nie wspomniał Wandzie, że babcia tak skutecznie go zagadła, iż zapomniał również o wieczornej toalecie, a prawdę mówiąc, odpuścił ją sobie ze względu na późną porę, co starszkę wprawiło w niemały zachwyt, ponieważ dzięki temu zaoszczędziła na wodzie. Od rana natomiast również nie pamiętał, aby do szwagra zadzwonić, bo – zupełnie nie wiedział dlaczego – czuł się dziwnie poruszony i nerwowy, a jego głowy nie opuszczała myśl, że wkrótce znów spotka się z Wandą. Tą Wandą, która tak uporczywie go szpiegowała.

– Mam nadzieję, że go zastaniemy – powiedział.

– Na to liczę.

Na szczęście wydawca był na miejscu. Eryk poszedł przodem i zadzwonił do drzwi, a Wanda została w tyle, przed schodkami, bo coś nader nieprzyjemnego przykleiło jej się do buta i zajęła się tego usuwaniem.

– Eryk! – Usłyszała radosny okrzyk wydawcy.

Eryk? Proszę, jaki przezorny! W kłamstwie tak zapieczony, że łże nawet, gdy nie musi, bo przecież teraz jej nie widzi i bez obaw mógłby grać w otwarte karty. No, chyba że przez okno

ich wypatrzył.

– Właśnie... cześć... nie jestem sam... – Obejrzał się na nadchodzącą Wandę.

Małota gniewnie zmarszczył czoło.

– Skąd ona się tu wzięła?

– Przyjechała ze mną.

– Po co ją przyprowadziłeś?!

– Żebyś powiedział jej prawdę. Mnie za nic nie wierzysz – rzucił jednym tchem.

– Oszalałeś?! Po co?! – syknął Małota. – Nikt was nie widział? – Wydawca wyszedł na korytarz i się rozejrzył.

– Nie.

– Szybko, włączcie do mieszkania. – Ponaglił ich ruchem dłoni.

– Maryla, kończ! Gości mamy! – zawołał w kierunku pokoju. Po chwili w drzwiach stanęła jego żona. Popatrzyła na gości, poblądła i z dezaprobatą pokręciła głową.

– Wejdźcie tutaj. – Małota wskazał im drugie pomieszczenie, którego drzwi znajdowały się naprzeciw tego, z którego wyszła jego żona.

– Siadajcie – powiedział zrezygnowanym głosem.

Pokój był mały i szczelnie zapełniony dzięki starej meblościance, stolikowi do kawy i czterem obitym skajem pufom. Soczysta zieleń ścian ożywiała niemodne wnętrza, a ciemnobrązowe zasłony nadawały mu przytulności. W kącie pod oknem, w dużej donicy, stała diffenbachia.

– Mówcie, o co chodzi – mruknął Małota.

Wszyscy, oprócz jego żony, siedli na pufach. Małotowa zatrzymała się w progu, oparła o futrynę i założyła ręce na piersiach.

– O tego Knychalkę – powiedział Ignacy-Eryk.

– Tego właśnie się obawiałem... że nie będę mógł na tobie polegać...

– Polegać?! – Ignacy-Eryk poruszył się nerwowo. – Fabian! Co ty opowiadasz?!

Przecież już ci mówiłem...

– Dobrze, już dobrze! – Małota machnął ręką. – Powiedz ty mi lepiej, jak ona cię znalazła? Przecież pokój załatwiłem ci aż na Dożynkowej!

– Przecież już powiedziałem. Mieszka tam.

– Mieszka? – Małota z politowaniem spojrział na Wandę i zwrócił się do niej. – Od kiedy, he? A ta klitka na Wielkiej czyja jest, co? Nadal lata się za moim pisarzem, oj lata! – Pogroził jej palcem.

– Ależ skąd! – Wanda się oburzyła. – Naprawdę tam zamieszkałam i w dodatku przez zupełny przypadek.

– Co za podły rok! – Małota wywrócił oczami ku dawno niemalowanemu sufitowi. – Pech pecha goni! – Złowrogo łypnął na Wandę, kobietę o twarzy zdziwionego dziecka, którą najchętniej wygnałby ze swego mieszkania za góry, za lasy, gdzie raz a dobrze pożarłby ją głodny wilk, ale oczywiście tego nie zrobi, bo (niestety!) ma świadków!

– Dajcie spokój – wtrącił się Ignacy-Eryk. – Fabian, powiedz, proszę, Wandzie, kim jestem. Mnie za nic nie chce uwierzyć.

– Ale co ja mam jej powiedzieć?

– Nie udawaj, że nie wiesz. Powiedz, że jestem twoim byłym szwagrem!

Małota, widać to było aż nadto wyraźnie, grał na zwłokę.

– Co chcesz dzięki temu uzyskać?

– Ja? Co ja chcę uzyskać? – Ignacy-Eryk aż się uniosł z miejsca. – Lepiej ty mi powiedz, jaki ty masz interes w namawianiu mnie do podszywania się pod tego... tego głupiego pisarzyne!

– Na Boga, tylko nie głupiego! Nie wolno źle mówić o... – Maryla nie dokończyła i szybko się przeżegnała.

– Maryla, czemu się przeżegnałaś? – zdziwił się Ignacy, a może jednak Eryk? Wanda sama nie wiedziała już, z kim ma do czynienia.

Małota rąbnął pięścią w stół.

– Kobieto, idź natychmiast do kuchni i zajmij się garami. A ty – zwrócił się do Ignacego? Eryka? – Nie bądź taki dociekliwy. W klimakterium wkracza i... no wiesz... – Narysował na czole kółko.

– Nie pójde do żadnej kuchni, a to kółko widziałam! Widziałam! Później sobie pogadamy! – warknęła Maryla i zaczęła przytupywać nogą, co wyglądało na jakiś nerwowy tik. Z tym klimakterium coś na rzeczy być musi, pomyślała Wanda i straciła humor, bo nagle do niej dotarło, że i ją za kilka lat czekało wejście w ten stan. Czy również będzie się tak głupio zachowywać?

– Fabian, nie zmieniaj tematu. Powiedz Wandzie prawdę. Ja naprawdę chcę mieć święty spokój. Dopiero co rozwiodłem się z heterą, a ty usilnie chcesz mnie wkręcić w jakiś pasztet...

– Z heterą! – Maryla aż się zapowietrzyła. – Ty nie zapominaj, że hetera, o której mówisz, to moja siostra!

– Maryla. Kuchnia! – stanowczo rzucił Fabian.

– A żebyś wiedział, że wyjde. Melisy sobie zaparzę! – powiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca.

Wanda również chętnie by się tej melisy napiła, bo i jej udzieliła się nerwowa atmosfera, lecz nie śmiała rozwścieczonej Małotowej o nic prosić.

– Powiedz mu – syknęła. – Powiedz, bo...

– Kochanie, kuchnia – sarkastycznie powtórzył Fabian.

– Powiedz mu! Bo nie skończę pisać!

Małota popatrzył na żonę z niedowierzaniem. Tak zdecydowanej postawy nigdy by się po niej nie spodziewał.

– Marylka...

– Mów, bo skasuję, co napisałam!

Wydawca westchnął, przymknął oczy, otworzył, a potem z uwagą, powoli obejrzał paznokcie u rąk i powiedział:

– Pani Wando... Tak ma pani na imię, prawda? Cóż... – Podrapał się po głowie. – Skoro oni tak naciskają, sam nie wiem dlaczego, ale skoro tak chcą...

– Fabian! – ostro rzuciła Maryla.

– Już mówię! Pani Wando, proszę raz na zawsze przyjąć do wiadomości, że to prawda, siedzący obok pani mężczyzna jest moim byłym szwagrem. To Eryk Morawiec, a nie Ignacy Knychalka. Podobieństwo między nimi rzeczywiście jest uderzające, ale Eryk i Ignacy to dwie zupełnie różne osoby. Prościej wyrazić się nie umiem...

Wanda nie do końca uwierzyła. Nie wiedziała, o co mu chodziło, o co im wszystkim chodziło, i z tego powodu miała w głowie wielki mętlik.

– Jeśli to prawda, to w takim razie gdzie jest prawdziwy Ignacy? – zapytała.

– Pojechał w tę swoją siną dal. – Małota odpowiedział szybko, a Maryla przytaknęła ruchem głowy.

Wanda popatrzyła na nich z powątpiewaniem. A co, jeśli ją okłamywali? Bo przecież tak być mogło. Może tylko chcieli się jej pozbyć, żeby pisarz mógł w spokoju tworzyć? I dlatego Małota wysiedlił Knychalkę aż na Dożynkową, gdzie, jak obaj sądzili, wreszcie będzie mieć święty spokój.

– Wierzy mi pani?
– Czy ja wiem...
– Chwila! Zdjęcie! Pokażę pani zdjęcie! Albo nie jedno, ale kilka zdjęć! Maryla – zwrócił się do żony. – Przynieś jakieś!

– Czyje?
– Twojej siostry i Eryka. Masz?
– Pewnie!
– To leć na jednej nodze i kilka przynieś!

Maryla ruszyła do drugiego pokoju i wróciła po całkiem długiej chwili, podczas której Małota zdążył poczęstować kłopotliwych gości pepsi z lodem.

– Nie mogłam znaleźć. Proszę. – Podała Wandzie plik fotografii. Wanda przyjęła je z zaciekawieniem. Każda fotka przedstawiała po kilka osób, z których jedną zawsze był Ignacy-Eryk. Wśród nich znajdowały się również trzy zdjęcia ślubne, na których młoda, bardzo do Maryli podobna kobieta w białej sukni stała w objęciach uśmiechającego się od ucha do ucha elegancko ubranego brodacza. Ignacego-Eryka oczywiście. Zdjęcie musiało zostać zrobione jakieś dziesięć lat wcześniej, co Wanda poznała po uwiecznionych strojach oddających ducha ówczesnej mody.

– No i co? Sama pani widzi, jaka jest prawda. Czy prawdziwy tajemniczy Ignacy dałby sobie zrobić aż tyle zdjęć?

Wanda się poddała. Musiała przyznać, że faktycznie mężczyzna, o którego toczył się spór, nie był słynnym Ignacym Knychalką, tylko wybitnie do niego podobnym, ale pospolitym byłym szwagrem żony wydawcy. Jaka szkoda, jaki żal! Wanda wstała. Żegnaj, wielki wywiadzie! Żegnaj, praco w gazecie! Żegnaj, recenzjo książki! I witaj, zemsto Stefy – bo teraz Wanda miała pewność, że pisarka ją obsmaruje. Z tego wszystkiego odeszła jej chęć zaproponowania wywiadu Fabianowi. Wredny był, więc w gazecie Murka nie zaistnieje. A przynajmniej nie za sprawą Wandy. Kara jest karą.

– Ma pan rację.
– Oczywiście, że mam. A prawdziwy Ignacy podróżuje w jakimś pociągu – radośnie uzupełnił Małota.

– Tak, podróżuje... – pośpennie przytaknęła Maryla i pozieleniała na twarzy. Eryk również podniósł się z miejsca.

– Poczekaj. Poczekajcie! Usiądźcie jeszcze! Mam jeszcze jedną sprawę – powiedział Małota.

Eryk posłusznie opadł na puf. Po chwili, acz niechętnie przysiadła również Wanda. Marylę nagle opadły złe przeczucia:

– Czego jeszcze od nich chcesz? Co znowu wymyśliłeś?!
– Wyjdź, kobieto, przed blok, jeśli w domu nerwy ci puszczają – rzucił Małota.
– Nigdzie nie wyjdę, z twoimi pomysłami muszę być na bieżąco!

Maryla podeszła bliżej, ostentacyjnie usiadła na wolnym pufie, do szklanki męża naląła pepsi i opróżniła ją paroma łykami.

– Mów, Fabian, mów, ciekawa jestem! – ponagliła.
– Nie do ciebie będzie sprawa, więc się nie rozsiadaj. Eryczku – Małota zwrócił się do byłego szwagra swojej żony – to, że nie jesteś Ignacym Knychalką, dla wszystkich w tym pokoju jest już jasne. Jasne jest, prawda? – zwrócił się do Wandy.

– Niestety, tak...

– Więc nie widzę przeszkód, aby ta informacja pozostała tylko i wyłącznie tutaj, w tych czterech ścianach.

- Nie ma sprawy – powiedział ostrożnie Eryk.
- Pozwolisz, że wrócę do kwestii spotkania autorskiego...

Zaskoczona Wanda spojrzała na wydawcę. Do czego on dążył? Jakie spotkanie? Przecież Ignacy był niedostępny, więc nie było o czym mówić.

- Nawet o tym nie myśl! – Eryk poruszył się niespokojnie.
- Właśnie! Nie waż się o tym myśleć! – krzyknęła Małotowa.
- Poczekaj, nie gorączkuj się. A ty milcz, kobieto!
- Czy ty nie możesz dać sobie i wszystkim wokół spokoju z tym Knychalką?!

Najpierw... – Małotowa przerwała, rzuciła na męża przerażone spojrzenie i kontynuowała, ale Wanda odniosła wrażenie, że zбочyła z tematu i jej wypowiedź poszła zupełnie innym torem. – ...potem problem z tą babą i jej wywiadem, a teraz znów coś kombinujesz! Po co w tym grzebać?! Po co?!

– Właśnie, Fabian. Po co? – zapytał Eryk. – Przecież na ten temat już mówiliśmy i znasz moje zdanie. Nie zgadzam się!

– Chwila, chwila. A pomyślałeś, ile osoba tak znana jak Ignacy może z tego typu spotkania wyciągnąć? Taki jesteś bogaty, że lekką ręką puszczasz szansę?

– Na życie mi wystarczy, a w to, ile mógłbym na tym zarobić, nie mam zamiaru wnikać.

Małota był jednak zbyt rozgorączkowany, by wziąć pod rozwagę słowa Eryka. Nie miał nawet zamiaru zastanawiać się nad konsekwencjami oszustwa, najważniejsze dla niego było, aby dopiąć wyznaczonego celu.

– Eryk, na pewno nie chcesz wziąć w tym udziału? Wiesz, *pecunia non olet*... – kusił Fabian.

– Nie ma mowy!

– Dobrze, Eryk, mówisz. – Małotowa zgodziła się z nim chyba po raz pierwszy w życiu. Spojrzał na nią zaskoczony i uśmiechnął się niepewnie. Może aż taka głupia, za jaką ją brał do tej pory, nie była?

– Sprawę uznaję za zamkniętą. – Eryk wstał i na znak, że to już naprawdę koniec rozmowy, szarmanckim gestem podał dłoń Wandzie i pomógł jej się podnieść z niewygodnego siedzenia.

– Żebyś ty wiedział, ile kasy nam przejdzie koło nosa! – na koniec rzucił wydawca.



W Poznaniu, na moście Teatralnym, Wandę i Eryka spotkała niemiła niespodzianka. Przebiegająca do tej pory płynnie i w miłej atmosferze podróż tramwajem przerwana została przez nagłą awarię jadącej przed nimi dziesiątki. Wyszli na ulicę i bezradnie się rozejrzeli.

– Co teraz? – zapytała Wanda.

– Może spacerek?

Eryk mógł zaproponować przesiadkę do autobusu, ale była sobota i raczej nieprędko jakiś by nadjechał, a spacer był najprostszym sposobem dotarcia na Dożynkową. Ponadto jakoś nie miał ochoty jeszcze się z Wandą rozstawać, w jej towarzystwie było mu bardzo dobrze, a pomysł wspólnego spaceru gwarantował, że to rozstanie jeszcze przez jakiś czas nie nastąpi.

– Czemu nie... – odrzekła Wanda i dyskretnie poprawiła włosy.



Dla Stefy Lurki korzystanie z dostępnych ogółowi społeczeństwa środków komunikacji miejskiej zawsze było uwłaczające. Obawiała się też, że mogłaby zostać rozpoznana przez którąś ze swoich czytelniczek, a na to już pozwolić sobie nie mogła, ponieważ zburzyłyby to

pieczołowicie wypracowany wizerunek kobiety luksusowej, niedostępnej oraz z zasady niebywającej w miejscach trącących pospolitością. Teraz, przymuszona przez Iwonę, jak mogła, chowała się za jej plecami, ale żaden z pasażerów w trakcie trwającej dobrych kilkanaście minut podróży tramwajem numer dziesięć nie zwrócił na nią uwagi. Ani na nią, ani na Iwonę. W końcu, zaniepokojona, szepnęła przyjaciółce do ucha:

– Co z nimi? Nikt się mną nie interesuje! Nikt mnie nie rozpoznaje ani autografu nie żąda!

Iwona rozejrzała się po tramwaju i powiedziała:

– Nie przejmuj się, na literaturze się nie znają.

– Może masz rację. – Z pogardą powiodła wzrokiem po pasażerach. – Nikt z nich książki w rękę nie ma, a jazda tramwajem to przecież wspaniała okazja do czytania! A ci tylko siedzą i bezmyślnie w okno się gapią albo przez telefon gadają. Co za ludzie! – Nagle ścisnęła Iwonę za ramię. – Zobacz! Tamci dwaj! – Skinęła głową na tył pojazdu. – Za tobą, tylko się nie oglądaj! Jak dziwnie patrzą...

– Więc się ciesz, jednak ktoś cię rozpoznał.

– Ale oni patrzą na siebie! I to tak, jakby do gardeł mieli sobie skoczyć.

Iwona nie wytrzymała i obejrzała się dyskretnie. Rzeczywiście, na samym końcu wagonu siedziało dwóch niechlujnie ubranych mężczyzn. Jeden z nich trzymał w ręce puszkę lecha, a drugi wielką torbę wypchaną brudnymi szmatami. Ten od piwa na głowie miał siwe, smętnie wiszące kosmyki, duży nos i długą brodę, a ten od torby raził w oczy wielką łysiną okoloną resztkami nieokreślonego koloru włosów. Obaj odziani byli na cebulkę, co nie dziwiło zimą, ale w maju, przy cieplej aurze, skłaniało do co najmniej głębszego zastanowienia.

– Nie patrz na nich – powiedziała Iwona.

– Przecież to ja ci kazałam na nich patrzeć. Która godzina?

Iwona wyjęła z kieszeni komórkę.

– Dwadzieścia po trzeciej. Myślisz, że to już?...

– Nie wiem.

Godzina była odpowiednio późna i jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, znany poznański ginekolog, mąż równie znanej pisarki Stefanii Lurki, nieformalnie związany z pewną młodą i śliczną Julitką, żyć już nie powinien. Mordercza ręka nacięła kabel kosiarki, które to urządzenie miało porazić tego, kto podejmie próbę skoszenia trawnika, czyli jego – Bartosza Lurkę. Pytanie, czy wszystko poszło zgodnie z planem, czy też nie, bardzo trapiło jego żonę oraz jej przyjaciółkę. Wracaly właśnie z Cytadeli, gdzie udały się po w pośpiechu zjedzonym śniadaniu. Tak się spieszyły, że Stefa zapomniała zabrać ze sobą ulubiony złoty szwajcarski zegarek, pamiątkę przywiezioną z podróży poślubnej. Tego pośpiechu mogłyby uniknąć, gdyby poprzedniego wieczoru nie wypily trzech butelek wina. Stefa Lurka generalnie alkoholu nie nadużywała, ale czas był szczególny, należało uspokoić Iwonę, która po nacięciu kabla kosiarki wpadła w przesadną i niepotrzebną histerię, więc dla towarzystwa sobie pofolgowała. Najpierw nalala Iwone kieliszek wódki, a gdy to nie pomogło, drugi. Po kilkunastu minutach Iwona wreszcie się wyciszyła, przestała drzeć jak osika na wietrze, więc była w stanie utrzymać w ręce kosztowną, ręcznie zdobioną lampkę, do której Lurka nalala jej wina. Tym razem sobie również nalala. A było co świętować – zrobiły pierwszy krok ku wielkiemu sukcesowi! Zabójcze rozmyślenia tak bardzo je zajęły, że zupełnie straciły rachubę czasu i z przyjemnością wychylały lampkę za lampką, z każdym kolejnym łykiem odkrywając w trunku nową, nieznaną do tej pory głębię smaku. Po pierwszej butelce Iwona się rozkleiła.

– A ty czemu ryczysz? – Stefa szczelniej przykryła się kocem. Maj czy nie maj, w willi zawsze było chłodno. Lurka czasem odnosiła wrażenie, że w zimie w domu bywało nawet cieplej

niż latem.

– Przypomniał mi się wpis... ten na blogu Dziuni W. ... – I uderzyła w płacz. Znow przesadny i histeryczny.

Stefa patrzyła na nią z przyjemnością. Och, jak uwielbiała cichcem poniewierać Iwonę! Jednak w wigilię śmierci swego męża wolała skoncentrować uwagę na liczeniu zysków z pozbycia się tego chama z dołeczkami w policzkach, niż tracić czas na pocieszanie głupiej grafomanki. Przez krótką chwilę żałowała, że z nowym wpisem nie powstrzymała się choćby do pogrzebu obrzydłego małżonka, ale w końcu stwierdziła, że co jak co, ale ponowne strzyknięcie jadem na przyjaciółkę świetnie jej zrobiło: zrelaksowało i przywróciło jasność myślenia, więc przestała to sobie wyrzucać.

Stefa czasem się zastanawiała, co by zrobiła, gdyby Iwona odkryła, kto naprawdę prowadzi bloga Dziuni W., i bardzo się martwiła, jak koszmarne stałoby się jej życie – mdłe, nijakie oraz pozbawione ekstremalnych emocji. Okropność! Natychmiast odgoniła tę myśl. Nigdy się nie przyzna i za nic nie da się przyłapać!

– Przestań ryczeć, zaraz coś jej zrobimy.

– Co i komu? – Iwona niezdarnie otarła mokre od łez policzki.

– Tej blogerce. Dziuni. Włączę laptop i tak jej nawrzucamy, że do rana oka nie zmruży.

– O ile od razu to przeczyta. – Iwone niemal natychmiast obeschły oczy.

Stefa włączyła swój nowutki laptop firmy Apple, otworzyła stronę z blogiem i obie, sącząc wino oraz chichocząc jak nastolatki, niemal do rana wpisywały pod postami znienawidzonej przez Iwonę Dziuni W. obrażające ją komentarze. Zmęczenie poczuły dopiero, gdy zaczęło świtać. Zasnęły pijane i szczęśliwe, każda z innego powodu. Obudziły się około południa. Najpierw Iwona, ścierpnięta leżeniem na podłodze między stołem a sofą, na której spoczywała Lurka, otworzyła jedno oko i zerknęła na wytworny rodowy zegar. Boże jedyny! Szesnasta pięć!

– Bartosz! – Zerwała się z wrzaskiem. – Bartosz nie żyje!

Stefa poderwała się błyskawicznie.

– Co ty mówisz?!

– Godzina! Po czwartej! – Z paniką w oczach wskazała palcem majestatyczny masyw zegara. – Ogród! Trup! Kosiarka! Prąd! I do tego mój kabelek! – wrzeszczała piskliwie, szukając pod stołem drugiego buta.

– Uspokój się! Zegar stanął dwa dni temu!

Iwona gwałtownie się zatrzymała.

– Nie mogłaś go nakręcić? Mało zawału nie dostałam! – rzuciła z pretensją.

– Kiedy już będzie mój, będę tego pilnować. A teraz sprawdź, która naprawdę jest ta godzina.

Iwona szybko zerknęła na komórkę.

– Dziesięć po jedenastej! – wrzasnęła dziko i znow zaczęła się miotać w poszukiwaniu swego buta.

Mimo że jedenasta dziesięć nie mogła być dla nich tak brzemienna w konsekwencje, jak mogłaby być szesnasta pięć, i tak musiały się spieszyć. Bartosz miał przyjechać w południe, a to dla nich było niemal lada chwila, jeżeli wziąć pod uwagę, że dopiero wstały z łóżek. Ścisłej: Lurka z sofy, a Cieciora z podłogi. Na stojąco zjadły szybkie śniadanie, wypiły kawę i z braku pomysłu na spędzenie dnia – szybko podążyły w kierunku Cytadeli. Stefa nie mogła odżalować, że akurat teraz jej renault jest w warsztacie, a samochód tak bardzo by jej się przydał! Mogłyby poruszać się po mieście jak ludzie na poziomie, a nie zdawać się na własne nogi oraz okropną miejską komunikację.

Na Cytadeli zrobiły kilka okrążeń, najchętniej przysiadłyby na jakiejś ławce, ale wszystkie wyglądały na wilgotne:

– Stefania, a jeśli w ogrodzie trawa jeszcze nie przeschła?

– Tym lepiej dla nas. Na pewno go zdrowo trzepnie.

– A jeśli stwierdzi, że jest zbyt mokra i w ogóle do koszenia się nie weźmie? Co wtedy?

Z nożem na pewno na niego się nie rzucę, nawet o tym nie marzę!

– Uspokój się – syknęła Lurka i rozejrzała się, czy ktoś ich przypadkiem nie podsłuchuje.

– Nie będzie żadnego noża! Zobaczysz, że będzie kosić. Zawsze gdy był zestresowany, grzebał w ogrodzie, a teraz jest wyjątkowo wyprowadzony z równowagi.

– Z jakiego powodu?

– Iwona, zastanów się! – Lurka uśmiechnęła się z pobłażaniem. – Przecież mnie rzucił, chce rozwodu, takie zdarzenia generują stres wielki jak erupcja Wezuwiusza!

– Naprawdę? A ja myślałam, że się z tego cieszy.

Lurka popatrzyła na nią ostro. Przy najbliższej nadarzającej się okazji tak ją na blogu Dziuni W. obsmaruje, że nie na kozetce u psychiatry, lecz w szpitalu specjalnej troski wyląduje.

– Nie mówmy już na ten temat, dobrze? I chodźmy gdzieś na kawę.

Wizyty w kawiarence na Cytadeli pod uwagę nie wzięły, ponieważ gwar, który powodowały kręcące się przy rodzicach dzieci, był dla nich nie do zniesienia. Zgodnie stwierdziły, że wybiorą się do centrum i wstąpią do Wuzetki, a później, w zależności od tego, ile będą miały czasu, zajrzą na Stary Rynek.

– Podjedziemy tramwajem – oznajmiła Iwona.

– Ależ! Przecież z Cytadeli na Stary Rynek jest żabi skok, po co podjeżdżać? – Stefa wzdrygnęła się na myśl o wsiadaniu do tramwaju lub autobusu. Ponadto pogoda była tak piękna, że grzechem wydawało się przedłożenie wdychania tramwajowych oparów nad wspaniałymi spacerami, który mogły urządzić.

– Ale ja lubię jeździć tramwajami. W tak ważny dla mnie dzień chyba nie odmówisz mi odrobiny przyjemności, co?

Iwona zrobiła urażoną minę i zerknęła na Stefę. Stefa myślała. Iwona dobrze знаła ten czuły punkt przyjaciółki i dlatego, na przekór jej awersji, upierała się właśnie przy przejeździe. Znały się od dwudziestu lat i od samego początku znajomości Iwona była tą gorszą, tą, na której tle Stefa jaśniała swą wielką urodą i pisarskim talentem. Iwona nigdy niczego jej nie zazdrościła, zawsze pokornie znosiła tkwienie w wyznaczonej jej roli, bo nie wierzyła, że kiedykolwiek i w czymkolwiek mogłaby Stefę przewyższyć. Bezkrytycznie stosowała się do jej rad, zachwycała wszystkim, co Stefa powiedziała, zrobiła czy kupiła. W głębi duszy Iwona potrzebowała w swym nudnym życiu obecności mistrzyni, która będzie wskazywać jej drogę, a Stefa bardzo chętnie tej roli się podjęła. Ale z biegiem lat Iwona z niejakim przerażeniem zaobserwowała u siebie początkowo nikłą, a później coraz silniejszą skłonność do przekory i złośliwości. Fakt ten szalenie ją przerażał, ale coraz częściej nad przerażeniem górowało uczucie przyjemności czerpane z możliwości sprzeciwienia się Lurce. Iwona nie potrafiła sobie wytłumaczyć, skąd się u niej wzięła nowa, podła cecha charakteru, ale walczyć z nią nie zamierzała. Może jej rozwój podąży w jakimś ciekawym kierunku?

– Jeśli tak bardzo chcesz coś podjechać, może weźmy taksówkę?

– Taksówkę? Nie żal ci pieniędzy? Mam PEKĘ i postawię ci bilet. O, wiem! Zamiast na kawę, jedźmy do Avenidy! Ponoć są tam jakieś promocje. Może coś upolujemy? – Cieciorę perspektywa okazjnych zakupów podwójnie podekscytowała, bo Stefa centrów handlowych również nie cierpiała. Iwona już w głębi ducha zachichotała na myśl o zaserwowaniu przyjaciółce wycieczki w znienawidzone miejsce równie znienawidzonym środkiem lokomocji.

– Promocje? A cóż godnego uwagi może być w sieciówkach? – Otaksowała strój Iwony. Cieciorka na swój sposób starała się wyglądać modnie, bo wiadomo – czytelniczki są jak zajęce, wyskakują z najbardziej niespodziewanego miejsca – ale jak na jej, Lurki, gust, przyjaciółka nosiła się zbyt pretensjonalnie.

– Naprawdę musisz tam jechać? I do tego wszystkiego ten hałas, rwetes, nagłe ostre zapachy... – Lurka dusiła się w takich miejscach, dostawała mdłości i mroczków przed oczami, o migrenowym bólu głowy nie wspominając.

– Bardzo! Lećmy na dziesiątkę. Dowiezie nas najbliżej!

– Ale Iwona...

– Nie będę jechać żadną taksówką! Lubię masowy transport, bo mogę obserwować ludzi, a później wykorzystywać w książkach ich wygląd i w ogóle. – Iwona nie sprecyzowała, co się kryło pod wyrażeniem *w ogóle*. – Poza tym wszyscy taksówkarze są nudni, zawsze zagadują, a ja tego nie cierpię. Tu niedaleko jest przystanek. Chodźmy już!

– Ale Iwona...

– Tylko mi nie odmawiaj! Za to, co dla ciebie zrobiłam, należy mi się chwila relaksu.

– Nie zapominaj, że ja dla ciebie również coś zrobiłam!

– Ale moja sprawa jest świeższa, bo dzisiejsza. Na myśl, czy on żyje, czy nie, słabo mi się robi.

– Cicho bądź!

– Jedźmy więc do Avenidy!

Lurka nie miała innego wyjścia, niż ulec naciskom Iwony, bo jej zachowanie znów stawało się przesadnie histeryczne, a Stefa nie chciała, aby Cieciorka o odbywającym się w tej chwili morderstwie rozdarła się na całą Cytadelę. Dyskrecja w takich sprawach była wielce wskazana, Stefa zgodziła się więc na ten obrzydliwy tramwaj i nieszczęsną Avenidę. Przez chwilę wzięła pod uwagę możliwość rozdzielenia się z Iwoną i pozostanie na Cytadeli – przyjaciółka mogłaby sama jechać na zakupy, a ona zasiadłaby na ocienionej, choćby i nawet wilgotnej, ławce i poczekała, aż Iwona wróci, ale odrzuciła tę myśl. Tego szczególnego dnia sama być nie chciała, musiała więc się zniżyć do poziomu plebsu, aby Cieciorka odzyskała spokój, a ona zachowała jakiegokolwiek towarzystwo.

– Siadaj! – Iwona zajęła jedno z wielu wolnych siedzeń i wskazała Lurce miejsce naprzeciw.

– Postoję. Nigdy nie wiadomo, kto tu wcześniej siedział.

– Nie przesadzaj.

– Nie mam takiego zamiaru – powiedziała wyniośle i z obrzydzeniem chwyciła za poręcz, bo tramwaj, po wcześniejszej diabolicznie szybkiej jeździe, gwałtownie zahamował. Z bólem serca znosiła tę podróż wiodącą ją w jedno z miejsc, których wręcz nienawidziła. Och, że też nie miała swojego auta! Co za pech! Oby tylko na tym się skończyło, a nie rozpoczęło jakiejś feralnej serii. Nie żeby była przesadna, ale cóż za niefortunny zbieg okoliczności, że akurat dziś nie mogła skorzystać z tak do tej pory niezawodnego auta i – jakby tego było mało – zapomniała z domu ulubionego zegarka. A w dodatku bardzo chciało jej się pić. Miała wrażenie, że kac morderca wypalał jej dziury w gardle, ale, o nie, za nic w świecie nie okaże słabości i Iwonie do tego się nie przyzna!

Iwona spod oka przyglądała się Stefie. Jak ona to robiła, że zawsze tak świetnie wyglądała? Sama chyba źle by się czuła w takich strojach, ale musiała przyznać, że Lurka w stylizacjach własnego pomysłu wyglądała wytwornie, niedostępnie i wyniośle niczym pełnokrwista hrabianka. I kiedy ona zdążyła pomalować oczy? Do tego tak precyzyjnie. Przecież obie tak się spieszyły! Jak nic hrabianka pełną gębą! Ale co tam Stefa, w tej chwili najważniejszy

był kac. Trapił Iwonę od samego rana niczym bezwzględny tasiemiec, zżerał jej wnętrze i szeptał do trąbki Eustachiusza:

– Wody... wody...

Ale nie! Za żadne skarby nie przyzna się do tego Stefie! W Avenidzie, pod pretekstem skorzystania z toalety, zniknie w łazience i będzie pić, pić, pić i pić tę boską, niedocenianą przez zwolenników wszelkich wód butelkowanych, kranówkę!

– Siadaj, przed nami jeszcze spory kawałek – ponownie zachęciła Stefę.

Lurka pokręciła głową. Wyjeżdżały spod wiaduktu, gdy wtem coś przykuło jej uwagę.

– Czyżby tamten tramwaj miał wypadek? – mruknęła pod nosem.

Iwona spojrzała w kierunku, gdzie patrzyła Stefa.

– Niekoniecznie, mógł się popsuć.

Jadąca z Dębca dziesiątka po zatrzymaniu się na moście Teatralnym nie mogła ruszyć z miejsca i pasażerowie już niemal zupełnie opuścili pojazd. Ze stojącej za nią dziewiątki ludzie również wysypywali się na ulicę. Na szczęście była sobota, ruch niewielki, obyło się więc bez większego korka oraz nerwowych trąbień zablokowanych samochodów. Tramwaj zwolnił.

– Dobrze, że nas to nie spotkało. Na spacer nie mam dziś siły.

– A na łazenie po sklepie masz? – Stefa nie mogła sobie odmówić rzucenia kąśliwej uwagi. Oczekiwała nerwowej odpowiedzi przyjaciółki, ale ona niemal przykleiła nos do szyby i wnikliwie się czemuś przyglądała. Co było ciekawego w tych zrobionych w balona przez komunikację miejską ludziach? Stefa podążyła za jej wzrokiem.

– Stefka...

Stefa nie zwróciła Iwonie uwagi za to, jak ją nazwała, ale odnotowała sobie, że za tę Stefkę musi jej kiedyś zmyć głowę. Ile razy miała powtarzać, żeby się do niej zwracać Stefania bądź Stefa, a nie Stefka?! Stefka może sobie wołać na wiejską, stojącą pod płotem dziewczuchę, a nie na tak wybitną osobę jak ona!

– Czy to jest... – Iwona niepewnie przytknęła do szyby palec wskazujący. Właściwie nie musiała tego robić, bo Lurka już dostrzegła, w co, a raczej w kogo, tak intensywnie wpatrywała się Cieciorka. Środkiem ulicy, za niewielką grupką ludzi, szybkim krokiem w towarzystwie długowłosej kobiety podążał niewysoki brodaty mężczyzna.

– Knychałka we własnej osobie... – Iwona nie wierzyła własnym oczom. Przypomniła jej się spotkany na Cytadeli robotnik. Stefa nie chciała o nim rozmawiać i od razu zbyła ją, zakładając, że doszło do pomyłki. Czy pracownik spotkany na Cytadeli i ten tu idący Ignacy Knychałka to była jedna i ta sama osoba?

– Knychałka... – powtórzyła Iwona.

– Tak... a przy nim ta pisarska nędza! – zgrzytnęła zębami Stefa.

– Wanda jej chyba było, nie?

– Tak, tak.

– Zobacz, jednak go dopadła. I jak ładnie sobie idą!

Mężczyzna spojrzał w prawo i widząc ruszające auto, powiedział coś do swej towarzyszki, złapał ją za rękę i pobiegli w dół Fredry.

– Tak... ładnie... aż za bardzo jak na mój gust. – Brwi Stefy ułożyły się w gniewny grymas, tworząc na czole wzór wronich skrzydeł.



– Szybko! – rzucił Eryk, chwycił Wandę za rękę i zbiegli z ulicy. Zdążyli niemal w ostatniej chwili, bo jakiś frustrat zniecierpliwiony pętającymi się po jezdni ludźmi z piskiem opon ruszył z miejsca.

– Zwolnijmy trochę.

Wanda kondycji nadzwyczajnej nie miała, nie chciała więc się dłużej forsować, żeby Eryk nie dostrzegł zadyszki i spoconego czoła. Nie musi od razu wiedzieć, że zdecydowanie oparła się modzie na sportowy tryb życia. Och, nie żeby jej na tym zależało, żeby aż tak bardzo jej się spodobał, nie żeby jej się w ogóle spodobał, co to, to nie! Chociaż może trochę... Aż ją samą to zaskoczyło.

Koło Stajenki Pegaza Eryk spojrzął na mijany pub. Ocieniony drzewami ogródek piwny zachęcał do wstąpienia i wychylenia choćby małego piwka. Wanda podchwyciła spojrzenie mężczyzny. Dzień był piękny, oni aż tak bardzo się nie śpieszyli...

– Może wejdziemy? – zaproponował nieśmiało Eryk. Sam się nawet zdziwił, że przed zadaniem tego pytania odczuł coś w rodzaju tremy. On? W tym wieku i po takich przejściach?! Niesamowite!

– Wiesz, to całkiem dobry pomysł.

Najpierw miał ochotę przede wszystkim na piwo, owszem, ale teraz nie był pewien, czy tylko o to mu chodziło.

Weszli do pubu. Eryk kupił dwa duże piwa i zajęli miejsce w ogródku, na jednej z drewnianych ławek. Przez chwilę rozmawiali o pogodzie, o wiecznie trapiących Poznań remontach dróg, a potem zeszli na temat oczywisty – Ignacego Knyczałki.

– Ten mój szwagier na punkcie Knyczałki zupełnie oszalał. – Eryk westchnął. – Zawsze go hołubił, chuchał na niego, dmuchał i przy żadnym naszym spotkaniu nie omieszkął wspomnieć, co Knyczałka napisał, a on wkrótce wypuści na rynek. Tyle że kiedyś z Fabiana był spokojny człowiek, a ostatnio opanowało go istne szaleństwo! I nie tylko jego, bo i Maryla ledwo kupy się trzyma. Szepczą coś po kątach, kłóć się... Nie wiem, co się z nimi dzieje.

Wanda wzruszyła ramionami. Każdy miał jakieś zmartwienia, tyle że Małoty na pewno nikt nie wyrzuci z pracy, a ją zapewne tak, więc wcale go nie żałowała. Nie wiedziała, jaki miał problem, ale ona z pewnością miała większy.

– Jaki jest ten Knyczałka? Pewnie miałaś okazję nieraz go spotkać, co?

– Knyczałkę? Ależ skąd! Nigdy osobiście go nie poznałem, zawsze był w podróży. Miał przyjechać do Fabiana przed Warszawskimi Targami Książki, ale się nie zjawił, bo ponoć pociągi pomylił. Tak powiedział Fabian.

– Pomylił albo celowo nie przyjechał.

– Całkiem możliwe, dziwaczne stworzenie jakiegoś... W każdym razie podczas kilku dni spędzonych u Fabiana widziałem, że źle się między nim a Marylą dzieje. Fabian wieczorami już nie siadał ze mną przy drinku, tylko zamykali się z Marylą w pokoju i coś tam stukali na laptopie.

– Może pracowali nad tekstami Ignacego? Małotowa przecież zajmuje się redakcją i korektą.

– E, chyba nie. – Eryk pokręcił głową. – Wcześniej nieraz widywałem ich przy pracy, ale się nie zamykali i weseli przy tym byli.

– Może się zestarzelili? Albo pracy mają za dużo, a książki Ignacego nie schodzą tak dobrze jak kiedyś?

Eryk pokręcił głową.

– Nie, o tym pewnie coś by powiedzieli. A postarzyć tak szybko też się nie postarzelili, bo jeszcze w marcu byli zupełnie innymi ludźmi.

– Czyli dwa miesiące temu coś się zmieniło...

– Właśnie. I skąd Fabianowi przyszedł do głowy ten niedorzeczny pomysł, aby wkręcić mnie w jakieś spotkanie autorskie? Przecież taka nieuczciwość jest nie do pojęcia! Ja miałbym podszycić się pod kogoś innego?! Do tego wszystkiego Fabian chciał się podpierać autorytetem

jakichś dwóch pisarek. A co mnie one obchodzą?!

Eryk gwałtownym ruchem podniósł do ust piwo i upił spory łyk.

– Jeśli tak bardzo jesteś uczciwy, dlaczego dałeś mi autograf jako Knychalka? Nie mogłeś od razu Małocie się sprzeciwić?

– Och... zaskoczyłaś nas wszystkich... A poza tym mieszkałem wtedy u szwagra, wiesz, byłem na jego łasce – tłumaczył się gęsto. – Zupełnie się nad tym nie zastanowiłem.

– Ty się nie zastanowiłeś, a ja twój autograf, jako Knychalki oczywiście, dałam swojemu szefowi. Dziękuję! Żebyś przynajmniej pod blokiem postarał się wyprowadzić mnie z błędu, ale nie, wziąłeś mój maszynopis i dałeś mi nadzieję!

– Nie powinienem był brać tego od ciebie – mruknął Eryk. – Ale wiesz, ja tak bardzo nie lubię, gdy kobieta płacze...

Przerwał na chwilę i przeczesał ręką włosy. Było mu wstyd.

– Ale to przez Fabiana! To on kazał mi cię zwodzić i nie wyprowadzać z błędu, że jestem tym waszym Knychalką.

Odnosił wrażenie, że oczy Wandy, gdyby mogły, w tej chwili cisnęłyby w niego gromy.

– Było, minęło – mruknęła. – Ale w takim razie nie powinieneś się oburzać, że Małota potem naciskał, abyś wziął udział w spotkaniu autorskim. Przecież skoro zgodziłeś się udawać przed jedną osobą, to dlaczego nie miałbyś poudawać przed szerszą publiką?

Eryk się zmieszał. Kobieta miała rację i nie bała się wytknąć błędu, co przyjemne nie było. Należało mu się. Podrapał się za uchem.

– Wiesz... mieszkałem u niego i nie chciałem być niewdzięczny – powtórzył. – Pomógł mi, przygarniając pod swój dach, więc się zgodziłem wziąć udział w komedii. Ale na krótko i naprawdę tego żałuję! – dodał żywo i bacznie wyczekiwał jej reakcji, ale Wanda twarz miała nieodgadnioną.

– Ja nigdy bym się pod nikogo nie podszyła. Nawet na pięć minut – skwitowała zimno, a Eryk poczuł się głupio jak nigdy dotąd. – Lurka i Cieciorka też powinny się dowiedzieć, że w tej sytuacji zorganizowanie spotkania jest po prostu niemożliwe – mówiła dalej.

Pisarki powinny też wiedzieć o istnieniu sobowtóra słynnego Knychalki, choćby na wypadek przypadkowego spotkania z Erykiem. W końcu chciał świętego spokoju, a tylko definitywne wyjaśnienie sprawy mogło mu go zapewnić. Ponadto Wanda liczyła na to, że wobec takiego rozwoju wypadków Lurka odstąpi od zemsty.

– Ale z nimi tak łatwo nie pójdzie – dodała. – Na pewno nie uwierzą i zażądadają dowodów. Zresztą wcale mnie to nie zdziwi, jesteś do niego bardzo podobny.

– Ja chętnie posłużę za dowód. Przedstawisz nas sobie, porozmawiamy... I mogę się z nimi spotkać nawet dzisiaj – powiedział Eryk.

– Mam nadzieję, że je przekonasz... Zapytam Stefę, czy znajdzie trochę czasu.

Wanda wybrała numer pisarki i przez dłuższą chwilę wsłuchiwała się w dochodzący sygnał, ale Lurka nie odbierała.

– Zadzwoń do Iwony.

Z Cieciorką również nie udało jej się połączyć.

– Gdzie one mieszkają? – zapytał Eryk. Nie był zwolennikiem niezapowiedzianych wizyt, ale wybranie się w tej chwili do którejś z pisarek gwarantowało mu dłuższe przebywanie w towarzystwie Wandy. Och nie, przecież wcale aż tak mu się nie spodobała. Tłumaczył sobie, że wolne popołudnie będzie o wiele przyjemniejsze, gdy spędzi je z osobą sporo od babci Jadzi młodszą.

– Iwona mieszka gdzieś na Wildzie, ale nie znam jej dokładnego adresu. U Stefy byłam, mieszka przy alei Wielkopolskiej.

– Więc idźmy do Stefy.



Bycie z zamiłowania i wykształcenia ginekologiem nie wykluczało bycia zagorzałym pasjonatem ogrodów. Bartosz Lurka wybitnie cenił wszelką zielen, a już w szczególności własny ogród, przy czym rośliny darzył tak samo wielką miłością, jak jego żona darzyła je nienawiścią. W niechęci Stefanii Lurki do ogrodnictwa był jednak niewielki wyłom – w głębi serca żywiła do męża cień wdzięczności, że dbał o te wszystkie chaszczki i badyle, gdyż prezentowały się całkiem ładnie, a ona miała wyjątkowo silnie rozwinięty zmysł estetyczny. Uwielbiała wspaniale mieszkać, otaczać się pięknymi bibelotami oraz przyodziewać kosztowne, wyszukane stroje – jednym słowem dbać o odpowiednie, godne znanej pisarki tło. Drobnym szczegółem było to, że na rdzeń jej materialnych potrzeb oraz ich piękną otoczkę od lat w pocie czoła pracował jej mąż, Bartosz Lurka, hurtowo odbierając porody, na kopy robiąc cytologię i prowadząc ciążę oraz stawiając zawile, niejednokrotnie dla samego siebie niezrozumiałe diagnozy. Na szczęście w większości były trafne, dzięki czemu przez lata wyteżonej pracy zasłużył sobie na miano świetnego, godnego zaufania fachowca. Zarabiał więc dobrze, ba, nawet wysmienicie, ale co z tego, skoro żona powierzane środki nie wiadomo na co i kiedy wydawała. Gdy się zorientował, że Stefa albo trwoni zarobione przez niego w pocie czoła pieniądze, albo – co według niego było bardziej prawdopodobne – zasila własne tajemnicze konto, sam (oczywiście w tajemnicy) otworzył tajny rachunek bankowy, na który przelewał większe lub mniejsze kwoty, zamierzając za nie w swoim czasie poużywać życia. A za tę pazerność miał do Stefy wielki żal. Była nad wyraz płodną i poczytną pisarką, nie należała więc do szerokiego grona nędznie wynagradzanych wyrobników pióra. Co wobec tego robiła z pieniędzmi z honorariów oraz tymi, które jej przekazywał? Nie mogło być inaczej – środki z honorariów, które musiały być całkiem pokaźne, gdzieś odkładała.

Kątem oka spojrzął na siedzącą obok Julitkę. Była wierną, o dwadzieścia lat młodszą, kopia jego żony. Wyłowił ją z szerokiego grona zapatrzonych weń pacjentek, nie kierując się tym kryterium, a przynajmniej tak mu się wydawało, jednak lata spędzone u boku Stefy odbiły na nim swe piętno, czego wyrazem był fakt, że każda kolejna kochanka kubek w kubek podobna była do jego połowicy. Lecz tym razem podobieństwo łączące Julitkę ze Stefą było wprost porażające. Po pierwszej upojonej randce Bartosz popadł w zadumę nad swoim postępowaniem. Przed oczyma, niemal jak w ostatniej godzinie, przewinęły mu się twarze wszystkich kochanek. Może ten nowy związek był drogowskazem albo wręcz znakiem stopu, który nakazywał mu przystanąć, zrobić podsumowanie minionych lat i wreszcie podjąć decyzję? Starał się sobie przypomnieć, dlaczego właściwie nigdy nie zdecydowali się na posiadanie dzieci? Teraz tego powodu za nic sformułować nie umiał. A Julitka... och, jest taka młoda, śliczna, cicha oraz przede wszystkim – czego nie omieszkął potajemnie zbadać – biologicznie, a nie literacko, płodna! Im dłużej się z nią spotykał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że to właśnie ona jest Kobietą Jego Życia. Cenił ją za nieskomplikowany umysł oraz niechęć bądź niezdolność do podejmowania jakichkolwiek dyskusji oraz wszczynania awantur. Zdarzało się, że Bartosz, zapędziwszy się w swym monologu, oczekiwał od niej jakiejś porady, podsumowania, komentarza lub choćby inteligentnej riposty. Nic z tego. W odpowiedzi otrzymywał ciszę okraszoną spojrzeniem pięknych ciemnych oczu. Milkł wtedy i z zachwytem (po raz kolejny) zastanawiał się, czy te jej długie rzęsy są prawdziwe? Po czym zupełnie umykało mu z głowy, czego od tej pięknej istoty, nabytku, trofeum i nałożnicy przed chwilą oczekiwał.

Tak! Zdecydowanie tak! To Julitka jest osobą, na którą czekał całe życie, podczas gdy Stefa funkcjonowała u jego boku jako obiekt tymczasowy, za-pchajdziura, z którą przez

przypadek dzielił życie w oczekiwaniu, aż Julitka skończy podstawówkę, a następnie osiągnie pełnoletność. Studia? Po co jej studia? Wystarczy, że on je miał. Położył rękę na jej kolanie. Dziewczyna ochoczo podciągnęła spódniczkę.

– Możemy gdzieś skręcić, w krzaki jakieś albo co – zaproponowała. Och, jak on w niej to kochał. Spontaniczność! W lot odczytywała jego potrzeby i jeszcze szybciej była gotowa je zaspokajać.

– Później. – Tym razem, nie bez bólu, musiał jej odmówić, bo nie mieli zbyt dużo czasu. Cofnął rękę i położył ją na kierownicy. Jechali z małej wioski za Gnieznem, z której pochodziła jego kochanka. Denerwowało go, że po dwóch latach zażyłej znajomości jej nazwa wciąż umykała mu z pamięci. Pewne pocieszenie stanowił fakt, że wciąż bezbłędnie tam trafiał: za Gnieznem musiał trzymać się trasy E 261, następnie przejechać przez – o ile go pamięć nie myliła – Goślinowo, potem przez jakąś wioskę na Ł, następnie przez (kojarzącą mu się z modliszką) wieś na M i dopiero kolejna wioska, również na M i również kojarząca się z modliszką, była tą właściwą. Duma go rozpieszczała, że tak sprytnie poradził sobie z atakiem starości, która najwyraźniej przypuściła swój pierwszy szturm na jego wielce uczony mózg. W tajemnicy przed kochanką jakiś czas temu zaczął zażywać krople z miłorzębem japońskim. W niedalekiej przyszłości, gdyby nazwy wsi nadal nie udawało mu się zapamiętać, nie wykluczał zrobienia dokładniejszych badań. Może to był początek demencji?

– Że też ci się zachciało tę trawę kosić – westchnęła Julitka. Do tej pory nigdy nie ważyła się okazywać Bartoszowi dąsów, ale tym razem nagły wyjazd do Poznania był zupełnie nie po jej myśli. Tydzień temu zaplanowali wypad nad jezioro, gdzie mieli się poopalać, rozpalić grilla, a jej przede wszystkim zależało na zaprezentowaniu nowego stroju kąpielowego oraz mercedesa, którego Bartosz (bardzo na to liczyła) zaparkuje gdzieś na widoku.

– Julitko, nawet nie wiesz, jak ważny jest dla mnie ten ogród... – Zmarszczył czoło. To, że Stefa poinformowała go o transporcie drzewka z Puszczykowa oraz dodatkowo przypomniała o skoszeniu trawy, wytrąciło go z równowagi. Jej zachowanie wydało mu się podejrzane; kobieta tak jadowita nagle z wielką troską informuje go o dwóch niezmiernie ważnych dla niego sprawach. Która normalna jędza tak postępuje, która bezinteresownie odmówi sobie złośliwości oraz chęci szkodenia? Te słowa z pewnością nie wymknęły się Stefie przypadkiem, ale były dokładnie przemyślane. Jak na nią aż za dokładnie. Bo jak to możliwe, że osoba, która nienawidziła roślin, nagle zatroszczyła się o *gówniane żarcie dla krów*, jak zwykle nazywać jego w pocie czoła wypielęgnowany trawnik?

– Możesz jechać szybciej? – odezwała się Julitka.

Skinął głową i nie zwracając uwagi na ograniczenie prędkości, docisnął pedał gazu. Młoda, więc lubi poszaleć – doskonale rozumiał jej zamiłowanie do dynamicznej jazdy. Kiedyś, lata temu, też lubił szybką jazdę autem, ale teraz już go to nie bawiło, a ponadto bał się, że rozbije kosztowny samochód. Ale czego się nie robi dla ukochanej kobiety? Julitka... Och, jak on ją ubóstwiał! Spotkanie jej było niczym dar niebios, spłynięcie z firmamentu gwiazdki, która wpadła wprost w jego ręce, aby przyświecać kolejnym latom egzystencji i chronić przed szarością dnia powszedniego. Niebawem miał się przekonać, że uchroni go przed czymś ważniejszym.



Stefa Lurka oraz Iwona Cieciora zapewne długo jeszcze by tkwiły w osłupieniu wywołanym niespodziewanym widokiem Wandy oraz Ignacego Knychalki, ale ich uwagę zaprzętnęło inne zdarzenie.

– W ryj chcesz?! – rozległo się nagle z tyłu wagonu. Oczy wszystkich pasażerów

natychmiast powędrowały w stronę, z której dobiegła agresywna obietnica uszkodzenia czyjejś twarzoczaszki.

Mężczyzna od lecha nie trzymał już swego trunku w dłoni, puszka leżała na podłodze, a resztkę alkoholu wylewała się na zewnątrz. Nie czekając na odpowiedź, szybkim kopniakiem wytrącił koledze plastikową torbę, która pękła na pół i wraz ze szmatami wpadła do piwnej kałuży.

– Prac będziesz, mendo! – wrzasnął ten od szmat.

– A ja cię do sądu podam!

– Podaj, podaj! Powiem im wszystko, co o tobie wiem! Od razu cię zapuszczają!

Mężczyzna od piwa zerwał się z siedzenia, dwoma palcami chwycił się za nos, nasmarkał na leżące szmaty i doskoczył do kolegi:

– Ja cię podam, ale ty nic o mnie gadać nie będziesz, rozumiesz?!

– Najpierw będziesz mi musiał gębę zatkać!

– Niczego zatykać ci nie będę, bo się brzydzę. A w sądzie to ja wygram! Ludzi na świadków powołam! Ludzie! – wrzasnął na cały tramwaj. – Będziecie świadczyć, że menda w piwo mnie kopnęła?!

– Nikt dla ciebie świadczyć nie będzie. – Jego kompan zarechotał.

– Zakład, że będą?! O te dwie, co się tak gapią, na pewno przyjdą. Przyjdą miłe panie do sądu? – zwrócił się do Iwony i Stefy.

Pisarki popatrzyły na siebie z konsternacją. Jeszcze czego!

– Przyjdą czy nie?! – Mężczyzna zacisnął pięści i ruszył w ich kierunku, a wrażliwe pisarskie nosy odnotowały kwaśny odór przetrawionego alkoholu, niepranych ubrań oraz dawno niemytego ciała. Stefa z przestachem złapała dłoń Iwony i mocno ją ścisnęła. Iwone również sytuacja bardzo się nie spodobała, ale aż tak bardzo jak Stefa przerażona nie była. Cóż, Stefa pisze lepsze książki, więc jest wrażliwsza. Iwona zerwała się z miejsca i wykorzystując fakt, że tramwaj zatrzymał się na moście Dworcowym, szybko pociągnęła przyjaciółkę ku wyjściu. Na zewnątrz obejrzały się, czy nikt ich nie ściga. Ale nie, mężczyźni rzucili się ku sobie, a motorniczy właśnie ku nim zdążał.

– Mam dość! – Stefa tupnęła nogą. – Co za straszny dzień!

– Chodźmy do Avenidy, tam...

– Nie idę do żadnej Avenidy! Wracamy do domu! I to natychmiast!

– Nie jest zbyt wcześnie? – ostrożnie zapytała Iwona. W obawie przed tym, co mogą zastać, wołała odwlec powrót do willi przyjaciółki. Czy naprawdę musiała tak szybko oglądać urządzoną przez kosiarkę jatkę?! Jeśli Stefa chce, niech sama idzie, a ona w tym czasie poszwenduje się po sklepach, w Avenidzie oczywiście.

– Nie wiem. Będziemy wracać spacerem.

– Nie możesz ty sama...

– Nie! Nie mogę! Idziemy!

Przerażający grymas na twarzy Stefy przywołał Iwonę do porządku.

– Och... taki kawał drogi... Nie możemy czymś podjechać? Niechby była już ta taksówka...

– O nie, moja droga, tak się bawić nie będziemy! – Stefa ponownie złowrogo błysnęła oczami. – Nie chciałaś taksówki w tę stronę, więc i z powrotem nią nie pojedziesz.

– W takim razie może ty idź pieszo, ja pojedę tramwajem.

– Tramwajem? Mało ci wrażeń z ostatniego kursu?! Na bazie tego wydarzenia ze trzy książki napiszesz – zakończyła z błakającym się po twarzy krzywym uśmiechem.

– Nie znasz moich możliwości, cztery pyknę – nie wyczuwając złośliwego przytyku,

odpowiedziała Iwona. – A tramwajów dość nie mam. Może coś jeszcze się wydarzy? Więc co? Tramwajem?

– Nie. Nogami. I wracamy razem oczywiście. Pamiętaj, że w dniu śmierci twojej babci byłam ci opoką, więc ty bądź moją w dniu śmierci mego męża!

Iwona niechętnie przyznała jej rację (w duchu oczywiście). Stefa była jej opoką nie tylko w dniu morderstwa babci, ale co ważne, przechowała ją u siebie aż do pogrzebu staruszki oraz nawet kilka dni po. Nie, wobec tego, ile serca od niej otrzymała, nie mogła okazać się istotą bezduszną i niewdzięczną. Powiedziała więc to, co powiedzieć wypadało, ale zrobiła to bez cienia entuzjazmu:

– Chodźmy...



– Ale masz chatę! – Julitka aż uniosła się na siedzeniu.

– Uważaj, to nie kabrio, głowę sobie rozbijesz. – Bartosz uśmiechnął się pod nosem. Jak dobrze pójdzie, wkrótce razem tu zamieszkają.

– Nie, no... – wykrztusiła dziewczyna i zamilkła w pełnym podziwu zdumieniu. Bartosz wysiadł i otworzył bramę. Od lat nosił się z zamiarem zamontowania takiej z prawdziwego zdarzenia, na pilota, żeby nie musiał przy wjeżdżaniu lub wyjeżdżaniu wysiadać z samochodu, ale nie miał czasu tego dopilnować, a Stefa mówiła, że ciągle wysiadanie wcale jej nie przeszkadza. Jej może nie, ale jemu owszem. Po rozwodzie od razu się tym zajmie. Zaparkowali przed garażem z miejscami dla dwóch samochodów, co w Julitce wzbudziło dodatkową falę podziwu.

– Pokażesz mi dom? – zapytała.

– Innym razem. Muszę wziąć się za trawnik, poza tym niedługo przywiozą jałowiec.

Julitka wzruszyła ramionami. Dobrze, niech mu będzie, teraz jeszcze się zgodzi, ale taka uległa będzie do czasu. Do czasu aż wysie z niego wszystkie finansowe soki, by go zostawić na pastwę losu, gdy już nie będzie mieć niczego, czego ona mogłaby od niego chcieć.

– Zrobisz mi coś do picia?

– Nie ma... – Chciał powiedzieć, że nie ma problemu, ale nie dokończył, bo przypomniał sobie nadgorliwość Stefy w kwestii jałowca i trawnika. Najwyraźniej żona koniecznie chciała go tu zwabić. Co takiego uknuła? Bo to, że coś na niego wymyśliła, nie ulegało wątpliwości. Nie, nie poczęstuje Julitki niczym, co miałyby pochodzić z willi! Sięgnął po wciśniętą między siedzenia butelkę wody mineralnej.

– Myślałam, że zaprosisz mnie na kawkę...

– Później wybierzemy się do kawiarni.

– Ale ja teraz bym się czegoś napiła. Ty mógłbyś sobie kosić, a ja z kawką w ręce patrzyłabym na ciebie z tarasu. Bo chyba masz jakiś taras, no nie?

– Tak, za domem. Zaraz za nim rozciąga się ogród.

– Ten z trawnikiem?

– Tak.

– Byczo! Więc ty będziesz kosić, a ja będę pić kawkę i na ciebie patrzeć. Bo chyba nadal pragniesz, abym na ciebie patrzyła? To co z tą kawką? – Rzuciła mu spod rzęs powłóczyście spojrzenie.

Tym razem, niestety, długie rzęsy Julitki nie wywarły tego co zwykle wrażenia, bo Bartosz intensywnie nad czymś się zastanawiał, w końcu zabrał głos i powiedział kategorycznie:

– Ekspres nam się zepsuł, rozpuszczalnej nie mamy, a i tej do parzenia również. A poza tym kawa jest niezdrowa.

– To może chociaż herbatkę? – z nadzieją zapytała Julitka. Tak bardzo pragnęła choć przez chwilę pobyc w tej wspaniałej willi, rzucić okiem na wystrój i ocenić, czy jest odpowiednio bogaty, by się utwierdzić w decyzji, że kontynuacja związku z Bartoszem ma sens.

– Bierz tę wodę i chodźmy na taras – rzucił ze zniecierpliwieniem w głosie.

– Ale nawet herbatki nie...

– Nie! Ani kawki, ani herbatki nie dostaniesz! W ogóle niczego u mnie nie zjesz ani nie wypijesz!

– Ale dlaczego...

– Bo ja tak powiedziałem! I powtórzę jeszcze raz, dzisiaj niczego do jedzenia ani picia tu nie znajdziesz! Taką mam żonę! Żarcia nie kupuje, niczego nie gotuje, nie wiem, kiedy, co i czy w ogóle coś je! Zresztą ona moim żołądkiem również nigdy się nie przejmowała!

– Ależ, misiu, nie unos się tak, bo ci pikawka stanie. Już niedługo ja ci będę gotować, tylko weź ze Stefką rozwód.

Julitka pogładziła Bartosza po zaczerwienionym na skutek nerwowego uniesienia policzku, wsadziła butelkę pod pachę i ruszyła w kierunku drzwi.

– Nie tędy – powiedział i chwycił ją za ramię. – Obejdziemy dom, nie musimy wchodzić do środka.

– Oczywiście, jak chcesz, jak chcesz...

Ogród na Julitce wrażenia nie zrobił. Bartosz chciał jej pokazać, gdzie ma zamiar posadzić zamówiony w Puszczykowie jałowiec, ale widząc jej znudzoną minę, wskazał głową na taras, gdzie stały rattanowe krzesła i mały stolik.

– Ile kosztował ten twój wiecheć? – Julitka przystanąła na pierwszym stopniu.

– Nie wiecheć, ale jałowiec. Ponad trzy tysiące. To była prawdziwa okazja! – Bartosza rozczuliło jej nagle zainteresowanie zielenią. Może z Julitki jeszcze wyrośnie godna, dzielająca jego pasję partnerka?

Dziewczyna uśmiechnęła się słodko. Sianowski! Zdecydowanie będzie go długo trzymać, ale musi nad nim popracować, żeby grosz szanował i nie puszczał na głupoty. Kto to widział, żeby za byle wiecheć płacić niemal cztery koła! Idiota! Usiadła na jednym z krzeseł i łyknęła wody. Była obrzydliwie ciepła. Latem z ciepłych napojów tolerowała jedynie kawkę lub herbatkę, czyli wszystko to, czego jej odmówił Bartosz, ale w imię wyższych celów, bez słowa skargi, zniesie cierpienie, które jej zaserwował. Ze zdziwieniem obserwowała zachwyt, z jakim jej kochanek obchodził ogród oraz doglądał rosnących tam roślin. Takiego hobby Julitka ogarnąć rozumkiem nie umiała. Gdy Bartosz zerkał ku niej, kilka razy pomachała mu ręką i posłała dwa całusy. Niech myśli, że ona o nim myśli. To znaczy myślała, ale nie tak, jak on by oczekiwał.

– Tylko skoszę trawę i już do ciebie idę – powiedział i skierował się ku małej, ukrytej w cieniu dwóch świerków szopce. W środku było duszno, a kilka much z głośnym bzyčeniem objęło się o szybę. Bartosz odstawił na bok grabie, taczkę oraz wiadro i sięgnął po rączkę kosiarki. Kupił ją już w lutym na dużej wyprzedaży sprzętu ogrodniczego. Mimo sporej obniżki cena nadal przyprawiała o zawrót głowy, więc żeby nie narazić się na wrzaski Stefy, okłamał ją, wymieniając znacznie niższą kwotę. Podłączył kosiarkę do prądu i wyprowadził na zewnątrz. Spojrzał na Julitkę. Uśmiechnęła się i posłała mu buziaka. Co za słodkie stworzenie! Nie to co Stefa – zła, zrzędząca, naburmuszona i obrzucająca go wściekłymi łypnięciami spod kunsztownie (musiał jej to oddać) umalowanych powiek.

– Co tam masz, w tej szopce? – Julitka wstała, leniwie się przeciągnęła i powoli zeszła na trawę. Musi go popędzić, bo jeśli przez dwadzieścia minut oglądał listki, to strach pomyśleć, jak długo będzie kosić tę głupią trawę. Nie miała ochoty tkwić na tym tarasie, mając za towarzystwo jedynie ciepłą wodę mineralną. Może jeśli wykaże ogrodniczą inicjatywę, on w nagrodę pokaże

jej willę?

– Sprzęt ogrodniczy.

Julitka uśmiechnęła się zmysłowo.

– Mało interesujące... – mruknęła, przytulając się do niego, i chwyciła zębami płatek ucha. – Jeśli się pośpieszymy, przed przywiezieniem wiechcia zrobię ci coś miłego... na łóżku w tej twojej wypasionej willi oczywiście...

Bartosz przełknął ślinę. Ta Julitka! Petarda, nie kobieta!

– Odejdź – mruknęła zmysłowo. – Pokażę ci, jak szybko skosić trawnik.

Odsunęła na bok Bartosza, zerknęła na niego uwodzicielsko, chwyciła za rączkę kosiarki i nacisnęła przycisk...



Stefa podczas drogi powrotnej nie powiedziała do Iwony ani słowa. Swym milczeniem chciała ją ukarać za przykrości, na jakie została narażona. Czy nie mogły pójść pieszo na ten Stary Rynek? Stefa do tej pory dawno ugasiłaby trawiące ją pragnienie, a i może skusiłaby się na porcję lodów waniliowych? Ech, ta Iwona! Diabli nadali taką koleżankę. A najgorsze było to, że ta zupełnie nic z jej grobowego milczenia sobie nie robiła.

– Stefa, jak myślisz? Bartosz już pewnie jest nie tego, co? – Iwona zawiesiła głos.

Stefa milczała, więc Iwona sama udzieliła sobie odpowiedzi:

– Tak, na pewno jest już po wszystkim. I dobrze. Odżyjesz, dziewczyno, chatę po swojemu urządzisz, a i z ubezpieczenia coś ci skapnie. Może po świecie pojeździsz? Chciałabyś pojeździć? Bo wiesz, ja nie. Gdyby mnie wpadła większa sumka, najpierw remont mieszkania bym zrobiła, a resztę w skarpetę, to znaczy na konto bym wsadziła i miałabym za co wydawać książki. Milczysz? Wcale się nie dziwię. W dzień śmierci babci mnie też gadać się nie chciało. Jakkolwiek na to patrzeć, to była moja babka, czyli również człowiek. Bez względu na to, jak umarła, kawał życia razem się spędziło... żal minionego czasu... Oj, przemijanie, przemijanie... O zobacz, już widać twoje ogrodzenie. Bo, Stefo – Iwona szturchnęła Stefę pod zebro, ale ta pozostała niewzruszona – teraz śmiało mogę mówić, że ogrodzenie twoje i willa twoja i wszystko, co w niej jest, również tylko ciebie ma za właścicielkę. Powiedz, czy to nie cudowne?! – Ponownie rąbnęła ją łokciem. Stefa odsunęła się od Iwony.

– Ale zobacz! Bramę otwartą zostawił! A to niechluj!

Stefa zmarszczyła brwi. Otwarta brama? To nie było w stylu jej męża, więc znaczyło... Nie wiedziała, co to znaczyło, ale czuła wszystkimi zmysłami, że na pewno coś poszło nie tak. Wracając do domu, spodziewała się prostego obrazka: zamkniętej bramy, mercedesa przed willą i trupa Bartosza rozciągniętego na trawniku. Na to liczyła i za to trzymała kciuki. A tu otwarta brama, która była sygnałem, że wydarzyło się coś, co zdarzyć się nie powinno.

– Coś poszło nie tak... – Stefa wreszcie przemówiła, ale jej głos w niczym nie przypominał ludzkiego głosu. Zabrzmiął niczym skrzek zachrypniętej ropuchy. Iwona wzdygnęła się z przestachem, ale natychmiast wytłumaczyła sobie, że zbyt długie milczenie zaszkodziło Stefie na struny głosowe. Przyspieszyły kroku. Otwarte podwoje zapraszały do wejścia na teren posesji, ale Stefa nagle przystanęła – podjazd przed garażem był pusty!

– Ki diabeł?... – mruknęła do siebie i biegiem puściła się za dom, w kierunku ogrodu. Składzik na narzędzia był otwarty, a kilka metrów przed drzwiami stała wywleczona na trawnik kosiarka.

– Gdzie... gdzie on jest?! – zdziwiła się Iwona.

Stefa tupnęła nogą.

– Najlepiej, żeby stygł w kostnicy! I gdzie jest jego mercedes?! Przecież musiał tu być,

bo kosiarka wywleczona!

– Dzwon do niego!

– A jak odbierze, to co mu powiem?!

– Że badyła przywieźli. Sama mówiłaś, że to był dobry haczyk, więc złapiesz go na niego jeszcze raz.

Stefa musiała przyznać, że głupiej Iwonie niekiedy zdarzało się mieć dobre pomysły. Teraz, kiedy była naprawdę rozdygotana, przyjaciółka zdawała się myśleć całkiem trzeźwo, a trzeźwe myślenie było tym, czego Stefa bardzo w tej chwili pożądała.

– Daj mi moją komórkę.

Stefa w porannym pośpiechu zapomniała zabrać ukochany zegarek i na pewno zapomniałaby również o komórce, gdyby nie Iwona, która oba aparaty, swój oraz przyjaciółki, wsadziła do kieszeni przepastnej bluzy. Stefa na tę bluzę patrzeć nie mogła, bo jak można zakładać na siebie coś tak potwornie spranego i wyciągniętego na wszystkie strony?

– O zobacz, ktoś do ciebie dzwonił. – Iwona nie spieszyła się z podaniem Stefie telefonu.

– Wanda grafomanka! Czego ona...

Stefa wyrwała jej z ręki aparat.

– Nic mnie ona nie obchodzi! – Wybrała numer męża i w napięciu oczekiwała, czy odbierze.

W tym czasie Iwona wyjęła z kieszeni własny aparat. Ona również miała nieodebrane połączenie. I również od tej Wandy.

– Nie odbiera? – zapytała Iwona.

– Nie.

– Do mnie ta grafomanka również dzwoniła.

Stefa na Iwonę nie zwracała uwagi. Miała do rozwiązania większą zagadkę niż roztrząsanie, po co mogła dzwonić do niej jakaś Wanda od Skowronka czy jakiegoś innego ptaszyska w tytule jej głupich wypocin.

– Muszę usiąść i pozbierać myśli. – Stefa ruszyła ku tarasowi i opadła na krzesło. Iwona usiadła obok.

– O – wzięła do ręki pozostawioną na stoliku butelkę z wodą – zapomniałaś wyrzucić.

– Ja zawsze po sobie sprzątam. – Stefa w zamyśleniu patrzyła na stojącą przy stole i masowała sobie skronie. Coś tu się wydarzyło, tylko co?!

– Nie kłam. Widać ślad twojej szminki. Czerwona.

Stefa oderwała dłonie od skroni, wyrwała Stefie butelkę i uważnie przyjrzała się śladowi.

– Coś podobnego! – zakrzyknęła odkrywczco. – Ten jełop był tu ze swoją kochanką!

– Jełopa sobie wypraszam! – Zza domu wyłonił się Bartosz. Źle wyglądał, twarz miał zaczerwienioną, spoconą, a fryzurę w poważnym nieładzie.

– Ty żyjesz! – Stefa poderwała się z krzeselka. – Gdzie byłeś?!

– Pewnie, że żyję! A gdzie byłem?! W szpitalu! Do szpitala mojego Anioła Stróża zawiozłem!

– Kurna, odbiło mu... – szepnęła Iwona, ale Stefa w lot połapała się, kogo ma na myśli.

– Anioła od tej butelki?! – Pomachała trzymanym w ręce pojemnikiem.

– Nie twój interes! A ty, ty chciałaś mnie zabić! – Pogroził Stefie pięścią i zajął się zwijaniem kabla od kosiarki. – Zabieram ją! Będzie dowodem w sądzie!



Spacerowi Wandy i Eryka aura wyjątkowo sprzyjała. Słoneczko wspaniale przygrzewało, ale nie było zbyt gorąco, bo raz po raz przez niebo przepływały obłoczki.

Rozmawiali o błahych sprawach, a kiedy wkroczyli na grząskie polityczne tereny, okazało się, że poglądy mają zbieżne. Wanda przestała robić Ignacemu wyrzuty z powodu autografu. W końcu się wytłumaczył i widać było, że mu przykro.

W alei Wielkopolskiej zgodnie zwolnili kroku i im bliżej byli okazałej willi Lurki, tym bardziej zwalniali. Ktoś patrzący z boku mógłby powiedzieć, że poruszali się w zwolnionym tempie. W końcu stało się nieuchronne – stanęli przed piękną kutą furtką.

– Cóż... oto jesteśmy... – stwierdziła Wanda.

– Ach... to już tutaj? Cóż... trudno...

Wanda wyciągnęła rękę do dzwonka.

– Dlaczego chcesz dzwonić? Przecież brama jest otwarta.

– Rzeczywiście.

Weszli na teren posesji.

– Niezły merol – z uznaniem powiedział Eryk i obejrzał zaparkowanego mercedesa. –

Czyj to?

– Nie wiem.

Zza domu doszły ich podniesione głosy.

– O, ktoś jest w ogrodzie. Chodźmy tam. – Wanda ruszyła w lewo wiodącą wprost do ogrodu wśród zieleni wysypaną białym grysem dróżką.

– Pewnie, że żyję! A gdzie byłem?! W szpitalu! Do szpitala mojego Anioła Stróża zawiozłem! – Usłyszeli męski głos.

– Anioła od tej butelki?!

– Nie twój interes! A ty, ty chciałaś mnie zabić! Zabieram ją! Będzie dowodem w sądzie!

Wanda przystanęła i położyła palec na ustach. Eryk również ciekawie nastawił ucha, po czym chwycił Wandę za rękę i pociągnął za szpaler z tuj. Za tujami posadzono gęsto ligustr, więc ukrycie było wyborne. Stanęli blisko siebie, ramię w ramię. Wanda z przyjemnością wdychała zapach dobrej męskiej wody toaletowej. Eryk raz i drugi zerknął na długie włosy Wandy, po czym wyjął z kosmyków kilka drobnych gałązek, które się tam wplątały. Wanda zamarła. Dobrze wiedziała, jak wielkie pająki lubią kryć się w krzakach, na wszelki wypadek nie dopytywała więc, czego Eryk w jej włosach poszukuje, tylko przymknęła oczy i poddała się niespodziewanej pieśczoście.

– Chyba na głowę upadłeś! – Usłyszeli znajomy głos, który należał do Stefy. – Myślisz, że nie mam czym się zajmować, tylko dybaniem na twoje głupie życie?! A bierz sobie tę kosiarkę, bierz! Ja za to na dowód twojej zdrady mam tę butelkę i również nie zawaham się jej użyć!

– A ja przeciw twojej butelce będę mieć kosiarkę oraz zeznania Julitki!

– Julitki?! Tak więc ma na imię!

– Tak! Moja szczęśliwa gwiazdeczka, która być może uratowała mnie przed śmiercią, a już na pewno przed tobą, ma na imię Julitka!

Na chwilę zapadła cisza.

– Przed jaką śmiercią? – prychnęła Stefa. – O czym ty mówisz? A w ogóle nie wstyd ci kochankę do koszenia trawnika zaganiać?

– Sama się rwała. I więcej niczego ode mnie się nie dowiesz! Za kratki pójdziesz, zobaczysz!

Po chwili obok szpaleru, za którym ukrywali się Wanda z Erykiem, pchając przed sobą kosiarkę do trawy, przeszedł średniego wzrostu mężczyzna o mocno wzburzonym wyrazie twarzy. Rzeczony dowód sądowy z niemałym trudem zapakował do bagażnika okazałego mercedesa, z piskiem opon wyjechał na ulicę i pomknął w kierunku centrum.

– Ale numer – szepnął Eryk. – Kto to był?

– Chyba mąż Stefy.

Wydawałoby się, że w tej chwili Wanda i Eryk mogliby opuścić bezpieczne schronienie, bo żadna godna podsłuchania rozmowa już się nie toczyła, ale nadal tam tkwili, niemal przyspawani ramionami, a ręka Eryka, tym razem wcale nie w poszukiwaniu patyczków, ponownie wędrowała ku włosom Wandy.

– Boże! Boże! – Wtem zza domu doszło ich uszu kobiece zawroźnienie.

– To chyba Iwona Cieciora – szepnęła Wanda.

– Do pierdła mnie wsadzą! – lamentowała.

– Nigdzie cię nie wsadzą – odezwała się Stefa. – I nie drzyj się! Albo wejdźmy do środka, jeśli nie umiesz się powstrzymać!

– A to jest Stefa. – Wanda pospieszyła z wyjaśnieniem.

– Do pudła mnie wsadzą, bo na kablu są moje odciski! – nieco ciszej, ale równie rozpaczliwie powiedziała Iwona, ale czającym się w pobliskich krzakach Wandzie i Erykowi i tak nie umknęło żadne słowo. – Że też dałam się wkręcić w tę głupią robotę! – Zaczęła łkać.

– Nie bec. Będę zeznawać przeciw tobie, znaczy na twoją korzyść. Najgorsze jest to, że Bartoszowi się udało, a i ta Julitka z życiem uszła. Co za pech!

– I dobrze, że żyją! Gdyby któreś zginęło, wsadziliby mnie na dwadzieścia pięć lat albo i więcej! Gdzie ja, głupia, miałam rozum, że się zgodziłam na to wszystko?! – biadoliła Iwona.

– O bezczelna! – Stefa uniosła głos. – Nie pamiętasz, że byłaś mi winna przysługę?! Że miałaś wobec mnie dług wdzięczności?

– To co, że załatwiłaś mi babcię? W ciągu roku lub dwóch lat najdalej pewnie i tak sama by zesza. – Iwona powiedziała to tak cicho, że Wanda, aby usłyszeć całe zdanie, musiała pokonać lęk przed wielkimi pajakami i wsadzić głowę w krzak tui.

– Matko jedyna! – Wanda nagle z przerażeniem cofnęła się ku Erykowi.

– Co się stało? – Z radością wykorzystał jej strach i czule otoczył ramieniem.

– Słyszałeś? Ale cicho, cicho! Może coś jeszcze powiedzą. – Przyłożyła palec do ust.

– Ty zawsze spadasz na cztery łapy! – syknęła Iwona. – Boże, Boże... on ma kosiarkę, a na niej są moje odciski palców! Dlaczego się na to zgodziłam?!

– Zamknij się wreszcie!

– Ani mi to w głowie! Pociesz mnie jakoś!

– Pociesz? Proszę bardzo, masz na mnie haka – tę felerną drabinkę. Przecież wiem, że schowałaś ją sobie na wszelki wypadek. W końcu jej dotykałam, a odciski palców to nie byle jaki dowód! – Lurka wbiła wzrok w trzymaną butelkę i przygryzła wargę, by nie parsknąć śmiechem.

Iwona nie odpowiedziała. Czasem zastanawiała się, jak to się działo, że była dla Stefy niczym otwarta księga. Może przyjaciółka parała się czarami, miała kryształową kulę, w której widziała jej każdą myśl i krok?

Przerażona Wanda mocno przytuliła się do Eryka.

– Uciekajmy! – szepnęła. – Nie mogą nas zobaczyć!

– Proponuję zakończyć tę dyskusję – powiedziała Stefa. – Na razie nic w związku z twoją osobą się nie dzieje, więc się uspokój. W tej chwili muszę martwić się o siebie. No i w żadnym wypadku nie mogę zostać w tym domu.

Stefa już widziała skradającego się pod osłoną nocy Bartosza trzymającego nóż sprężynowy w jednej, a młotek w drugiej ręce. Nie, tak ryzykować nie mogła. Nawet jeśli sam by jej nie zaatakował, niewykluczone, że nasłabły jakichś zbirów.

– Chcesz się gdzieś przeprowadzić? – ostrożnie zapytała Iwona. Po załatwieniu babci sama skwapliwie skorzystała z gościnności Stefy, domyślała się więc, że teraz czeka ją dalsze

odwdzięczanie się przyjaciółce. Och, będzie musiała się zastanowić, jak zerwać tę znajomość, bo ile się można odwdzięczać?

– Do ciebie oczywiście. – Stefa skierowała się ku schodkom. W wyciągniętej ręce, dwoma palcami, niczym obrzydliwego stwora trzymała szyjkę butelki, z której piła jej rywalka. – Wejźmy do środka, muszę się spakować.

Minęły żywopłot z tui i weszły głównym wejściem. Wanda i Eryk odczekali jeszcze chwilę i ostrożnie wymknęli się na ulicę.

– Nie mogę w to uwierzyć... – szepnęła Wanda, która chętnie wspierała się o nadstawione ramię Eryka. Gdy willa zniknęła z zasięgu ich wzroku, zwolnili tempo i ponownie zgodnie wlekli się noga za nogą.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, te dwie pisarki nie mają czystych sumień. – Eryk z dezaprobatą pokręcił głową.

– To straszne! Stefa maczała palce w uśmierceniu Iwony babci, a w rewanżu Iwona miała pomóc jej zamordować męża! – Wanda na chwilę zamknęła oczy, jakby to miało pomóc w odpędzeniu od siebie zasłyszanych słów. Po kim jak po kim, ale właśnie po tych dwóch osobach tak niecznych czynów nigdy by się nie spodziewała. Ponownie otworzyła oczy, przetarła dłonią czoło i powiedziała Erykowi to, co usłyszała od Jadzi – przyjaciółki świętej pamięci babci Iwony, a co w tej chwili stanowiło uzupełnienie zasłyszanych informacji.

– Tak... więc ten upadek z drabiny nie był zwykłym wypadkiem – powiedział Eryk i się zamyślił. – Ale dlaczego tak bardzo im zależało na spotkaniu autorskim z Ignacym Knychalką?

– Fabianowi też zależało – przypomniała Wanda.

– Tak, ale akurat jego rozumiem. Planował mnie wystawić jako duplikat, bo chciał zarobić i pewnie sądził, że to pomoże w sprzedaży wydanych przez niego książek. Ale te dwie? Jaki mogły mieć w tym cel, jaki interes?

– Nie mam pojęcia, ale gorliwość, jaką przy tym wykazywały, wydaje się teraz bardzo podejrzana.

– Masz rację i dlatego powinniśmy jak najszybciej się z nimi spotkać i wbić do głów, że nie jestem żadnym Knychalką! Dla mojego bezpieczeństwa chociażby – zakończył z obawą w głosie.



Sobotni wieczór Eryk spędził u Wandy. Zjedli skromną kolację złożoną z suchego chleba i szprotek w sosie pomidorowym oraz wypili po dwie kawy. Wanda ten prosty posiłek przyrządziła zupełnie sama. Podczas otwierania puszkę łudziła się, że Eryk do niej doskoczy, wyrwie szprotki z rąk, każe zasiąść przed telewizorem, a sam dokończy przygotowań. Jednak nic z tego. To on, Eryk, siedział przed telewizorem, a ona, Wanda, buszowała w kuchni. Kilka razy zerknęła na zamrażalnik kryjący w swoim wnętrzu symboliczną kanapkę. Czy kiedykolwiek doczeka dnia, w którym jakiś mężczyzna przygotowuje jej coś do jedzenia? Nie marzyła nawet o romantycznej kolacji, ale wykazanie inicjatywy w kierunku pokrojenia suchego chleba i otwarcia puszkę rybek już w pewnym stopniu by ją zadowoliło. Dzień, który spędziła z Erykiem, mimo zawirowań i niespodziewanego zwrotu akcji, uznała za udany, ale byłoby jeszcze milej, gdyby facet nie gapił się w telewizor, tylko choćby kawę zrobił. A może oni, prawdziwi samcy alfa, tak mają, że kuchnię oraz wszelkie sprawy z nią związane omijają szerokim łukiem? Może Wanda powinna się z tym pogodzić, przestać bujać w obłokach, nauczyć się lepić pierogi, robić śląskie kluchy oraz zawiesziste sosy, a symboliczną w swej wymowie kanapką nakarmić głodne ptaszki?

W połowie posiłku, który spożywali w milczeniu, ponieważ Eryk, zajęty wpatrywaniem

się w ekran telewizora, zdawał się nie zauważać nawet tego, co je, zadzwoniła Lucyna. Wanda przeniosła się do kuchni i żeby mu nie przeszkadzać, przymknęła drzwi. Skupienie, z jakim chłonał wiadomości, gwarantowało, że szybko nie zatęskni za jej towarzystwem. Przyjaciółka jednak wiele czasu nie miała.

– Kochana, pracą się nie przejmuj, bo jeszcze z niej nie wyleciałaś! Jak cię wyrzuci, wtedy zastanowimy się, co dalej. Teraz mam do ciebie prośbę, która jest dla mnie naprawdę ważna, i nie ukrywam, że spodziewam się, iż odpowiesz po mojej myśli...

– Co się stało?

– Zaraz tam stało. Nic się nie stało, tylko coś się wydarzyło. Mundek ponownie poprosił mnie o rękę, a ja się zgodziłam!

– Znów? Nie znudziło ci się to jeszcze?

– Ty naprawdę potrafisz być przykra. Ja promienieję szczęściem, a ty oblewasz mnie kubłem zimnej wody. Ale przejdę do sedna. Mundek wykupił wakacje w Portugalii! Wyobrażasz sobie? Zawsze marzyłam, aby tam jechać!

– O, to świetnie! – Tym razem Wanda się ożywiła.

– Też się cieszę! I wobec tego mam do ciebie prośbę... mogłabyś jeszcze przez tydzień u mnie pomieszkać i mieć wszystko na oku?

– Ach... oczywiście. A kawalerki Mundka kto będzie doglądać? Tam też mam wpadać?

– Nie. Na kawalerkę ma chętnego do wynajęcia, a jak wrócimy, to sprowadzimy się do mnie, więc sama rozumiesz...

– Tak, będę musiała się wyprowadzić. – Wanda westchnęła. Wróci do siebie i zrobi z młodymi porządek. A teraz będzie zbierać siły do przeprowadzenia tej trudnej rozmowy. Gdyby była choć w niewielkim ułamku podobna do Murka, postawienie ich do pionu na pewno nie byłoby dla niej problemem.

– Otóż to, kochana, otóż to.

– A co z zakładem? – zainteresowała się jeszcze.

– Podczas naszej nieobecności znajomy Mundka robi tam remont. Świetnie to sobie ułożyliśmy, nie?

– Pewnie. Wpadniesz po rzeczy?

– Nie, wszystko mam u Mundka. Poza tym kupiłam ostatnio kilka ciuchów, więc niczego nie potrzebuję.

– Kiedy wyjeżdżacie?

– Dziś wieczorem. Co prawda myślałam, że się spotkamy, ale musimy załatwić jeszcze kilka spraw. Pilnuj mieszkanek, kochana, i korzystaj z niego do woli! Do zobaczenia za tydzień. Przywiozę ci coś ładnego!

Wanda odnosiła wrażenie, że te częste rozstania i powroty źle na Lucynę działają, bo przyjaciółka stała się jakby bardziej postrzelona, a momentami wręcz infantylna. Westchnęła i wstawiła wodę na gaz. Skoro Eryk był taki zajęty, zadzwoni do Izy i zapyta, co u niej słychać, nie zdążyła jednak wybrać numeru, ponieważ telefon ponownie się odezwał.



Gdyby tylko Stefa dysponowała konkretną gotówką, nigdy nie zniżyłaby się do zamieszkania u Iwony, lecz skorzystała z oferty kogoś z poznańskich hoteli. Ale ponieważ wszystkie pieniądze, które zarobiła bądź otrzymała od Bartosza, pochłonał ukochany hazard, z wielką przykrością musiała przenieść się do Cieciorki. Stefa nie cierpiała tej jej okropnej kotki, której Iwona nie potrafiła się pozbyć i dzieliła z nią z takim trudem zdobyte mieszkanie. Ponadto o zamiłowaniu Iwony do czystości również nie miała dobrego zdania i poziom higieny

doskwierał jej nie mniej niż obecność Meli. Z tego względu z willi przy alei Wielkopolskiej zabrała ze sobą nie tylko laptop oraz ubrania, ale również komplet pościeli. Niezbędne rzeczy zapakowała do dwóch eleganckich toreb podróżnych i, tym razem taksówką, opłaconą ostatnimi pieniędzmi Stefy, pojechały na Wildę.

Na podwórzu szwendała się Mela. Stefa natychmiast ją rozpoznała, a i osoba gościa nie umknęła czujnej uwadze kotki. Kotka najeżyła się, grzbiet wygięła w pałąk i prychnęła, jakby zobaczyła samego diabła.

– Dobrze, że nie potrafi gadać – szepnęła Iwona.

Stefa uśmiechnęła się półgębkiem:

– Gdyby potrafiła, własnoręcznie usunęłabym ją z tego świata.

Mela odprowadziła kobiety wzrokiem, a gdy zniknęły w drzwiach kamienicy, skryła się za śmietnikiem.

Stefa od razu po przekroczeniu progu mieszkania Iwony swoje kroki skierowała do łazienki, gdzie z ulgą zrzuciła przepocone ubranie i wzięła chłodny prysznic. Orzeźwiający tusz dobrze jej zrobił. Poczowała się wspaniale odświeżona, wstąpiła w nią nowa porcja sił, dzięki czemu nabrała gotowości do podjęcia kolejnych działań, ale tym razem dla odmiany związanych z Ignacym Knychalką. W sprawie męża na razie nie zamierzała nic robić. Poczekaj, aż ten jełop wykona pierwszy ruch, a ona stosownie zareaguje. Podczas gdy woda spływała jej po karku, przed jej oczami przewijał się obraz idących Ignacego i Wandy. Oderwanie się od spraw związanych z mężem i skupienie uwagi na Knychalce zrelaksuje ją i ukoi skołataną nerwy. Iwonie taka odmiana też powinna dobrze zrobić. Może wreszcie przestanie gadać o cholernej babce i panikować na temat nieudanego morderstwa, bo zajęcie się nową akcją z pewnością odciągnie ją od niewygodnych tematów. Stefa przypomniała sobie o nieodebranych połączeniach. Wanda od Skowronka do Iwony również dzwoniła. Na pewno chciała się pochwalić, że wreszcie dopadła Knychalkę. Grzeczna dziewczynka. Zaraz po kolacji do niej zadzwoni i o tym porozmawia. Może udało jej się go nakłonić do tego spotkania? Tak zgodnie sobie szli, jak para dobrych znajomych, więc może wszystkie lody przełamała i dopięła celu? Stefa przebrała się w przyniesiony z domu peniuar, wyszczotkowała włosy i poszła do kuchni, gdzie Iwona smażyła jajecznicę.

– Jajecznica na wieczór?! – Lurka się skrzywiła. – Przecież to jest tak ciężkie jedzenie, że do rana oka nie zmrużę!

– Nic innego nie mam – burknęła Iwona i energicznie zamieszała zawartość patelni.

Jeszcze humory będzie mi pokazywać, pomyślała Stefa, a głośno powiedziała:

– Mogłaś te jaja na miękko ugotować.

– Trzeba mi było to powiedzieć, zamiast się chlapać i nabijać rachunek za wodę!

Stefa uważniej przyjrzała się Iwonie. Dawno nie widziała jej tak rozdrażnionej.

Wkręcenie jej w morderstwo Bartosza chyba nie było dobrym pomysłem, tym bardziej że mordercze plany spaliły na panewce i jedynym namacalnym śladem przeprowadzonej akcji była tylko mocno znerwicowana przyjaciółka.

– Po kolacji zadzwonię do Wandy. Na pewno chciała nam opowiedzieć o spotkaniu z Knychalką.

– Chciała czy nie, co mnie to obchodzi?! Co znaczy byle Knychalka wobec faktu, że mogę wylądować w pierdlu?! – Iwona gwałtownym ruchem wywaliła zawartość patelni na talerz.

– Nie jesz?

– Nie mam apetytu. – Pchnęła naczynie w kierunku Stefy, podsunęła herbatę i chciała wyjść z kuchni.

– Dokąd idziesz? – Stefa sięgnęła po widelec. Jaka była głodna! Zje tę jajecznicę, a gdy

dostanie niestrawności, porządnie Iwonę opierniczy. I obsmaruje ją na blogu. Niech ma za swoje!

– Nie wiem. Może pralkę nastawię.

– Siadaj.

– Nie mam ochoty.

– Siadaj, mówię!

Na Iwonę podniesiony głos przyjaciółki podziałał tak samo orzeźwiająco jak chłodny prysznic na Stefę.

– Nie możemy zapominać o Ignacym. Niech się wali, niech się pali, a my musimy tę sprawę wreszcie rozwikłać i urwać jej łeb.

– Już raz chcieliśmy urwać...

– Ale teraz na pewno go dopadniemy! Widziałaś przecież, szedł ulicą!

Iwona obojętnie wzruszyła ramionami. Na Cytadeli również widziała kogoś do niego podobnego i co z tego? Może i ten w mieście też był tylko mirażem, błędną percepcją wzroku?

Stefa zjadła trochę jajecznicy. Musiała przyznać, że smakowała całkiem nieźle, więc kilkakrotnie nabrała jeszcze na widelec, w końcu jednak zwyciężyła obawa przed bezsennością spowodowaną przeciążonym układem trawiennym, odsunęła więc od siebie talerz i sięgnęła po chleb. Oczywiście nie posmarowała go masłem, bo wiadomo: tłuszcz, kalorie, wszystko w boczki wlezie.

– Nie jesz już?

– Nie.

– Mogę?

– Proszę bardzo. – Stefa podsunęła talerz w stronę Iwony i z niechęcią patrzyła jak ta, nie zmieniawszy widelca, pałaszuje pozostawione przez nią resztki. A ponoć ochoty nie miała.

– Posił się, a ja w tym czasie zadzwonię do naszej koleżanki. I mi nie przeszkadzaj.

Stefa wyszła do pokoju i starannie zamknęła drzwi.

Uważnie rozejrzała się po pomieszczeniu. To tutaj pewnego lutowego wieczoru (odczuwając przy tym niewyobrażalną wprost przyjemność!) uśmierciła babcię Iwony. Pokój był urządzony chaotycznie, bez jakiegokolwiek myśli przewodniej, i szkoda, że do tej pory Iwona niczego w nim nie zmieniła. Przecież dostała pokaźny spadek. Mogła pomieszczenie odmalować, kupić nowe meble, dywan, zasłony. Na pewno poczułaby się tu lepiej, co zapewne miałyby bezpośrednie przełożenie na pisane przez nią książki. Czyżby czuła sentyment do tej szafy, której nie można domknąć, dywanu z urwanymi frędzlami i maleńkiego tapczaniku, na którym sypiała jej babka? Nowe, plastikowe okno było inwestycją babci i dobrze, że chociaż ona zadbała o jego wymianę, bo Iwona zapewne nigdy nie wpadłaby na to, żeby kiedykolwiek usunąć główną przyczynę zimowego chłodu. Albo ten stolik z zasychającym kwiatem... Czy Iwonie naprawdę było obojętne, jak mieszkała? Nie raził jej ten nędzny wystrój? Stefa do sentymentalnych osób nigdy nie należała i na Iwony miejscu szybko pozbyłaby się tych zakurzonych i trąjących trupim zapaszkiem rupieci. Bo zapach śmierci w tym pomieszczeniu wyczuwała aż za dobrze.

Dyskretnie unosił się pod sufitem, krążył tam i wirował, a był szczególnie obrzydliwy, ponieważ wydawał jej się wzmocniony wonią przetrawionego czosnku i dodatkowo jakiegoś lekarstwa. Stefa odniosła nieprzyjemne wrażenie, że ktoś na nią patrzy, eteryczna istota, której obecność odczuła od razu po pojawieniu się smrodu. Ciarki przeszły ją niczym prąd. Najchętniej wyszłaby z tego okropnego pokoju i poszła do drugiego, mniejszego, ale ten manewr na pewno by nie uszedł uwagi przyjaciółki. Nie, Iwona nie może zobaczyć, że ona się boi. Nie da jej tej satysfakcji. Jeśli Iwona mogła tu pisać, o czym świadczył stojący na biurku laptop, Stefa tym bardziej mogła odbyć w tym miejscu krótką rozmowę telefoniczną. Swoją drogą, dziwiła się, dlaczego Iwona męczyła się w pokoju nieboszczki, zamiast po prostu wysprzątać porządnie drugi

i urządzić tam miły kącik do tworzenia tych okropnych literackich gniotów.

Podeszła do parapetu, odsunęła firanę, stojące na nim doniczki z kwiatami przesunęła na prawo i otworzyła lewe skrzydło okna. Musiała sobie uprzyjemnić bytność w tym upiornym pomieszczeniu – łapczywie zaczęła wdychać świeże powietrze. Od razu lepiej, pomyślała, no i może przez okno wyleci to cholerstwo spod sufitu? Ale nie miała odwagi spojrzeć w górę, czy wirujące drobiny już się ulotniły. Wybrała numer Wandy i w oczekiwaniu, aż ta odbierze, bezmyślnie patrzyła na podwórze. Za kublami na śmieci coś się poruszyło i po chwili powoli wyłoniła się stamtąd Mela. Uniosła w górę zmierzwiony ogon i patrząc Stefie w oczy, cicho syknęła. Stefa natychmiast zrobiła krok w tył i zasłoniła firanę. Co za nieprzyjemne otoczenie! – pomyślała ze złością.

– Słucham? – Usłyszała w telefonie, odwróciła się więc do okna plecami i natychmiast skupiła się na rozmowie.

– To ja, Stefania – zaczęła z fałszywą radością.

– Ach... miło cię słyszeć...

Stefie wydało się, że głos Wandy zabrzmiał obco, zimno.

– Dzwoniłaś do mnie, prawda? Byliśmy z Iwoną w mieście, a tam, sama wiesz, jaki hałas, i żadna z nas nie słyszała dzwonka.

– Tak, tak, dzwoniłam. Miałam do was sprawę.

– Mów śmiało, w czym rzecz.

– Otóż... – Wanda spozjrzała w kierunku pokoju, w którym Eryk nadal pożerał wiadomości z telewizji. Musi jej powiedzieć całą prawdę o tym, z czym do niej się udawali. Powie to krótko, węzłowato i się rozłączy. Nie chce mieć z tą kobietą nic wspólnego. A *Wolność skowronka*? Trudno, sama da sobie radę. Grunt to odizolować się od tej bezwzględnej morderczynie niewinnych staruszek!

– Tak?

– Mam coś ważnego do zakomunikowania. – Zrobiła krótką pauzę i po chwili krzyknęła do słuchawki: – Ignacy Knychalka to nie Ignacy Knychalka!

Wanda spodziewała się gwałtownej reakcji, jakiegoś protestu, może dzikiego wrzasku mającego na celu zaprzeczenie jej rewelacjom, ale nic takiego nie nastąpiło. Od aparatu telefonicznego, który trzymała w dłoni, bił arktyczny wręcz chłód.

– Mogłabyś sprecyzować? – niemal obojętnie rzuciła Stefa. – I racz powiedzieć mi to spokojnie, proszę.

Ton Stefy sprawił, że Wanda poczuła się głupio. Całe szczęście, że nie musiała patrzeć pisarce w oczy.

– Ignacy Knychalka tak naprawdę jest Erykiem Morawcem z Bydgoszczy, byłym szwagrem Fabiana Małoty.

– To znaczy, że ten facet, którego ukrywał Małota, jest jego szwagrem? – nadal spokojnym tonem zapytała Stefa.

– Byłem szwagrem. Byłem szwagrem z Bydgoszczy. I wcale go nie ukrywał, tylko chwilowo pozwolił u siebie nocować. Tak się złożyło, że przez przypadek go tam zobaczyłam i wzięłam za Knychalkę, więc chcąc przede mną uciec, musiał się od niego wyprowadzić.

Ups... Wanda ponieważś pojęła, że powiedziała zbyt dużo. Stefa nie powinna była się dowiedzieć o wyprowadzce Eryka. Jeszcze zechce go w nowym miejscu odwiedzić i osobiście sprawdzić, czy nie jest on oryginalnym pisarzem. Wandę oblał zimny pot. Z morderczyniami niewinnych staruszek nie ma to tamto!

– Wanda, nie zasypuj mnie bzdurami – zimno rzuciła Lurka. – Nieszczęśliwie dla ciebie się składa, że was razem widziałyśmy. Iwona i ja, na własne oczy. Szłaś z prawdziwym

Knychalką. Ślepe nie jesteśmy.

– Co takiego?

– A to, to! Leciałas z nim przez ulicę, bo wasz tramwaj się zepsuł. Tak swoją drogą, ładna z was para. – Zaśmiała się złośliwie.

– Widziałyście? I dobrze, że widziałyście, bo to właśnie był Eryk Morawiec!

– Eryk Morawiec, były szwagier Fabiana Małoty pochodzący z samego serca Bydgoszczy. – Stefa zaśmiała się donośnie. – Nie wiem, dlaczego kłamiesz, jaki masz w tym cel, ale bardzo mi się to nie podoba.

– Nie kłamię! To nie był Ignacy! Eryk jest ładząco do niego podobny!

– Ładząco? Hm... nie, moja droga, to był prawdziwy Ignacy, a ja nie mam pojęcia, dlaczego w tak bezczelny sposób nadal mnie okłamujesz? Co tobą powoduje? Omotałaś go i masz chętkę tylko dla siebie zatrzymać? Ale, moja droga, on należy do czytelniczek! I dlatego kategorycznie żądam, abys przestała blokować do niego dostęp i Ignacego Knychalkę udostępniła szerokiemu ogółowi społeczeństwa!

– Stefo, ależ to nie był Ignacy! Jak tu stoję, mówię, że nie był! – Wanda, gdyby rozmawiała ze Stefą twarzą w twarz, a nie telefon w telefon, byłaby gotowa paść na kolana i nawet bić się w piersi, żeby tylko pisarka jej uwierzyła.

– W tym problem, że nie widzę, czy teraz stoisz, siedzisz, czy leżysz, więc nie myśl, iż i w tej kwestii uwierzę w twoje słowa!

– Stefo...

– Nie jęcz, tylko mów, co będzie ze spotkaniem autorskim!

– Nie zgodził się. Eryk się nie zgodził, ponieważ jest Erykiem, a nie...

– Nazywaj go, jak chcesz, a dla mnie liczy się tylko to, żeby spotkanie się odbyło. I to jak najszybciej, bo twoje wypociny zniszczę jednym kliknięciem myszki!

– Wypociny! – z oburzeniem krzyknęła Wanda. – A niszczyć sobie, kasuj do woli. Niczego od ciebie nie potrzebuję i ty też niczego ode mnie już nie żądaj. Nie będzie żadnego spotkania z Ignacym, bo nikt nie wie, gdzie on przebywa, a ty nie chcesz tego przyjąć do wiadomości. Ten facet to Eryk Morawiec i tyle mam do powiedzenia!

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy teraz się rozłączać! – ostrzegawczo syknęła Stefa. – Ja z tobą jeszcze nie skończyłam!

– Więc mów, co masz do powiedzenia! – Wanda celowo podniosła na pisarkę głos. O nie! Tak niecej osoby ona szanować nie będzie!

– Jeśli nie nakłonisz Ignacego do spotkania, napiszę do „Głosu” artykuł, w którym podam w wątpliwość jego istnienie. Ale zdaje mi się, że już ci o tym mówiłam, prawda?

– Tak, mówiłaś.

– I o tobie też napiszę! Same złe rzeczy!

– A pisz! Aby zaistnieć, każdy sposób jest dobry. Pomyślałaś o tym?

Nie, Stefa nie pomyślała.

– A więc niczego o tobie nie napiszę!

– A nie pisz!

– I nie napiszę!

Wandzie już było obojętne, napisze czy nie, ale nie mogła narażać na podłe kalumnie niewinnego pisarza, który nawet nie wiedział, jaka burza się wokół niego rozpełtała. Wybitny artysta, niczego nieświadomy, zapewne tworzył gdzieś teraz przy miarowym stukocie kół, a tu toczyła się wojna. Jako altruistka Wanda na takie świństwo pozwolić nie mogła, musiała zniszczyć je w zarodku. Tylko jak to zrobić?

Stefa nie czekała, aż wydusi z Wandy deklarację spełnienia rozkazu. Rozmowę

zakończyła krótko:

– Na umówienie Knychalki daję ci trzy dni, a potem przystąpię do akcji! – Z satysfakcją się rozłączyła, wyłączyła telefon i szybko, nie patrząc na sufit, z ulgą wróciła do kuchni. Po jajecznicy nie było już najmniejszego śladu, Iwona nadal siedziała przy stole i smarowała chleb miodem.

– I jak?

– O, masz miód – z przekąsem zauważyła Stefa.

Iwona się stropiła, bo przecież kilkanaście minut wcześniej twierdziła, że oprócz jajek nic innego do jedzenia nie ma.

– Ach... taki tam stary miód. Znalazłam w szafce. Wiesz, jak to jest. Coś się gdzieś wsadzi i zapomni, że się kiedyś kupiło. – Iwona uśmiechnęła się głupio. – Ale mów, jak rozmowa!

Stefa z niezadowoleniem pokręciła głową:

– Wmawiała mi, że Ignacy to nie Ignacy!

– Coś podobnego!

– Powiedziałaś jej, żeby nie kłamała, bo ich razem widziałyśmy, a ta ciągle swoje. Że Ignacy to nie Ignacy, tylko Eryk Jakiśtam, były szwagier Fabiana Małoty.

– Co za bzdury! – Iwona oblizwała ubrudzony miodem palec.

– Właśnie. Postraszyłam ją, że napiszę do „Głosu” artykuł, w którym podam w wątpliwość istnienie Ignacego Knychalki.

– I ona się tym przejęła?

– Na pewno! Od początku wyczułam, że ona traktuje go jak guru, wzór do naśladowania i jakby przyszło co do czego, nawet własną piersią by go zasłoniła.

– Głupia jakaś...

– Właśnie, głupia. A ja to zrobię bez względu na to, czy do spotkania autorskiego dojdzie, czy nie. Załatwię go na całej linii.

– Ty to jesteś perfidna! – z podziwem rzuciła Iwona.

– Na umówienie Knychalki dałam jej trzy dni. Żebyś słyszała ten jej głosik, którym starała mi się wmówić, że Knychalka to nie Knychalka! Słuchać tego nie mogłam! Mówiła, że przez nią ten niby Eryk musiał od Małoty się wyprowadzić. Co za bzdury! Cała się gotowałam, gdy mi to wszystko do ucha wpadało. Przecież ty też widziałas, że z nim, tym Knychalką szła, prawda?

Iwona spojrzała na nią z namysłem. Coś jej się przypomniało.

– Ten facet na Cytadeli...

– Jaki facet? – zapytała Stefa. Iwona zbyt często mądrej miny nie miewała, więc Stefa, widząc skupienie na jej twarzy, bardzo zainteresowała się jego przyczyną.

– A może jednak to nie był Knychalka?

Nie, ta Iwona jednak nic mądrego powiedzieć nie mogła.

– Czy wyście razem na głowę upadły?

Iwonie zbagatelizowana wcześniej informacja teraz wydała się szalenie ważna. To nie mógł być przypadek, że ona również spotkała sobowtóra Ignacego. A teraz Wanda, niemal bijąc się w piersi, zaklinała się, że rzeczony Ignacy to jednak nie Ignacy i na dodatek wyprowadził się od Małoty!

– Słuchaj, tego dnia, kiedy rzucił cię Bartosz, podczas biegnięcia po Cytadeli natknęłam się na faceta z podkaszarką...

– Z podkaszarką, powiadasz? Ciekawe, wręcz pasjonujące! – parsknęła śmiechem Stefa.

– Poczekaj, jeszcze nie skończyłam. Przecież mówiłam ci, że facet ten był łudzaco

podobny do Knychalki... Może zatrudnił się w zieleni? Bo to wiesz, co w głowie wybitnych pisarzy siedzi?

Stefa zaśmiała się pogardliwie.

– Knychalka zatrudnił się w zieleni miejskiej? Bzdura jakaś. Wanda szła z prawdziwym Knychalką, a jeśli Knychalka był prawdziwy, to w żadnym wypadku nie mógł się zatrudnić w jakiejś miejskiej zieleni. Wiesz, na czym polega twój problem? Twoje głupie myślenie ma przełożenie nie tylko na naszą rozmowę, ale również na pisanie! Gdybyś mądrzej główkowała, na rynku wydawniczym miałbyś tak samo mocną pozycję, jaką ja mam!

Słowa Lurki bardzo Cieciorkę zabolowały. Owszem, Stefa była zdecydowanie lepszą od niej pisarką i Iwona bezskutecznie starała się jej dorównać, ale wytykanie, że słabo pracuje głową, to był cios poniżej pasa. Stefa tak przykre słowa mogła zachować dla siebie.

– Nie oszczędzasz mnie – zauważyła Iwona z obrażoną miną.

– Robię to dla twojego dobra. Prawdziwy przyjaciel nie bawi się w kadzenie, tylko mówi szczerą prawdę.

– Czyli dla mojego dobra tak mówisz...

– Owszem.

– Hm... – Wyglądało na to, że Iwona przełknęła już niemiłe słowa i ponownie ufnie dała się otoczyć rzekomo życzliwą opieką swej wybitnej przyjaciółki.

Stefa tymczasem z marsową miną błędziła myślami po tylko sobie wiadomych ścieżkach. W końcu się odezwała:

– Musimy spotkać się z tym Erykiem. Może to Knychalka, a może Małota sobowtóra podstawił? Och! Jeśli trzeba będzie, ukatrupię wszystkich jego sobowtórów, a ty mi w tym pomożesz!

Iwona nie odpowiedziała. Branie udziału w kolejnych morderstwach jej się nie uśmiechało. Wprawy w tym procederze nie posiadała, a po falstarcie z kosiarką nie miała ochoty jej nabywać. Bartosz na pewno sprawę rozdmucha, z kosiarki zostaną zdjęte odciski palców, w wyniku czego Iwona trafi do pudła. Ale nim tam trafi, Stefa na pewno każe jej pomóc wytłuc wszystkich mężczyzn podobnych do tego cholernego Knychalki. Jakiegoż pecha ten pisarz im przynosi! Ale przecież Stefie się nie odmawia. Na taką znajomość należy chuchać, dmuchać i z całej siły trzymać się jej wszystkimi członkami.

– Mówisz, że dałaś jej trzy dni?

– Tak.

– Powiedziała, że zdąży?

– Nie wiem, co miała do powiedzenia, bo na wypadek protestów rozłączyłam się i wyłączyłam telefon.

Iwona dokończyła kanapkę z miodem i podeszła do lodówki, aby nalać sobie szklankę mleka. Sprawa z Knychalką wymagała ostatecznego załatwienia i dobrze by było, aby Wanda uwinęła się w czasie wyznaczonym przez Stefę. Może trzeba ją nieco popędzić. Przydusić.

– Stefa, a może by ją trochę postraszyć?

– Kogo?

– Tę Wandę. Wywieranie nacisku przez telefon nie działa tak dobrze jak przyduszanie na żywo. Dała ci swój adres?

– Tak, mam w mejlu, w którym przysłała tę swoją grafomanię. Mieszka gdzieś przy Starym Rynku.

– Idźmy więc do niej. Rozmowa oko w oko bardziej w pamięć jej zapadnie. – Iwona uśmiechnęła się złowrogo, odstawiała szklankę na szafkę i uderzyła pięścią w otwartą dłoń. Stefa popatrzyła na nią ze szczerym uznaniem. Odkąd ją znała, Iwona nigdy nie wykazała się taką

błyskotliwością umysłu. Stefę nieco to zaniepokoiło, bo jeśli był to początek procesu, który miał podlegać dalszej ewolucji, Iwona być może za kilka lat zacznie pisać równie dobre książki jak ona, a może nawet lepsze. Teraz jednak Stefa przyznała jej rację – Wandę należało do pracy zdopingować. Sprawdziła w laptopie jej adres, wyszły przed kamienicę i ruszyły w kierunku przystanku. Stefa obejrzała się za siebie, na kubły ze śmieciami. Wydało jej się, że coś się tam poruszyło, ale pewności, że to była Mela, nie miała.



Wanda z przerażeniem wpatrywała się w trzymany w dłoni aparat telefoniczny. Jak miała umówić prawdziwego Knychałkę na jakiegokolwiek spotkanie, skoro nie znała miejsca jego pobytu?

– Już skończyłaś? – Eryk zajrzał do kuchni. – Nie chciałem przeszkadzać, bo rozmawiałaś przez telefon.

Włożył do zlewu przyniesione z pokoju szklanki i talerzyki, co Wanda przyjęła z wdzięcznością i odczytała jako nikły promyk nadziei zwiastujący, że ten facet może kiedyś swojej kobiecie coś ugotuje. A właśnie... Ciekawe, czy kogoś miał? Zresztą niepotrzebnie zadawała sobie takie pytanie, bo niby do czego miała być jej potrzebna ta wiedza?

– Jakiś problem?

Skinęła głową. Usiadł obok niej. Było jej tak bardzo, bardzo żal Bogu ducha winnego Ignacego Knychałki, na którego niczym harpie czyhały dwie poznańskie pisarki, że do oczu napłynęły jej łzy i po chwili wahania obficie potoczyły się po twarzy. Eryk już kiedyś widział Wandę w stanie rozrzewnienia i tak jak za pierwszym razem, teraz również jej mokre policzki odcisnęły w jego psychice mocne piętno. Wyciągnął rękę i pogłaskał kobietę po głowie, co skwitowała pełnym wdzięczności uśmiechem. A może on nikogo nie ma? – przemknęło jej przez myśl. Przynurła się do niego i streściła rozmowę z Lurką.

– Żle to wygląda – skwitował.

– Co robimy? Och, biedny Ignacy... i ty też jesteś biedny, bo przecież taki do niego podobny...

– O mnie się nie martw. Ale jedno jest pewne, nam z pewnością nie uda się go odnaleźć. Szkoda, bo dobrze by było go ostrzec, że musi na siebie uważać.

– A Małota nam nie pomoże?

– Na pewno ma na niego jakiś zamiar, ale nie sądzę, aby go nam ujawnił. – Eryk podrapał się po głowie.

– Małota niczego zdradzać nam nie musi – powiedziała. – Jedyne, co musi zrobić, to powiadomić Ignacego o grożącym mu niebezpieczeństwie. I myślę, że i on sam również powinien mieć się na baczności, bo słowa Stefy brzmiały naprawdę złowrogo!

– Zaraz do niego zadzwonię. – Eryk rozejrzał się po kuchni.

– Telefon zostawiłeś w pokoju. Na stoliku – odpowiedziała Wanda.

– Racja.

Wyszedł, a Wanda zajęła się myciem naczyń. Po krótkiej chwili Eryk wrócił. Minę miał niezadowoloną i obgryzał paznokieć kciuka.

– Coś nie tak? – Wanda wytarła ręce w ściereczkę.

– Fabian nie chciał przyjąć do wiadomości, że Knychałce grozi niebezpieczeństwo. A już to, że ewentualną krzywdę mogłyby mu zrobić te dwie pisarki, w ogóle wyśmiał. No i na końcu oczywiście powiedział, że nie...

– ...nie wie, gdzie jest Ignacy oraz nie ma do niego żadnego kontaktu. Tere-fere! – zakończyła Wanda.

- Otóż to. Tere-fere...
- I co robimy?
- Nie wiem.
- Może do niego pojedziemy?
- Znowu? Niezbyt mam na to ochotę. Już jedną bezsensowną podróż do Lubonia

odbyliśmy.

– Chyba nie ma wyjścia. Jeśli znów do niego zadzwonię, to się wyłączy, a z domu łatwo nas nie wyrzuci. Będzie musiał wysłuchać.

Wanda zerknęła za okno. Słońce już zachodziło, wieczór zapowiadał się piękny, ale jego niewątpliwy urok nie usprawiedliwiał tak późnych wizyt. Z drugiej strony sprawa była naprawdę poważna i wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że niecierpiąca zwłoki.

– Dobrze, jedźmy do niego.



– To chyba tutaj – powiedziała Iwona, zatrzymała się przy wejściu do kamienicy i z obawą zerknęła na uchylone drzwi. Ktoś niedawno tamtędy przechodził, bo na klatce jeszcze świeciło się światło.

– Tak, na pewno.

Światło zgasło, a Iwona drgnęła nerwowo.

– Idź pierwsza – szepnęła.

– Nie, ty idź. To był twój pomysł – powiedziała Stefa, ale nagle wydało jej się śmieszne, że przekomarzają się jak przedszkolaki. Bo czy było czego się obawiać? Ruszyła przodem, namacała włącznik, nacisnęła go i pewnym krokiem skierowała się na schody.

Ze wstrętem zmarszczyła nos, bo poczuła ostry zapach moczu. Jak to dobrze, że nigdy nie musiała mieszkać w kamienicy lub bloku, za ścianą mieć sąsiadów, których dzieciaki darłyby się po nocach, a psy i koty obsikiwały wszystkie kąty. Nie wyobrażała sobie, że miałyby dzielić się z nimi nie tylko klatką schodową, ale i częściowo swoim życiem, bo wiele jego aspektów na pewno nie uszłoby ich czujnej uwagi. Myśli, że po rozwodzie zapewne będzie musiała opuścić willę przy alei Wielkopolskiej, w ogóle do siebie nie dopuszczała. Była gotowa powiększyć swoje niemałe zadłużenie, by wynająć świetnego prawnika i zaważać o lokum, bez którego nie wyobrażała sobie dalszego życia. Stare drewniane schody zaskrzypiały pod krokami, a chybocząca się poręcz sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się urwać i runąć w dół, ciągnąc za sobą trzymającą ją osobę. Czy Lurka mogłaby na co dzień znieść tak zdemolowaną poręcz? O nie, z pewnością by tego nie zdzierzyła! Prędzej umrze, trupem padnie, niż da się usunąć z willi!

– Nie możesz iść ciszej? – szepnęła Iwona.

– Po co? – Stefa nie kryła rozdrażnienia. W tym okropnym miejscu nawet pękniętą szybę w oknie załatano kawałkiem gazety.

– Żeby nas nie zobaczył jakiś ciekawski sąsiad lub znudzona sąsiadka.

– A niech widzą, przecież mordować nie idziemy.

Iwona się wzdrygnęła.

– Pewnie, że nie!

– Przynajmniej jeszcze nie tym razem, prawda? – Stefa uśmiechnęła się półgębkiem, a Iwona pożałowała, że nieopatrznie uwagą wzbudziła w przyjaciółce mordercze żądze. Czy ona nigdy nie będzie mieć dosyć? Bo Iwona już miała.

– To będzie tutaj. – Stefa zatrzymała się przed solidnie wyglądającymi drzwiami wykonanymi z litego drewna. Przynajmniej one były przyzwoite. – Pukaj! – poleciła Iwonie.

– Nie lepiej zadzwonić? – Iwona cofnęła się trzy kroki.

– Jeśli na ścianie widzisz dzwonek, dzwoń. – Stefa zgrzytnęła zębami.

– Zasadniczo... – Iwona zlustrowała ścianę pomalowaną farbą na brzydki, nieokreślony kolor idealnie pasujący do unoszącego się wokół zapachu – zasadniczo chyba faktycznie nie ma tu żadnego dzwonka... Ty pukaj!

Stefa nie mogła już dłużej Iwony ani słuchać, ani tym bardziej na nią patrzeć. Jej pomysł z osobistym rozmówieniem się z Wandą był świetny, ale to, co teraz wyprawiała, było dla Stefy kompletnie niezrozumiałe. Przyjaciółka najwidoczniej zdolna była tylko do tego jednego, w dodatku krótkiego, przebłysku geniuszu, a dalszą realizacją przedstawionego pomysłu musiała już się zająć Stefa. Może to i dobrze, pomyślała, przynajmniej mam pewność, że ta kretyńska w pisaniu nigdy mnie nie prześcignie. Nie ma takiej możliwości, żeby jedno genialne zdanie z byle gniota uczyniło bestseller.

Stefa zdecydowanie zastukała do drzwi.



Norbas leżał w łóżku i trzymał w ręce kryminał Karin Slaughter. *Moje śliczne Iza* wypożyczyła z myślą o sobie, ale umieszczone na okładce krótkie streszczenie tak Norbasa zaintrygowało, że uzurpował sobie prawo do pierwszego przeczytania tej książki. Dzień wcześniej pochłaniał ją z wielką ochotą, ale teraz akcja już go nie porywała. Gapił się bezmyślnie w na chybił trafił otwartą stronę. Pół godziny wcześniej bardzo się z Izą pokłócili, a właściwie to ona pierwsza na niego nawrzeszczała, a potem oznajmiła, że idzie do łazienki zrobić zaległe pranie, trzasnęła najpierw drzwiami do pokoju, a potem do łazienki, w wyniku czego sąsiadka z dołu natychmiast zapragnęła pożyczyć od nich szklankę cukru. Norbas wcisnął starszej pani całą torebkę, a gdy ta zbyt nachalnie napierała ciałem na drzwi, by rzucić ciekawskim okiem, czy aby w korytarzyku nie widać śladów krwawej walki, wypchnął ją na klatkę. Nie cierpiał tego rudego grubego babska od chwili, gdy ta, zorientowawszy się, że Norbas pomieszkuje u Izy, rzuciła któregoś dnia na jego widok:

– Jednak ze względu na niebezpieczeństwo wszeteczeństwa niechaj każdy ma swoją żonę i każda niechaj ma własnego męża. Bez ślubu ze sobą żyjecie, co? – dodała. Nic jej wtedy nie odpowiedział, zgrzytnął zębami, złapał za poręcz i przeskakując po dwa schody, poleciał do Izy. Miło mu się u niej mieszkalo, tym milej, że jej ciotka wyniosła się do swojej koleżanki, więc czuł się niemal, jakby był jej mężem. Ale niestety nim nie był, a ruda gruba bezlitośnie mu to wytknęła! Ale do czorta z babą! Teraz miał na głowie ważniejsze sprawy. Izka... Ile czasu mogło jej zająć robienie prania? Przecież nie prała w rękach. Jej ciotka miała najnowszego boscha, a nie byle praleczkę Franię, wymagającą uwagi i nadzoru piorącej osoby. A ta Izka wciąż tam siedziała! Przystanął pod drzwiami łazienki i cicho zastukał, ale słysząc tym razem niecenzuralne złorzeczenia swojej dziewczyny, wrócił do pokoju, rzucił się na łóżko i sięgnął po książkę. Sądził, że czytanie go uspokoi, ale nic z tego, jego myśli ciągle wracały do ataku, jaki przypuściła na niego ukochana kobieta. Iza nie miała prawa tak do niego mówić! Obarczyła go odpowiedzialnością za wyprowadzenie się ciotki Wandy, nazwała go pasożytem społecznym, bezmyślnym intruzem oraz zachłannym pożeraczem cudzego prowiantu. Co w nią wstąpiło? Do tej pory była słodka jak miód, a dziś jakby piorun w nią strzelił. Przecież dla jej ciotki był miły, wynosił śmieci (no, miał taki zamiar, ale Izka zawsze go ubiegła). Ponadto ostatnio dorzucił się do zakupów i nawet odkupił Wandzie kilka produktów, które wypatrzył wciśnięte w głąb szafki i nieopatrznie spożył, a dokładnie wryły mu się w pamięć, bo jak wymyślną miały nazwę, tak paskudnie smakowały. Rzucił mu się ten badziew w oczy podczas wczorajszych zakupów, gdy przez pomyłkę zawędrował w okolice półki ze zdrową żywnością. Jedno spojrzenie na słoik

z paszтетem sojowym sprawiło, że odczuł znajome mdłości. Zauważywszy, ile to to kosztuje, najpierw oniemiał, potem jednak wrzucił do koszyka. Gdyby wiedział, jak kosztowne produkty spożywa szanowna cioteczka jego Izuni, nigdy by po nie ręki nie wyciągnął. A że człowiekiem był honorowym, dokładnie przepatrzył całą półkę ze zdrową żywnością i odszukał dziwy, które tak bezmyślnie był Wandzie pożarł. Nie wiedział przy tym, że niemal wszystkie jedzone przez niego dziwactwa spożywcze były przeterminowane, ponieważ Wanda zakupiła je wiele miesięcy wcześniej pod wpływem kolejnej chwilowej decyzji o przestawieniu się na zdrowe odżywianie. Wydał więc na nie wszystkie swoje zaskórniaki i nie mógł ni w ząb pojąć, że Izka najpierw bardzo go za to pochwaliła, wycalowała nawet, słodka była jak miód, a teraz odstawiła taki cyrk, jakby samego diabła za skórą chowała! A przecież on, Norbas, nie zrobił niczego, zupełnie niczego, czym mógłby sobie zasłużyć na ten jej wybuch! Trzasnął książką o łózko, potem pięścią trzasnął w książkę i czując, że nadmiar negatywnej energii zaczyna w nim niebezpiecznie buzować, zerwał się na równe nogi i zaczął boksować powietrze. Żałował, że opuścił ostatnie treningi na siłowni i nadal tnąc pięściami pustkę, rozmyślał, że gdyby pora nie była tak późna, natychmiast by się tam wybrał. Ale nie... Miałby zostawić Izkę samą? Najrozsądniej było znajdować się w pobliżu, na wypadek gdyby wpadła na jakiś dziwny pomysł. Nie miał pojęcia, co to miałyby być – na kobiecych fochach się nie znał, bo jego dotychczasowe związki kończyły się szybciej, niż zaczynały. Raz, dwa, trzy! Walił przed siebie zwiniętymi w kułak dłońmi, gdy usłyszał głośne pukanie. Gruba ruda! – natychmiast przyszło mu na myśl. Dzikimi susami dopadł drzwi i z impetem je otworzył. Ale zamiast jednej ujrzał dwie obce mu kobiety – jedną czarną, a drugą blond. Ta czarna ze względu na staranne uczesanie i nobliwe odzienie skojarzyła mu się z przedwojenną paniusią, ba, arystokratką niemal, a blondyna, chyba z powodu rozczochranych włosów i nonszalancko założonej koszuli – ze sprzątaczką. Kobiety na jego widok oniemiały i wymieniły zdziwione spojrzenia.

– Dobry wieczór, czy tutaj mieszka Wanda Rzążewska? – wyniosłym tonem zapytała czarna.

– Owszem, mieszka. – Powiódł po nich zaciekawionym wzrokiem.

– A pan?...

– Ja co?

– Również tu mieszka?

– Chwilowo tak.

Blondyna lekko szturchnęła czarną, ta syknęła i odsunęła się od niej na pół kroku. Obie wyglądały na takie, które ciekawość może zżerać, spalać i wręcz spopielać, ale żadna nie pokwapi się z jasnym pytaniem, kim on dla niej, Wandy Rzążewskiej, właściwie jest. Norbas od razu to zauważył, ale nie miał zamiaru niczego im ułatwiać. Baby były obce, wzbudziły w nim niechęć, a poza tym wściekłość jeszcze z niego nie uleciała i chętnie by komuś przyłożył. Niech sobie stoją i mędrkują, on miał czas. Izka nadal siedziała w łazience, czytanie dziś go nie bawiło, telewizja również, niech więc stoją, głupie kwoki. Ale ta czarna, Norbas musiał przyznać, że sprytnie to sobie wymyśliła, uciekła się do podstępu:

– Czy mógłby pan mamusię na chwilę tutaj poprosić?

Norbas odchrząknął.

– To nie jest moja mamusia.

– Więc ciocię.

– Ciocią również nie jest.

– Kuzynką? – Blondyna nerwowo zachichotała.

– Nie jest również kuzynką. Ani siostrą rodzoną, ani przyrodnią, ani nawet bratem!

– Och... – Czarna ochnęła i znów wymieniły z blondyną szybkie, wyrażające

politowanie spojrzenia. Blondyna zachichotała głupio i zasłoniła dłonią usta. Norbas może i nie miał studiów, ale maturę zdał całkiem nieźle, dużo czytał i czasem chodził do teatru, więc ostatnim głębem nie był i w lot zrozumiał, co te dwie sobie pomyślały – że on i Wanda są parą! I o to mu chodziło! Ha! Niech się krzywią z niesmakiem, niech sobie kombinują w tych makówkach, co tylko chcą, on z błędu wyprowadzać ich nie będzie.

– Czy możemy ją na chwilę prosić? Chcemy porozmawiać.

– Nie, nie mogą panie. Właśnie weszła do wanny.

– Och... – Tym razem ochnięcie wydała z siebie blondyna.

– Nie ma co ochać. Proszę przyjść za godzinę lub dwie, bo właśnie miałem zamiar jej w tej kąpielii potowarzyszyć. Albo nie, najlepiej niech panie przyjdą jutro, bo już późno.

Blondyna dokładnie zlustrowała jego sylwetkę. Widząc to, Norbas celowo napiął mięśnie.

– Ale to jest bardzo ważne. Przed chwilą rozmawiałam z nią przez telefon i chciałybyśmy jeszcze nawiązać do omawianej wcześniej sprawy.

– Nie.

– Ale... – ćwierknęła blondyna.

– Nie!

– Panie! – Gdyby oczy potrafiły ciskać gromy, Norbas pod wpływem spojrzenia czarnuli rozpadłby się na dwie niekoniecznie równe części. – Niech nam pan nie utrudnia, bo my tu nie z byle duperelą przychodzimy!

– Z duperelą czy nie, ja Wandeczce przeszkadzać nie będę.

– Wandeczce... – z podziwem powtórzyła blondyna.

– Tak, Wandeczce, a co? Obiekcje jakieś?

– Właściwie to ile ma pan lat?

– No właśnie, ile? – jak echo powtórzyła blondyna.

Norbas nie pokwapił się z odpowiedzią. Widziały przecież, że sporo był od niej młodszy, więc niech im to wystarczy. W szczególności wdawać się nie będzie, niech myślą.

– Cyfra jest nieważna, przecież to widać, że ona jest dla niego za stara! – głosem pełnym oburzenia zakrzyknęła blondyna.

– Za stara?... – Norbas uniósł brwi. Był wdzięczny Wandzie, że usunęła się z kawalerki, dzięki czemu do dzisiejszego wieczoru spędził z Izką naprawdę miłe chwile, ale nawet gdyby tego nie zrobiła, i tak by ją lubił, bo Wanda była jedną z nielicznych osób, do których Norbas poczuł sympatię już w chwili poznania.

– A nie?

– A tak? – Norbas zacisnął pięści i zrobił w jej kierunku dwa kroki. Blondyna schowała się za czarną.

– Niech się pan nie oburza, Iwona tylko stwierdziła fakt, który widać gołym okiem. Naprawdę nie wiem, po co od razu pięści pokazywać?

– Że tak zapytam, jakie ma pan wykształcenie? – zza pleców czarnej rzuciła blondyna. – Bo Wanda chyba ma jakieś studia. Stefa, czy ona jakieś studia skończyła?

– Nie wiem, ale zapisała tekstem całą ryzę, więc aż taka głupia nie jest.

– Otóż to! Przed tak pracowitą osobą należy chylić czoło choćby i za samozaparcie. A pan? Czym pan się zajmuje, że tak zapytam?

To oczywiście, że Norbas jej ciekawości zaspokajać nie zamierzał, tym bardziej że w wypowiedzi czarnej coś dało mu do myślenia – Wanda zapisała całą ryzę? Natychmiast przypomniał sobie tego faceta, wydawcę chyba, wymachującego mu przed nosem jakimiś papierami. Och, co to był za wstrętny typek! Przydałby się mu teraz, gdy pięści wciąż go

świerzbily. Wywaliliby panu Nerwowemu w pysk dwa szybkie i z przyjemnością spuścił z tych skrzypiących schodów! Ale te dwie skąd o tej ryzie wiedziały? Kim były?

– Cała ryza! Wyobraża sobie pan, panie Biceps?! Pana dziewczyna zabazgrała głupotami całą ryzę papieru! – Blondyna zachichotała piskliwie. Co za obrzydliwy śmiech miała! Norbas nie mógł go słuchać. Czuł, jak buzują w nim emocje i niczym para z czajnika uchodzą przez uszy. Jeśli ta rozczochrana blondi się nie zamknie, zaraz zacznie gwizdać albo zrobi coś o wiele gorszego.

– A wy to kim w ogóle jesteście, co?! – Potrząsnął pięściami.

– Mamy podać panu nazwiska?

– Chociażby!

– Po co? – Iwona zwróciła się do Lurki. – Stefa, on nas nigdy nie skojarzy. To widać, że typek książek nie czyta. I nie wiem nawet, czy się orientuje, do czego one służą!

– Iwona, nie przesadzaj – ostrzegawczo szepnęła czarna, a głośno, z wyraźną dumą dodała: – Jesteśmy pisarkami!

Pisarki! Norbasem wstrząsnęła wewnętrzna erupcja złych emocji. Najpierw wydawca-awanturник, a teraz dwie pisarki, które brakiem kultury nie ustępowały spotkanemu wcześniej typkowi. Czy oni wszyscy, wydawcy i pisarze, są tacy nieokrzesani? Jeśli tak, Norbas żadnej książki do ręki więcej nie weźmie. Chamstwa wspierać nie będzie!

– Jesteście pisarkami...

– Tak! – pisnęła blondyna. – Nie byle kim, bo poznańskimi pisarkami!

Poznańskie pisarki, poznański wydawca... chociaż co do tego drugiego nie miał pewności, czy ten również z Poznania pochodził, ale zapewne z Wielkopolski. Tak jak i Norbas. Co za poruta!

Nie, gadać z nimi już nie miał ochoty.

– W takim razie żegnam obie panie pisareczki. Nie jestem godzien toczyć z wami rozmowy – zakpił i zrobił krok w kierunku drzwi.

– Zaraz, panie Biceps! – Blondyna wyskoczyła zza koleżanki i chwyciła go za rękę. Norbas strząsnął ją bez wysiłku.

– Auć! – jęknęła i ostentacyjnie zaczęła masować sobie dłoń.

– Niech pan poprosi tu Wandę, bo siłą się wedrzemy! – ostro rzuciła czarna.

– Spróbujcie tylko!

– Żeby pan wiedział, że spróbujemy! – zawołała blondyna i błyskawicznie natarła na Norbasa, a w jej ślady natychmiast poszła czarna. Norbas, jak żył, z taką sytuacją do czynienia nigdy nie miał – żeby baby rzucały się do bójki? Bić się lubił i potrafił, ale kobiety nigdy nie uderzył i mimo że w pięściach nadal czuł mrowienie, nie zamierzał od tej zasady odstępować. Musiał jednak jakoś te baby powstrzymać, a że z pewnością żadnej jego przemowy słuchać nie zamierzały, zwinnym ruchem chwycił każdą za głowę – blondynę lewą ręką, a czarną prawą i lekko, z przyjemnością puknął nimi o siebie. Gdyby trzymał w rękach męskie głowy, zrobiłby to mocno, jak na prawdziwego faceta przystało, dbając, aby obu panom po stuknięciu na głowach wyrosły wspaniałe śliwy, ale że teraz z mężczyznami do czynienia nie miał, stuknięcie, którego się dopuścił, miało wymiar symboliczny i ostrzegawczy.

– Rany boskie, łeb mi rozbił! – wrzasnęła blondyna, a czarna, bardziej z oszołomienia niż od ciosu, zatoczyła się na ścianę. Mocno dostała, ale mimo to jej nobliwy kok uległ destrukcji, wyglądała więc, jakby oberwała bardziej niż koleżanka. Z dołu klatki schodowej doszedł go odgłos otwieranych drzwi. To na pewno ruda gruba, pomyślał Norbas. Tym razem wykazała się dość spóźnionym refleksem. Choćby ze względu na nią należało skończyć wreszcie to spotkanie. Tupnął nogą najpierw na czarną, potem zrobił złą minę i udał, że rusza w stronę

blondyny. Niczego więcej robić nie musiał, bo obie poznańskie pisarki zrobiły odwrót w kierunku schodów i pobięły w dół z głośnym tupotem. Norbas otrzepał ręce, z zadowoleniem stwierdził, że świerzbie nie ustąpiło, i wrócił do kawalerki. Zamknął za sobą drzwi i przystanął przed łazienką. Izka żadnego głosu z siebie nie wydawała, co mogło oznaczać tyle, że albo nerwy już ją puściły, albo zasnęła. A co, jeśli do wanny wlała i tam sen ją zmorzył?! A jeśli do tego wody sobie wlała?! Norbas rozpaczliwie załomotał w drzwi. Iza wprawdzie nie odpowiedziała, ale z ulgą usłyszał szczęknięcie zamka i po chwili jego dziewczyna ze spuszczoną głową wyszła na korytarzyk.

– Żyjesz, Izka! Ty żyjesz! – Norbas złapał ją w pasie i podniósł. Iza, unikając jego spojrzenia, zasłoniła twarz włosami i cichutko zapytała:

– Gniewasz się na mnie?

Nie, nie gniewał się, ale jej nagły atak nadal pozostawał dla niego zagadką. Przytulił ją do siebie, bo w tej chwili najważniejsze było, że się w tej wannie nie utopiła.

– Przepraszam... – szepnęła. – Przed okresem zawsze mam takie napady. – Uśmiechnęła się nieśmiało.

Norbasowi przemknęło przez głowę, że powinien zadzwonić do Wandy i poinformować ją o wizycie dwóch koszmarnych pisarek, ale słodki uścisk Izy spowodował, że ta myśl natychmiast zgasła i oddaliła się od niego, bo cóż może być ważniejszego od towarzystwa ukochanej, będącej już w dodatku w dobrym humorze dziewczyny?



Stefa zawsze powtarzała, że Poznań jest najpiękniejszym miastem w Polsce, a jej osąd nie był wynikiem jedynie lokalnego patriotyzmu, bowiem odbywając spotkania autorskie w całym kraju, wielokrotnie miała okazję do porównań i za każdym razem jej miasto wypadło lepiej niż inne miejscowości. W normalnych okolicznościach tego sobotniego majowego wieczoru zachwyciłaby się jego majestatycznym pięknem, ale dzisiejsze okoliczności do normalnych nie należały. Pisarka była oszołomiona gwałtownym przebiegiem niefortunnej wizyty u Wandy i w duchu pomostowała na towarzyszącą jej Iwonę. To był jej pomysł, aby udać się do tej pretendującej do miana pisarki miernoty i tam starać się wywierać na nią wpływ! Lurka nie pamiętała bądź nie chciała pamiętać, że sama niezwykle ochoczo przyklasnęła tej propozycji i Iwona wcale siłą jej nie ciągnęła.

Zaciskała pięści i złowrogo zerknęła na siąkającą nosem Cieciorkę. Od chwili sromotnej ucieczki z kamienicy przy Wielkiej nie zamieniły ze sobą ani słowa. Iwona nadal trzęsła się na całym ciele i broda jej mocno drgała, co nie uszło uwagi Lurki i dało jej nikłą satysfakcję. Niech drży! Niech się trzęsie! – myślała mściwie i w wypielęgnowane dłonie niemal do krwi wbijała paznokcie pociągnięte lakierem w subtelnym odcieniu różu. Co dziwne, im bardziej oddalały się od miejsca porażki, tym większa złość w niej narastała. I była to złość skierowana ku Iwonie. Z każdą chwilą potrzeba dopieczenia jej do żywego była coraz silniejsza, ale nie, wcale nie miała zamiaru robić jej przykrych wymówek bądź zarzucać pretensjami. O, co to, to nie! Lurka, niczym narkoman na głodzie, czuła gwałtowną, natychmiastową chęć napisania o Iwonie jakiegoś paskudztwa. Oczywiście jako Dziunia W., czyli na swym prowadzonym w tajemnicy blogu. Ale jak to zrobić, jeśli Iwona – co w końcu nie było dziwne, bo Stefa u niej miała nocować – towarzyszyła jej niczym cień? Bezwzględnie musiała się na krótki czas jej pozbyć.

– Nie czuję się zbyt dobrze – stęknęła cienkim głosem, gdy znalazły się w pobliżu mieszkania Iwony.

– A mnie w piersiach gniecie – odpowiedziała Cieciorka.

Stefa przystanąła. Nie takich słów oczekiwała. Liczyła, że jej skarga wzbudzi w Iwonie

nie tylko niepokój, ale również chęć zaopiekowania się przyjaciółką.

– Ale mnie jest gorzej niż tobie.

– Skąd wiesz, że tobie gorzej? – Iwona zapytała zaczepnym tonem.

Tak, Iwone należał się wyjątkowo obrzydliwy wpis!

– Bo czuję, że jestem blada, a twoja twarz wygląda całkiem normalnie.

– Może i wygląda, ale w piersiach naprawdę mnie gniecie.

– Mnie bardziej.

– Przecież ty mówiłaś tylko tyle, że nie czujesz się zbyt dobrze, a nie, że cię gniecie.

O gnieceniu ja pierwsza powiedziałam!

Stefa obrzuciła ją nienawistnym spojrzeniem. Nie, dyskusja o tym, kogo gniecie, a kogo nie, nie miała najmniejszego sensu.

– Skoro tak, może idź do apteki i kup coś na uspokojenie – zaproponowała. – Takie gniecenie w piersiach z reguły powodowane jest przez nerwy.

– Nerwy, mówisz?

– Pewnie. Idź i coś kup, a ja w tym czasie przygotuję ci kąpiel.

– Jeśli to są nerwy, w domu coś na nie znajdę. – Cieciora westchnęła. – Przez tego wrednego bloga na uspokojenie zgromadziłam całą szafkę lekarstw.

Stefie zupełnie wyleciało z głowy, że przecież sama namówiła Iwonę na wizyty u psychiatry i nakłaniała do łykania rozmaitych medykamentów. Jak więc się jej teraz pozbyć? W głowie miała niemal gotowy tekst, którym chciała ją sponiewierać, i potrzebowała tylko kilku minut, by umieścić go na blogu. Tylko i aż kilka minut!

– A może to jednak nie nerwy? – rzuciła z udawaną troską.

– Tak? A co?

Chciała postraszyć ją zawałem, ale ugryzła się w język, bo Iwone zapewne natychmiast przysłoby do głowy dzwonić po pogotowie i jeszcze gotowa była zmusić ją do towarzyszenia w drodze do szpitala oraz podczas wszelkich ewentualnych badań.

– Nie wiem, ale najlepiej skocz do apteki i pokaż się farmaceucie, niech ci coś poleci.

– Farmaceute? Po co? Przecież to nie lekarz. Farmaceuty są od sprzedawania leków, a nie od stawiania diagnoz.

Stefie nie spodobała się ta odpowiedź. Gdzie się podziały jej pomysły?! Miała w głowie jedynie złośliwy i paskudny tekst na temat Iwony, ale za żadne skarby świata nie potrafiła się jej pozbyć, a obsmarować ją na blogu musiała natychmiast, bo jeśli tego nie zrobi, dostanie szału i własnoręcznie tę kretynkę na śmierć zadusi!

– Wiesz, co myślę?

Stefa wcale nie była zainteresowana tym, co myśli Iwona, i dlatego jej nie odpowiedziała.

– My nie potrzebujemy żadnych lekarstw, tylko wina. Mam w domu dwie butelki czerwonego półsłodkiego, na pewno nam pomoże.

Wino sprawiało, że Lurka z większym optymizmem patrzyła na świat, ale teraz nie tego pragnęła. Iwona wzięła ją pod ramię i pociągnęła w kierunku wejścia do bramy.

– Zobaczysz, zaraz nastrój nam się polepszy.

– A kotka? – Stefie nagle się przypomniało, że przecież po podwórzu pętała się Mela.

– Co kotka?

– Nie zawołasz jej do domu?

– Po co? Noc jest piękna, niech się poszwenda.

– Nie boisz się, że koncert urządzi i sąsiadów pobudzi? Sama mówiłaś, że jest wredna i do największej złośliwości zdolna. Imprezę nam zepsuje.

– Wiesz co, ty to masz łeb! Mela! Melka! – zawołała cicho Iwona.

– Ostatnio łąziła przy śmietnikach – podsunęła jej Stefa. – To ty jej poszukaj, ja idę do środka, bo chłodno się robi. Daj klucze.

Iwona została na podwórzu, a tymczasem Stefa pobiegła do mieszkania. Aby dodać sobie odwagi, wszędzie zapaliła światła, bo strach obleciał ją u samego progu. Ostatecznie była tu zupełnie sama i w dodatku wieczorem. Żądza napisania czegoś podłego o Iwonie była jednak tak silna, że nic nie mogło jej powstrzymać. Szkoda jej było nawet czasu na rozpakowywanie i odpalanie swojego laptopa. Zerknęła do pokoju świętej pamięci babci Frani. Podłączony do prądu otwarty laptop Iwony stał na stoliku. Wzięła głęboki wdech, policzyła do trzech i wparowała do pokoju zmarłej. Oczywiście nikogo ani niczego, co mogłoby ją przerazić, tam nie było, ale wybujała wyobraźnia szeptała jej cichym głosem, że pod sufitem krążą eteryczne paprochy. Nie patrząc w górę, podbiegła do okna i wyjrzała na podwórze – Iwona, w poszukiwaniu Meli, zaglądała za śmietniki. Kotki nigdzie nie było widać i Stefa wzięła to za dobry znak. Szybko zalogowała się na bloga Dziuni W. i zaczęła pisać:

W obrzydliwych, przesłodzonych turboerotycznych romansach grafomanki Cieciorke złe jest wszystko, ale najgorszy wydaje się koszmarny schemat miłości od pierwszego spotkania. Idiocyzmem jest, że para głównych bohaterów od pierwszego spojrzenia wie, że są sobie przeznaczeni. Kobieta natychmiast pragnie urodzić dziecko, a...

Stefie paskudnie zaburczało w brzuchu, przez co straciła wątek.

a mężczyzna...

W jej brzuchu ponownie zabulgotało. Niewykluczone, że odgłos ten mógł mieć podłoże nerwowe, ale gdy znów jej zaburczało i odczuła nieodparty przymus skorzystania z toalety, przypomniała sobie o spożytej przed wyjściem odrobinie jajecznicy. Znów ta Iwona! Nawet o gościa zadbać nie umie! Dobrze, że nie zjadła całej porcji tej felernej kolacji, bo strach pomyśleć, jakie mogłyby być tego efekty. Zerwała się z krzesła i podbiegła do okna. Dostrzegła Iwonę bezradnie rozglądającą się po podwórzu. Stefa szybko odsunęła firanę i otworzyła okno:

– Tam ją widziałam! – krzyknęła do Iwony i wskazała palcem w kierunku wyjścia na ulicę. Iwona podniosła głowę.

– A mnie się wydawało, że przy śmietnikach się czai!

Stefa zagryzła dolną wargę, bo burczenie w brzuchu było niczym w porównaniu do parcia, które groziło, że jeszcze chwila stania w oknie, a zapaskudzi przyjaciółce cały pokój.

– Leć na ulicę! Ale szybko! – krzyknęła jeszcze i popędziła do łazienki. Była pewna, że Iwona kotu nie popuści i na pewno, w obawie przed nocnym koncertem albo jakimś gorszym wybrykiem, podąży tym fałszywym tropem, dzięki czemu Stefa zyska sporo czasu na załatwienie obu pilnych spraw.

Siedząc w toalecie, wygładziła w głowie kolejne zdania, które zamierzała napisać na swym tajnym blogu. Spuściła wodę, starannie umyła ręce, otworzyła drzwi do łazienki i mała się nie przewróciła, bo pod jej nogi zaplątało się to wredne stworzenie – Mela.

– O, wróciłaś, ty kocia mendo... – powiedziała i pomyślała, że spiesząc się do komputera, musiała zapomnieć zamknąć drzwi wejściowe. – A gdzie jest twoja pani, co? – Z obrzydzeniem odepchnęła kotkę nogą.

– Tu jestem... – Z pokoju babci Frani usłyszała zmieniony głos Iwony. Stefie wszystkie włosy stanęły dęba. Na sztywnych nogach weszła do pomieszczenia. Iwona niczym sparaliżowana stała przy otwartym laptopie i nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w ekran. Stefa oblizwała wargi. Przecież wyraźnie widziała, że Iwona szła w kierunku ulicy! Jakim prawem tak szybko wróciła? Ale mniejsza o to, natychmiast musiała sprytnie wybrnąć z patowej sytuacji i zamydląć idiotce oczy.

– Otóż to! – zakrzyknęła z udawaną euforią. – Udało mi się złamać hasło do bloga Dziuni i zaczęłam się wpisywać, aby ją sprowokować!

– Sprowokować? Ją? – Iwona nawet na Stefę nie spojrzała.

– Tak, pisząc źle o twej wspaniałej twórczości, chciałam zbić ją z tropu, rozumiesz?! – Podeszła do Iwony i chwyciła ją za ramię. Iwona strąciła jej rękę, a chowająca się pod stolikiem z zielistką Mela zasyczała cicho.

– Nie mogę w to uwierzyć... moja własna przyjaciółka...

– Tak, to ja! I zawsze możesz na mnie liczyć! We dwie dopadniemy tę podłą Dziunię i wyślemy na tamten świat!

– Zdecydowanie należy się jej śmierć... – Iwona popatrzyła na Stefę złym wzrokiem. Stefa, owszem, czasem ją denerwowała, była jednak jej jedyną przyjaciółką i literacką mistrzynią. Z zaangażowaniem oferowała jej pomoc po każdym wpisie na tym okropnym blogu, a Iwona z wdzięcznością przyjmowała oferowane przez nią wsparcie. Dała się namówić na wizytę u psychiatry, faszzerowała się lekami, które najpierw pomagały w niewielkich dawkach, jednak z każdym miesiącem trzeba ich było łykać coraz więcej. A teraz okazało się, że trują ją nie tylko farmaceutyki, ale fałszywa przyjaźń tej literackiej sławy! I kto wie, czy fałszywa przyjaźń nie zaszkodziła jej bardziej niż liczne medykamenty?

– Widzę, że mi nie wierzysz. Szkoda, po tylu latach przyjaźni spotkała mnie z twojej strony taka niewdzięczność... – Stefa westchnęła. – Nie będę u ciebie nocować – dodała wyniosłym tonem i powoli ruszyła ku swym torbom podróżnym. Chwyciła je i szybko skierowała się do wyjścia. Jak na jej gust spojrzenie przyjaciółki było zbyt błędne i nie wróżyło niczego dobrego. Najrozsądniej było na jakiś czas usunąć się Iwonie z oczu, odczekać, aż wszystko przetrawi, a gdy jej przejdzie, wtedy się z nią skontaktować i zasypać wymówkami.

– Może połknij sobie jakąś tabletkę? – Zatrzymała się w progu pokoju.

– Tabletkę! – wrzasnęła Iwona, a jej twarz oblała się purpurą. – I ty masz czelność proponować mi tabletkę?!

– Miarkuj, jak się do mnie odzywasz!

Iwona błyskawicznym ruchem wyrwała z laptopa kabel, złapała urządzenie i podbiegła do byłej przyjaciółki. Z całej siły uderzyła nim ją w głowę, a gdy ta się zachwiała, dołożyła jeszcze dwa razy. Stefa, na oślep machając rękami, rzuciła się ku Iwonie i zaczęła popychać ją w kierunku otwartego okna. Mela, widząc niespodziewaną szarpaninę, w popłochu uciekła spod stolika i schowała się w kąt za szafę, a po chwili wyskoczyła stamtąd i rzuciła się pod nogi zniechęconej pani. Iwona zachwiała się i upadła na parapet, zrzucając przy tym na podłogę doniczki z kwiatami. Stefa dopadła do niej i zaczęła dusić.

– Czy ty wiesz, na kogo podniosłaś laptop?! – syknęła jej do ucha. – Nigdy więcej nie waż się tego robić!

Przechyliła Iwonę przez parapet, próbując wyrzucić ją przez okno. Nagle poczuła na plecach ostre drapnięcie i kocie pazury boleśnie wbiły jej się w skórę. Krzyknęła rozdzierająco i starając się strząsnąć z siebie kotkę, nadal wypychała Iwonę. Szybko wykombinowała, że jeśli mocniej się wychyli, wyrzuci je na podwórze obie – Iwonę i Melę. Przegięła się więc, wspięła na palce, ale Iwona nagle mocno pochwyciła ją za poły bluzki i wprost na metalowe kubły na śmieci wpadły wszystkie trzy – Iwona, Stefa oraz Mela...



Tej soboty późnym popołudniem w Luboniu na ulicy Żabikowskiej nie było prądu. Małota wydzwaniał w tej sprawie do pogotowia energetycznego oraz wszystkich osób, które przyszły mu na myśl i które potencjalnie mogłyby zaradzić problemowi, ale nikt nie umiał

udzielić rzeczowej informacji, kiedy niespodziewana awaria zostanie usunięta.

– Matko jedyna! – Małotowa jeszcze bardziej poszarzała na twarzy, padła na kolana i raz po raz robiła znak krzyża, mamrocząc przy tym słowa modlitwy.

– Czyś ty zwariowała, kobieto?! Wstawaj z kolan i bierz się do pisania! – huknął na nią Fabian, żona jednak nie wykonała polecenia.

– A co będzie, jak się rozmrozi i cieknąć zacznie?! – pisnęła z przerażeniem.

– Od razu się nie rozmrozi! Spokojnie, zamrażarka jest szczelna – pocieszał żonę, ale zasiane ziarno wątpliwości zaczęło kiełkować. Przejechał dłonią po tłustych włosach i powiedział: – Idę do piwnicy sprawdzić, jak się sprawy mają. Idziesz ze mną?

– Zwariowałaś?!

Małota wyszedł, a podczas jego nieobecności Maryla odmówiła trzy razy *Ojciec nasz* i dwa razy *Zdrowaś Mario*.

– I jak? – zapytała z niepokojem, gdy wrócił.

– Wszystko w porządku. Wiele wody upłynie, nim na dobre odtaje.

– Żadne pocieszenie, bo nadal nie wiemy, kiedy znów będzie prąd. A jeśli nie będzie go przez trzy dni?!

– Kobieto?! Jakie trzy dni? Na pewno do rana znów będzie, a ty wstawaj z tych kolan i pisz wreszcie, bo ostatnio się nie przykładasz!

– Mam cię dość! – Maryla wstała z klęczek i roztarła kolana. – Żałuję, że dałam się w to wciągnąć, i nie myśl, że namówisz mnie na kolejną książkę!

– To się jeszcze okaże.

Maryla podeszła do szafy, otworzyła ją, schyliła się i zaczęła coś przekładać na dnie.

– Co robisz? – zainteresował się Fabian.

– Szukam koca.

– Po co? Ciepło jest, a ty chcesz się kocem okrywać?

Maryla nie odezwała się i z dużym wysiłkiem wrzuciła na podłogę stos koców. Dwa z nich kilka lat temu kupiła po okazjnej cenie na pobliskim ryneczku, były więc stosunkowo nowe i żal jej było któregośkolwiek się pozbywać. Trzeci, z ryczącym brązowym lwem, dostała w prezencie ślubnym od swej serdecznej, niestety nieżyjącej już przyjaciółki i mimo że lew był mocno przetarty, nadal miała do niego sentyment. Czwarty, który sprezentował jej mąż na dwudziestą rocznicę ślubu, był w biało-szare cętki, najmniej go lubiła, bo brudził się niemilosiernie, a poza tym nie przepadała za szarym kolorem – kojarzył jej się z murami jakiejś niewykończonej fabryki. Dlaczego akurat takim tropem podążały jej skojarzenia, nie wiedziała, ale koca nie lubiła, mimo że wyglądał o niebo lepiej od tych dwóch, które kupiła okazjnie na lubońskim ryneczku.

– Nie siebie chcę okrywać.

Fabian popatrzył na żonę z przerażeniem. To, że źle znosiła nietypową sytuację, doskonale rozumiał, ale nigdy by nie przypuszczał, że Maryla mogłaby od tego zwariować.

– Jeśli do dziewiątej wieczorem nie będzie prądu, weźmiesz ten szary koc, okryjesz go i gdzieś wywieziesz!

Małotę zamurowało.

– Co tak patrzysz? Masz tak zrobić, słyszysz?!

– Oszalałaś?! Ty wiesz, czego ode mnie żadasz?! Gdzie mam go wywieźć?!

– Nie wiem, wymyśl coś. – Ukryła twarz w dłoniach. – Takie życie jest ponad moje siły!

– Nie ma mowy! Nie zrobię tego!

– Tak? W takim razie ja nie napiszę ani linijki więcej! – Powiedziała to tak stanowczo, że Małota nie śmiał wątpić, że nic jej od powziętego postanowienia nie odwiedzie. Był w szachu,

ale mimo wszystko postanowił się nie poddawać.

– Marylcia – od lat tak czule się do niej nie zwracał – to jest robota nadzwyczaj wysokiego ryzyka. Zobaczysz, do rana wszystko się ułoży. Znów będzie prąd, a zamrażarka będzie chodzić jak złoto. Uspokój się, prześpij albo jeszcze lepiej zabierz do pisania. Kawy ci zaparzę, chcesz?

– Nie chcę! – warknęła. – Masz opróżnić zamrażarkę, rozumiano?!

– Marylcia...

– Myślisz, że złapię się na tę Marylcię?! Marylcia-srylcia! – przedrzeźniła go ze złością i popukała się palcem w czoło. – Zrobisz, co mówię?! – Ten sam palec wycelowała w męża.

– Nie!

Kobieta mocno zacisnęła usta i chwyciła stojący na półce, modny za czasów PRL-u kryształowy wazon. Nigdy jej się nie podobał, ale bała się go pozbyć w obawie przed mężem, ponieważ kryształ był pamiątką po jego świętej pamięci mamusi. Ale teraz gniew męża miała gdzieś! Musiała temu zadufanemu w sobie terroryście pokazać, że ona również ma swoje zdanie i tym razem na pewno z niego nie zrezygnuje. Do tej pory dla świętego spokoju żyła w cieniu Fabiana, cicho niczym myszka znosiła mniejsze i większe awantury, ingerowanie we wszelkie dokonywane zakupy i wmawianie, że wydawnictwo tak cienko przedzie, że nie stać ich na inne wakacje niż spędzone poza sezonem trzy dni w Sianożętach. Tłumaczyła sobie, że takie życie miało również dobre strony, ponieważ zwalniało ją od podejmowania decyzji i dawało specyficznego rodzaju oparcie. Teraz jednak żadnym, nawet najbardziej absurdalnym argumentem nie potrafiła wytłumaczyć sobie zachowania Fabiana. Uwikłał ich w wielce ryzykowną sprawę i zamiast od razu uczciwie wszystko załatwić, brnął coraz dalej i dalej, ciągnąc za sobą przerażoną i opierającą się Marylę. Ale dziś, gdy brakło prądu, czara goryczy się przelała – Maryla chwyciła wazon po teściowej i trzasnęła nim o podłogę. Rozbił się w drobny mak.

– Coś ty zrobiła?! – Fabian padł na kolana i pełnym rozpaczony gestem załamał dłonie nad wielce zacnymi szczątkami.

Maryla uśmiechnęła się triumfalnie i wyciągnęła rękę po kryształową rybkę. Ta durnostojka była jeszcze brzydsza od wazonu, ale jej obecność Maryla jakoś znosiła, ponieważ rybka od lat stała wciśnięta w głąb półki, z którego to miejsca nie rzucała się w oczy.

– Ta rybka jest również od mojej mamusi! – jęknął Fabian.

– Opróżnij zamrażarkę?!

– Ale ja naprawdę nie wiem... co... gdzie... – Zaczął się jękać i czułym gestem zagarniać resztki po flakonie.

– Do nas na działkę – powiedziała zimno Maryla. – Kupisz nową, równie dużą zamrażarkę, tam ją wstawisz i podłączysz. Proste.

Małotowie w Sapowicach mieli niewielką działkę, na której bywali z rzadka i tylko wtedy, gdy w Luboniu letnie upały dawały im się tak we znaki, że już naprawdę nie mogli wytrzymać w swoim małym M. Domek, który tam stał, był lichy, drewniany i kupili go wraz z gruntem od poprzedniego właściciela. Cieszyli się, że ma dociągnięte prąd i wodę oraz że posiada wprawdzie bardzo małe, ale ładnie urządzone kuchnię oraz łazienkę. Przy okazji remontu mieszkania wywieźli tam stary tapczan, wannę oraz telewizor, więc domek wyposażony był we wszystko, czego mogli potrzebować do godnego wypoczynku. Maryla chętnie spędzałaby tam więcej czasu, ale Fabian już dawno zauważył, że żona w Sapowicach ulega niebezpiecznemu rozleniwieniu, a na tego typu zachowania pozwalać jej nie mógł. Ponadto uważał, że jego połowica nigdy nie pracowała tak wydajnie jak on, dlatego nieustanna praca była jej psim obowiązkiem. Maryla wydawała się nie przejmować piętzącymi się na rynku wydawniczym

trudnościami i nic sobie nie robiła z rosnących cen nie tylko artykułów żywnościowych, ale również tak przez nią lubianych fatalaszków. I po co się tak stroiła? Po pierwsze męża już miała, a po drugie pracowała w domu, dla kogo więc chciała ładnie wyglądać? Wobec tego Fabian czuł się zmuszony do sprawowania nieustannej kontroli nad jej wydatkami. Ech, ta Maryla! Była rozrzutna nawet przy krojeniu cebuli. I do czego to doprowadziło? Tak dbał o ich małżeństwo, strzegł na wszystkie możliwe sposoby, a tu spotkała go czarna niewdzięczność! I co miał zrobić, gdy żona patrzyła na niego wściekłym wzrokiem i groziła, że rozbije przypominającą mu mamusię rybkę?

– Dobrze, niech będzie, jak chcesz, ale musisz wiedzieć, że to nie jest dobry pomysł...

– Nie prosiłam cię o komentarz! – Dłoń Maryli powędrowała niebezpiecznie blisko kryształowego kurzołapa.

– Poczekaj, Marylcia, ale po co od razu kupować nową zamrażarkę? W tej go przewiozę.

– A pomyślałeś, kto pomoże ci ją zataścić na samochód?

– Ty?

– Ja? – Maryla podciągnęła rękaw bawełnianej bluzki i napięła nędzny biceps. – Myślisz, że będę miała tyle siły?

– No... chyba jednak nie...

– Nową zamrażarkę do Sapowic przywiezie ci ktoś ze sklepu. Powiesz, że to pilne, dasz w łapę komu trzeba i jeszcze dziś mieć ją tam będziemy. A teraz bierz koc i zanieś do piwnicy. Wszystko musi być przygotowane.

– Nie wezmę koca. Dywan jest lepszy.

– Ach, chyba że tak. – Posłusznie usunęła się na parkiet. Może Fabian miał dobry pomysł? Poza tym Maryla od dawna uważała, że należy kupić nowy dywan, ale w obawie przed reakcją męża nie wypowiedziała na głos swego marzenia. Teraz będzie mieć w ręku argument nie do obalenia. Małota zwinął dywan i ułożył go pod ścianą.

– W piwnicy będziesz musiała mi pomóc – zaznaczył. – Tyle chyba dasz radę?

– Dobrze.

– Marylka, a może jednak...

– Bez gadania! Jedź już do tego sklepu.

– Ale po co się tak śpieszyć? Może prąd zaraz będzie i co my z kolejną wielką zamrażarką zrobimy?

– Może przyda ci się do kolejnej akcji? – powiedziała z wyrazem obrzydzenia na twarzy, podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież, dając mężowi do zrozumienia, że ma niezwłocznie udać się na zakupy.



Nim ruszyli na przystanek, Eryk powiedział Wandzie, że chciałby ze stacji zabrać sweter, bo wieczór, choć bezchmurny i bezwietrzny, zapowiadał się dość chłodny.

– Poczekam na ciebie na klatce. Albo przed blokiem – powiedziała.

Przed wyjściem zdążyła jeszcze spryskać się perfumami przyjaciółki, których nazwa, podobnie jak i wygląd flakonika, były jej zupełnie obce, dopiero po wykonaniu dwóch szybkich psiknięć z przerażeniem skonkludowała, że równie dobrze mógł to być ekskluzywny odświeżacz do toalet, do których Lucyna zawsze miała podejrzaną słabość. Ale na przebranie się było już za późno.

– Dobrze – powiedział – poczekaj na dole, ja się pospieszę. – Wszedł do mieszkania babci Jadzi, a Wanda poszła przed blok. Z pokoju staruszki dochodziło głośne ryczenie telewizora, ale przesadzone dźwięki wcale nie osłabiły jej czujności. Natychmiast znalazła się

w przedpokoju:

– O, Eryczek! Jesteś wreszcie! – Ucieszyła się. – Przepchasz mi wannę? – Uśmiechnęła się i przymilnym gestem pogłaskała go po ramieniu.

– Teraz się spieszę, ale mogę to zrobić później.

– Oj, jaka szkoda... jaka szkoda... – westchnęła i niby przypadkiem stanęła w drzwiach, odcinając mu drogę wyjścia.

– Naprawdę tak bardzo się spieszysz? A nie powinienes, bo jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy.

– Pani Jadziu, później albo jeszcze lepiej jutro.

– Jutro?! Uchowaj Boże! Jutro jest niedziela!

– Więc dziś późnym wieczorem.

– A ja myślałam, że jesteś inny niż ta młoda hołota...

– Ja naprawdę nie...

– Niestety, ludzka pamięć jest krótka! Gdy twojemu przyjacielowi zależało, abyś tu zamieszkał, zgodziłam się... i nawet drogo ci nie policzyłam... – Patrzyła na niego z wyrzutem. – Czy ja proszę o tak wiele?

– Dobrze. – Ku zadowoleniu staruszki Eryk się poddał.

– Cudnie! Herbatki ci zrobię, a do herbatki kilka kanapeczek, co?

– Nie, nie, na dole ktoś na mnie czeka.

– Więc go tu zawołaj.

– Ją – poprawił babcie Jadzie. – Wanda na mnie czeka.

– Wanda? Jak miło! Chętnie z nią porozmawiam, a ty idź do łazienki i bierz się do roboty. Spieszyło ci się przecież! – zakończyła z wyrzutem, jakby przyłapała Eryka na kłamstwie.

– Ale Wanda...

– Ja po nią zejdę, a ty już idź. Idź wreszcie! – Jadzia delikatnie, acz stanowczo popchnęła go w kierunku łazienki, a potem podreptała po Wandę. Niespodziewanego gościa podjęła w swoim pokoju, który w zależności od potrzeb spełniał funkcję salonu lub sypialni. Pomieszczenie było schludnie utrzymane, ale zbyt duża liczba ustawionych na każdym możliwym miejscu roślin sprawiła, że Wanda miała wrażenie, iż znalazła się w oranżerii.

Babcia Jadzia zauważyła jej zdziwienie i powiedziała:

– Moja Franeczka też tak lubiła kwiaty. Szczepkami się wymieniałyśmy, radami, ale cóż... wśród żywych już jej nie ma... niech jej ziemia lekką będzie... – Zza paska spódnicy wydobyla zmiętą chusteczkę i wysmarkała nos. – Siadaj, Wandziu, siadaj sobie. Może tutaj, w moim ulubionym miejscu. – Wskazała obity wytartym zielonym pluszem fotel.

Wanda, nim zasiadła w leciwym meblu, sięgnęła po leżący na stoliku pilot do telewizora i ściszyła dźwięk. Po jakichś dziesięciu minutach babcia Jadzia przyniosła herbatę oraz kanapki z pomidorem i ogórkiem. Usiadła w drugim, nieco mniej zniszczonym fotelu i ku rozpaczy Wandy rozpoczęła monolog na temat stosunków panujących między sąsiadami.

Było już całkiem późno, gdy Wanda i Eryk z ulgą opuścili mieszkanie babci Jadzi. Eryk na szczęście bardzo dobrze znał obyczaje Małotów i twierdził, że małżonkowie w sobotni wieczór z pewnością nigdzie się nie wybrali. Nie było więc obawy, że gdy wreszcie dotrą do Lubonia, pocałują klamkę.

Ulice były niemal puste, na miejsce dojechali więc szybciej niż za dnia. Wyszli obok Lubonianki i ręka w rękę (Eryk pilnował, by od czasu do czasu ich dłonie niby przypadkiem się dotknęły) ruszyli ulicą w dół. Mężczyzna zerkał często na ładny profil Wandy, więc to nie on, lecz ona pierwsza zauważyła podejrzaną zamieszanie przed blokiem wydawcy.

– Zobacz, coś się tam dzieje!

Na ulicy obok bloku Małoty zgromadził się spory tłumek gapiów, ponadto stały tam policyjny radiowóz, karawan oraz karetka pogotowia. Po chwili karetka odjechała, za nią karawan, a na końcu policja.

– Mam nadzieję, że to nie ma nic wspólnego z Fabianem ani Marylą! Chodźmy szybciej!

Eryk przepchnął się między ludźmi i zwrócił się do pierwszego stojącego z brzegu mężczyzny:

– Co się stało?

Wanda się wzdygnęła, bo mężczyzną, do którego skierował pytanie, był wcześniej przez nią spotkany Biały Chodak. Mężczyzna odwrócił się w stronę Eryka, ale z odpowiedzią się nie kwapił, bo nagle odnotował obecność Wandy:

– O, to pani!

– Co ja? – zaperzyła się.

– Pani kiedyś przy tym śmietniku wystawała, może coś pani widziała?

– Co miałabym zobaczyć?

– Jakies podejrzane sprawy, cokolwiek. To bardzo ważne! Niech się pani zastanowi! Z oczu Białego Chodaka wycierała dzika ciekawość.

– Kto by się spodziewał, kto by się spodziewał! – powtarzał z podnieceniem. – I co, myśli pani? – popędził Wandę.

– Nie myślę, bo niczego dziwnego tu nie zauważyłam.

– Panie, mów pan lepiej, po co tu była policja i ta karetka! – zagrział Eryk. – Czy coś się stało Małotom?!

– Im? – prychnął Biały Chodak. – Im się nic nie stało. Ale temu trupowi, co go teraz wywieźli, i owszem. Sztwywny był jak mrożona ryba. – Zachichotał.

Eryk odetchnął z ulgą.

– Jakiemu trupowi? Kto umarł? – zapytała Wanda.

Biały Chodak spojrzał na nią tak, jakby chciał powiedzieć, że jeśli ona nie udzieliła mu odpowiedzi, on również pary z gęby nie puści.

– Kto umarł? – tym razem zapytał Eryk. – No kto?!

– Jakiś facet. – Chodak wzruszył ramionami. – Ponoć był dość młody i sztywny jak... – Zachichotał, ale przerwał nagle, bo wzrok Eryka go zniechęcił. – Panie, nie znam go, ja go nie widziałem ani za życia, ani po śmierci. Ale zaraz...zaraz... ja pana kojarzę, pan również się tu kiedyś kręcił.

– Tak. Mieszkałem u Małoty. Dość krótko zresztą.

– Uuu, panie! – Chodak zamachał rękami. – Ciesz się pan, że krótko, bo pewnie tylko dzięki temu pan żyjesz!

– Nie rozumiem.

Wanda, zniecierpliwiona prowadzącą donikąd konwersacją, zwróciła się do stojącej obok młodej kobiety. Awantura pod blokiem musiała zastać ją w łóżku, bo na koszulę nocą zarzuciła przymały szlafroczek w barwne misie, który zapewne, powodowana pośpiechem, zabrała swojemu dziecku.

– Co się stało?

– Ten z parteru, wydawca, ponoć w swojej piwnicy trupa trzymał! – Nie kryła oburzenia kobieta.

– Naprawdę?! – Wanda przerażonym wzrokiem powiodła po bloku, w którym mieszkał Małota. I Murek kazał jej tutaj szpiegować Knychalkę! Biorąc pod uwagę kryminalne okoliczności, miała wiele szczęścia, że uszła z życiem.

– Tak! I ponoć nawet dość długo go tam chował.

– A zapach?

– Do zamrażarki go wsadził! Taki perfidny! – Kobieta szczerzej okryła się szlafrocikiem.

– Eryk! – Wanda szarpnęła go za rękaw. – Słyszałeś?! Fabian w piwnicy trzymał trupa!

– Trupa? Jakiego trupa?! Co za bzdury?!

– To nie bzdury, to fakty! – obruszyła się rozmówczyni Wandy. – Jaskaniszowa na własne oczy widziała, jak im się z dywanu wywinął.

– Może pani mówić jaśniej?

– Otóż Jaskaniszowa, która mieszka pod czwórką, wybrała się wieczorem po coś do piwnicy...

– Po pyry, bo plendzów jej się zachciało! – odezwał się Biały Chodak, który widząc, że nikt się już nim nie interesuje, poczuł się odtrącony i aby zająć miejsce w centrum uwagi, dobrowolnie podjął się współpracy.

– Jeśli wie pan, jak było, niech pan opowie, ja do dzieci muszę wracać. Dobranoc! – Skinęła im głową i szybko oddaliła się w kierunku sąsiedniego bloku. Chcąc nie chcąc, Wanda i Eryk ponownie skierowali wzrok na Białego Chodaka.

– A tak w ogóle to Zenon jestem – powiedział. Nie doczekawszy się jednak odpowiedzi, podjął dalszą opowieść:

– Jaskaniszowa nigdy w piwnicy nie pali światła, bo po pierwsze ciemności się nie boi, a po drugie poznanianką jest z dziada pradziada i oszczędza, kiedy może i na czym może. Poza tym i tak prądu nie było, więc mniejsza o jej oszczędność, w każdym razie siedziała po ciemku w swym boksie, nabierała do wiadra pyrów, gdy usłyszała podejrzone głosy. Przyczaiła się, wytrzeszczyła oczy i zobaczyła wydawcę oraz jego żonę.

– Skąd wiedziała, że to oni, skoro było ciemno? – nieufnie zapytał Eryk.

– Bo tych dwoje latarki ze sobą miało! Otworzyli swój boks, który jest na skos z boksem Jaskaniszowej, z wielkim wysiłkiem coś stamtąd wyjęli i położyli na przyniesionym ze sobą dywanie. Jaskaniszowa mało nie wrzasnęła, gdy zobaczyła ciało człowieka, ale się powstrzymała, nadal siedziała cicho i patrzyła. Tamci zawinęli umarlaka w dywan i chcieli wynieść, ale ponoć żona wydawcy upuściła swoją część trupa, ten im upadł na podłogę i cały z dywanu się rozwinął. Tego Jaskaniszowa już znieść nie mogła i tak zaczęła wrzeszczeć, że pół bloku do piwnicy się zleciało! A dalej to wiadomo: policja, pogotowie, karawan, prokurator... Oj, dawno w Luboniu takiej afery nie mieliśmy, dawno!

Eryk z niedowierzaniem pokręcił głową. Opowieść Zenona wydawała mu się nieprawdopodobna, bo dotyczyła jego byłego szwagra, za którego uczciwość ręczył głową. A tu obcy ludzie mu mówią, że Fabian w piwnicy trzymał jakieś zwłoki! Skoro ukrywał tam trupa, to musiał go skądś wziąć. Skąd? Na ulicy na pewno nie znalazł, więc... Matko Boska! Czyżby Eryk aż tak bardzo co do Fabiana się pomylił?! Czyżby Fabian był mordercą?! Nagle w Eryka głowie pojawił się promyk nadziei. A może to Maryla kogoś zadźgała? Tak, to możliwe! Nieraz widział to krzywe, rzucane na niego ukradkiem spojrzenie. Kobieta, która patrzyła tak, że w piętach się czuło, zdolna była do wszystkiego.

– Dobra heca, co? – zagaił Zenon Biały Chodak.

– Dla kogo dobra, dla tego dobra – powiedział Eryk. – Wiadomo, kim był nieboszczyk?

– Nie, ale na pewno był to mężczyzna. Ponoć chudzieńki jakiś. Tak mówiła Jaskaniszowa.



Tego dnia na cmentarzu na Junikowie odbyły się trzy pogrzeby, ale tylko jeden zgromadził rzeszę naprawdę zasmuconych i poruszonych śmiercią grzebanego zmarłego ludzi – był to pogrzeb Ignacego Knychalki. Pisarz na szczególne pożegnanie zasłużył nie tylko dlatego, że był autorem wybitnych i powszechnie znanych dzieł, ale również z tego powodu, iż jego zwłoki z premedytacją w zamrażarce przechowywał jego własny wydawca. Fabian Małota, dokładnie przesłuchany i niejednokrotnie brany w krzyżowy ogień pytań przez policję, ustawicznie podawał tę samą wersję wydarzeń, identyczną z tą, którą powtarzała jego żona. Małotowie zgodnie utrzymywali, że ze śmiercią Ignacego Knychalki nie mieli nic wspólnego.

Ignacy na dzień przed otwarciem Warszawskich Targów Książki miał przyjechać do Małoty, przenocować u niego i następnego dnia rano razem z nim pojechać do stolicy. Fabian oczekiwał go w swoim mieszkaniu. W pewnym momencie z klatki doszedł do niego jakiś hałas.

– Słyszałaś? – Fabian zapytał Marylę.

– Rzeczywiście, chyba na zewnątrz coś się dzieje.

– Wyjdę sprawdzić i przy okazji wyrzucę śmieci.

Małota wstał z fotela, wszedł jeszcze do kuchni po kubek ze śmieciami i otworzył drzwi mieszkania. Jak ogromne było jego przerażenie, gdy niemal na własnym progu natknął się na broczącego krwią Ignacego Knychalkę! Szybko zbadał mu puls, zrobił usta-usta, ale pisarz już nie żył. Przez głowę Małoty przeleciało tysiąc myśli. Ujawnienie śmierci Knychalki nie przysłuży się nikomu, a jemu najmniej, natomiast zatajenie tego faktu mogłoby mu się opłacić. Kilka dni wcześniej pisarz przesłał mu trzy czwarte nowej książki, więc Małota własnymi siłami mógłby powieść dokończyć, a potem wydać ze sporym zyskiem. Szybko zawołał żonę.

– Matko... – Głos, nim na dobre przybrał na sile, ugrzązł Maryli w gardle, bo Fabian doskoczył do żony i zatkał jej usta dłonią.

– Milcz, bo łeb urwę! – szepnął jej do ucha. – Niesiemy go do piwnicy!

Tam mieli wielką nieużywaną zamrażarkę, która idealnie im się teraz przydała. Wsadzili do niej Knychalkę i podłączyli urządzenie do prądu. Zaszokowana Maryla bez słowa sprzeciwu pomagała mężowi. Gdy wrócili do mieszkania, Fabian kategorycznie oznajmił jej, że musi dokończyć dzieło rozpoczęte przez Ignacego Knychalkę. Maryla gwałtownie zaprotestowała.

– Masz skończyć, zrozumiano?! – Fabian zamachnął się na nią pięścią, ale w porę zrobiła unik.

– Nie potrafię!

– Bzdur nie gadaj! Kto jak kto, ale ty potrafisz pisać! Sam Ignacy nieraz ci mówił, że masz talent.

To była prawda. Maryla, redagując dzieła Knychalki, dała się poznać jako osoba obdarzona nieprzeciętnym pisarskim talentem, którego jednak (Ignacy dziwił się dlaczego) nie zamierzała jak należy wykorzystać.

– A co z trupem? Jak długo chcesz go tam trzymać?

– Ujawnię go po wydaniu książki... a może... może nigdy nie ujawnię? Przecież wszyscy wiedzą, że Knychalka jest nieuchwytny. Co stoi na przeszkodzie, abys już zawsze pisała pod jego nazwiskiem?

Marylę te słowa straszliwie przeraziły, ale w obawie przed gniewem męża zabrała się do pracy. Co wieczór jednak, w tajemnicy przed Fabianem, odmawiała różaniec w intencji pomyślnego rozwikłania tej paskudnej sytuacji.

– Jednego jestem ciekaw. Kto go tak załatwił? – nieraz na głos zastanawiał się Małota.

– Też bym chciała to wiedzieć. Biedny Ignacy... A może by tak... policję? Oni pewnie sprawcę by znaleźli...

– Żadnej policji! Już wolę nie znać mordercy, ale za to kasę chcę zgarnąć!

Tak się złożyło, że na trzy tygodnie przed feralnym zdarzeniem u Małotów zamieszkał Eryk. Po rozwodzie na dobre postanowił wyprowadzić się z Bydgoszczy i skorzystał z gościny Małotów, którzy pozwolili mu się u siebie zatrzymać do czasu, aż się urządzi w nowym miejscu. Eryk miał w Bydgoszczy kilka spraw do zamknięcia, toteż kursował między Bydgoszczą a Poznaniem oraz Luboniem, wskutek czego z noclegów u szwagra korzystał sporadycznie. W końcu niemal wszystkie bydgoskie sprawy domknął, a i znalazł pracę, w Poznaniu na terenie Cytadeli w zieleni miejskiej. Z czasem zamierzał kupić w mieście małe mieszkanie bądź kawalerkę.

Tego feralnego wieczoru, gdy Fabian odkrył przed drzwiami trupa, Eryk od kilku dni przebywał w Bydgoszczy. Do szwagra przyjechał dopiero w dniu, kiedy ten wyjechał do Warszawy na targi książki. Maryla była sama w domu i, to od razu rzuciło się Erykowi w oczy, wydawała się bardzo czymś zmartwiona. Niemal w ogóle się do niego nie odzywała, tylko zamknęła się w pokoju i intensywnie coś pisała na komputerze. I tak samo zachowywała się przez kolejne dni. Eryk szybko przestał wnikać w jej nastrój, bo oto nagle sam zaczął mieć problem – nie wiadomo skąd pojawiła się jakaś Wanda, która wzięła go za Knychalkę. Małota, Eryk nie wiedział dlaczego, zaczął go namawiać, aby wykorzystał swe uderzające podobieństwo do pisarza i trochę go przed tą naiwną kobietą poudawał.

– Ale po co mam go udawać?

– Oj, tak sobie, dla zabawy!

– Dla zabawy?

– Pewnie! Taka maskarada dobrze ci zrobi. Jesteś świeżo po rozwodzie, po traumatycznych przeżyciach. Należy ci się trochę rozrywki.

– Nie mogę tego słuchać! – odezwała się za ich plecami Maryla.

– To nie słuchaj – mruknął Fabian. – I zrób nam kolację. A ty – zwrócił się do Eryka – przestań wnikać, dlaczego na ciebie naciskam. Weź pod uwagę, że u mnie mieszkasz i pomagam ci w trudnym czasie.

Wobec tych słów Eryk przestał oponować i zgodził się trochę Knychalkę poudawać. Jednak szybko się z tego wycofał, bo źle się czuł, odgrywając inną osobę, i postanowił, najszybciej jak się da, od szwagra się wyprowadzić. Małota nie krył zawodu, ale pomógł Erykowi jeszcze znaleźć pokój u starszej pani mieszkającej blisko jego nowego miejsca pracy.

Policja początkowo brała pod uwagę to, że Eryk Morawiec miał jakiś udział w śmierci pisarza, ale on uparcie trzymał się swojej wersji zeznań, które dodatkowo potwierdzali Fabian oraz Maryla. Ale mimo to dla znawców literatury oraz fanek Ignacego Knychalki Eryk, z powodu uderzającego podobieństwa do pisarza, pozostał osobą wielce podejrzaną, wprawdzie nieco mniej niż małżeństwo Małotów, ale jednak zawsze.

I to właśnie ze względu na tajemnicę okrywającą śmierć wybitnego pisarza jego pogrzeb zgromadził nieopisaną wprost rzeszę ludzi, którzy zamiast modlić się w skupieniu, w większości zajęci byli plotkowaniem.

Tego samego dnia na tym wielkim cmentarzu miały się odbyć jeszcze dwa pochówki: Stefanii Lurki oraz Iwony Cieciorki. Pisarki również były żegnane przez spore grono wiernych czytelniczek oraz nielicznych krewnych, ale w porównaniu z tłumami podążającymi za trumną Ignacego Knychalki liczba ich żałobników wypadła blado i nędznie.

Obie pisarki za życia łączyła nie tylko skomplikowana przyjaźń, ale również tajemnica, którą właśnie brały ze sobą do grobów. Dotyczyła ona śmierci Ignacego Knychalki. Albowiem tylko one wiedziały, kto ukatrupił utalentowanego pisarza. Od lat zazdrosne o jego twórczość i niebywałą popularność, w końcu postanowiły się go pozbyć. Wiedziały, że tego roku Ignacy wraz z Małotą mają się pojawić na targach książki w Warszawie i – jak się okazało, słusznie –

przypuszczały, że pisarz wcześniej może przyjechać do Lubonia, do swego wydawcy. Kilka dni wyczekiwały na niego pod blokiem Fabiana, a gdy wreszcie któregoś wieczoru się pojawił, wdarły się za nim na klatkę. Wiedziały, że zabicie go teraz i w tym miejscu jest wielce ryzykowne, ale zdawały sobie również sprawę, że właśnie w tej chwili być może miały po temu pierwszą i ostatnią sposobność. Nie mogły więc jej nie wykorzystać! Chciały załatwić go już w progu, ale on był nad podziw szybki i dopadły go dopiero wyżej, bo pod drzwiami Małoty. Tam, przyniesionymi ze sobą młotkami, błyskawicznie zadały mu w głowę po kilka silnych ciosów. Uderzeń zapewne byłoby więcej, ale się spłoszyły, bo rzecz działa się pod drzwiami mieszkania, z którego – co nagle doszło do ich uszu – ktoś zamierzał wyjść na klatkę. To był Fabian Małota. Uciekły w panice, szczęściem dla siebie przez nikogo niezauważone, ale co z tego, skoro od tego wieczoru żyły w ciągłej niepewności, czy aby wśród zadanych ciosów choć jeden był śmiertelny? A ponieważ z natury obie były tchórzliwe i przesądne, bały się ponownie pojawić przed blokiem wydawcy. Gdy dotarła do nich informacja, że Ignacy najprawdopodobniej żyje, uznały, że najlepszym sposobem na przekonanie się, czy jest on prawdziwym Knychalką, będzie przyjrzenie się mu podczas spotkania autorskiego. Mogłyby się ukryć w tłumie ludzi i dyskretnie go obejrzeć bez obawy, że zostaną zauważone.

Eryk Morawiec nie zdawał sobie sprawy, jak wiele miał szczęścia. Podczas gdy pisarki obserwowały mieszkanie Małoty, on był w Bydgoszczy i dopełniał formalności sprzedaży mieszkania. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby zjawił się w tym czasie u Małoty! Wzięłyby go za Knychalkę i zamordowały nie tylko z zimną krwią, ale i ogromną przyjemnością.

Nieświadom dramatu, który się rozegrał przed drzwiami mieszkania byłego szwagra, Eryk wrócił w dniu, w którym Fabian wyjechał do Warszawy, a Ignacy Knychalka od kilku godzin mroził się już w jego piwnicy.



– To już koniec. – Mundek, spocony jak mysz, postawił na podłogę spore pudło. Znajdowała się w nim ostatnia część dobytku Eryka, który razem z meblami przywieźli z Bydgoszczy.

– Usiądź na chwilę i się napij. – Lucyna podała mu szklankę z własnoręcznie przyrządzoną lemoniadą.

– Wypiję, ale siadać nie będę, przecież musimy jeszcze jechać dokupić farbę. Dobrze by było dziś to skończyć.

– Pewnie, że tak – z pokoju odezwał się Norbas. – Gdybym ja robił zakupy, niczego by nie zabrakło.

Norbas, który malował tam ściany, wymownie spojrzął na Wandę, ale w jego oczach nie było cienia złości, lecz figlarne chochliki. Nie był na nią zły, wręcz przeciwnie, miał świetny humor i aż kipiał rozpierającym go szczęściem. Wanda dobrze wiedziała dlaczego. Gdy skończą remont, ona przeprowadzi się do kupionej przez Eryka kawalerki, a to znaczyło tyle, że Iza i Norbas jej gniazdko będą mieć do własnej dyspozycji. Lucyna radziła Wandzie, aby zalegalizowała związek z Erykiem, sprzedała swoją kawalerkę i wspólnie kupili coś większego, ale Wanda twierdziła, że nie ma sumienia wyrzucać bratanicy na poznański bruk, a wiązanie się na stałe wcale jej nie interesuje. Nie zamierzała przyjaciółce wyjawiać, że Eryk temat ślubu poruszył już dawno, ale rozmowa poszła nie w takim kierunku, jakiego pragnęła.

– Wandziu... – Eryk ujął w swe ręce jej prawą dłoń, a Wandy serce mało nie wyskoczyło z piersi. Siedzieli w ustronnym miejscu Cytadeli, wieczór był piękny, pachnący, cykały świerszcze.

Wanda od rana przeczuwała, że tego dnia coś się wydarzy. Eryk był roztargniony, często

na nią zerkał, wzdychał i małowówny był bardziej niż zwykle. Byli już ze sobą jakiś czas, a że pierwszą młodość dawno mieli za sobą, doszła do wniosku, że pewnie zechce poprosić ją o rękę. Nigdy nie należała do osób za wszelką cenę prących do legalizacji związku, ale tego dnia, gdy on tak wzdychał i wymownie na nią zerkał, zaczęła się nad tym zastanawiać i stwierdziła, że w gruncie rzeczy nie miałyby nic przeciw. Biała suknia... Hm... zapewne pięknie by w niej wyglądała. I obrączka. Czemu nie? Eryka kochała, był dla niej dobry, dlaczego więc się nie pobrać? Inną sprawą było to, że do tej pory (i wcale się nie zanosilo, że to się zmieni) nie zrobił jej nawet najmniejszej kanapki, o najprostszym posiłku nie wspominając, ale ostatecznie mogła się z tym pogodzić. Najważniejsze, że się dogadywali. W miarę jak mijał dzień, przez głowę Wandy przewijały się najrozmaitsze modele sukien. Najchętniej włączyłaby Internet i pooglądała zdjęcia, ale nie chciała dawać Erykowi do zrozumienia, że przejrzała jego plany. Do wieczora była już tak bardzo rozmarzona, że najchętniej sama by mu zaproponowała małżeństwo. Ale się powstrzymała. Po osiemnastej Eryk zaproponował spacer na Cytadelę. Jakie romantyczne miejsce! Wprost stworzone do oświadczeń! Tuż przed wyjściem jej ukochany, co u niego było zupełnie niespotykane, przez dłuższy czas przebierał w ubraniach, jakby nie mógł się zdecydować, co na siebie włożyć, a potem zniknął w łazience. Wanda, widząc te przygotowania, szybko wyciągnęła z szafy najlepszą sukienkę, uczesała się i zrobiła staranny makijaż. W końcu czekały ją oświadczenia i nie mogła wyglądać pospolicie jak każdego zwykłego dnia! Eryk z łazienki wyszedł w najlepszym garniturze, pachnący, porządnie uczesany i chyba nawet bródkę sobie przyciął. Wanda popatrzyła na niego z aprobatą. Dobrze, że wpadł na ten pomysł. To będzie wydarzenie!

Bez słowa podstawił jej ramię, uśmiechnął się zachęcająco i wyszli. Na Cytadeli znaleźli stojącą w ustronnym miejscu ławkę. Usiedli.

– Wandziu...

– Tak?...

– Kocham cię...

– Och... i ja cię kocham!

– Jestem z tobą tak szczęśliwy, jak jeszcze dotąd nie byłem z żadną kobietą i marzę o...

O...

– O czym marzysz? – zapytała cicho, a przed oczami przeleciały jej przynajmniej dwa modele ślubnych sukien.

– Marzę o tym, abyśmy żyli razem aż do śmierci!

– Tak! Razem aż do śmierci. – Zachwyciła się. – Ja też tego chcę!

Eryk ze wzruszenia mocniej uściskał jej dłoń. Dalej, mów! – W myślach ponaglała go Wanda, ale mężczyzna milczał.

– Och, Wandeczko! – westchnął wzruszony.

– Tak?

– Całe życie...

– Tak! Całe życie! Będzie nam tak wspaniale!

Mocno przytulili się do siebie.

– Zgadzam się, zgadzam, och, tak bardzo się zgadzam! – powtarzała Wanda.

Eryk uśmiechnął się błogo.

– Moja kochana...

– Dziękuję... Nigdy aż tak nie zależało mi na włożeniu ślubnej sukni, ale ty naprawdę masz dobry pomysł...

Eryk wyprostował się, a jego uścisk zelżał.

– O jakiej ślubnej sukni mówisz?

- Normalnej... tej, którą założę na nasz ślub...
- Wandziu, ja ci zaproponowałem wspólne życie aż do śmierci, ale nie ślub! –

Wzdrygnął się nieco.

Teraz to Wanda się wyprostowała.

– Jak to? Nie będzie ślubu? Nie będzie sukni?

– Wandeczko... kochana moja...

– Nic nie mów! – Poderwała się z ławki. W głowie jej pulsowało. Cały dzień tak się cieszyła, tak weselnie nastrojała i okazało się, że zupełnie na darmo. – Niepotrzebnie zrobiłeś mi nadzieję!

– Ja?

– Tak! Cały dzień dziwnie się zachowywałeś, potem się wystroiłeś i zaprosiłeś na ten spacer, więc co miałam myśleć? Jak sądzisz? Trzeba było normalnie się zachowywać!

Wzruszył ramionami. Wanda się wściekła jego zdaniem zupełnie bez powodu. Nie miał pojęcia, jak ją uspokoić. Rozmowa nie skończyła się tak, jak tego oczekiwał, może faktycznie dziwnie się w ciągu dnia zachowywał, ale trawił go stres, bo złożenie propozycji wspólnego życia było dla niego niezwykle poważne i wiążące. Rozmowę może również źle poprowadził i nieopatrnie wprowadził Wandę w błąd. Ale on naprawdę bardzo ją kochał!

– Wanda! – Wstał i podszedł bliżej. – Kocham cię i tu i teraz mogę ci obiecać wszystko to, co powiedziałbym przed urzędnikiem! Ale ślubu nie będzie, bo już raz żonaty byłem i źle to wspominam. Wybacz!

Wbił ręce w kieszenie i odwrócił się do niej plecami.

– Więc... – cicho, jeszcze z nikłą nadzieją, zagaiła Wanda.

Eryk wzruszył ramionami i powiedział:

– Ślubu nie będzie.

Wandzie było przykro. Już się nastawiła, że następnego dnia poogląda w Internecie nie tylko suknie, ale również ślubne fryzury. Jaka szkoda... Ale przecież go kochała. I uświadomiła sobie nagle, że do tej pory aż tak mocnym uczuciem nie darzyła żadnego mężczyzny. Czy warto się dąsać o byle białą sukienkę?

– Eryk...

– Tak?

– Zgadzam się...

Odwrócił się w jej stronę, uśmiechnął i mocno do siebie przytulił. Tak, czuła to, że on również bardzo ją kochał, ale... trochę szkoda, że nigdy nie założy tej ślubnej sukni. A może przynajmniej on coś kiedyś jej ugotuje?



– I jak? – Wanda stanęła za Erykiem, który nachylony nad jej laptopem ze zmarszczonym czołem czytał nową, sam już nie wiedział którą, wersję *Wolności skowronka*.

– Eryk... – Wanda pogłaskała go po plecach. – Jak?

– Tak sobie... – mruknął wreszcie.

– Chcesz kawy?

– Dziękuję, mam jeszcze trochę.

– Mogę coś ci powiedzieć? Nie przeszkadzam?

– Mów. – Eryk nie odrywał wzroku od tekstu.

– Dzwoniła Lucyna...

Mężczyzna zerknął na Wandę. Na pewno jak zwykle chce powtórzyć nic nieznaczące plotki, pomyślał. Ale niech mówi, on zrobi sobie chwilę przerwy i dopije zimną już kawę.

– Pamiętasz Bartosza Lurkę?

– Tego ginekologa?

– Tak. Wyobraź sobie, że jego kochanka, ta kopnięta prądem, go zostawiła! Oskarżyła go o narażenie życia oraz zdrowia i podała do sądu! Ponoć toczą tam zażartą walkę... ale nie będę cię zanudzać... Dużo poprawiłeś?

– Aha. Mogłabyś mi dać papierosa?

Wanda z ociąganiem wykonała polecenie i podała mu z półki paczkę czerwonych chesterfieldów. Zauważyła, że zaczął palić od chwili, gdy poprosiła go o pomoc w doszlifowaniu jej romansu. Nie wiedziała, że zawsze gdy siadał do tego tekstu, ogarniało go rozdrażnienie, które łagodził tylko dymek papierosa. Eryk żadnego romansu w życiu nie przeczytał, ale starał się Wandzie pomóc. Kochał ją, to jasne, ale też dręczyły go wyrzuty sumienia, że na początku znajomości podał się za Knychalkę. Jakkolwiek by było, oszukał swą ukochaną, czuł się więc zobowiązany jakoś zadośćuczynić staremu wybrykowi. Ponadto wiedział, ile Wanda wylała łez po tym, jak Murek wyrzucił ją z pracy. I najmniej było w tym wszystkim ważne, że Eryk nie znał się na literaturze, a ostatnią przeczytaną przez niego książką była jakaś zadana w technikum lektura. Nawet nie pamiętał jej tytułu. Męczyło go teraz nie tylko czytanie, ale i odgrywanie roli może nie tyle eksperta, ile osoby, która ma jakiegokolwiek pojęcie o książkach i zabiera w tej kwestii głos. *Wolność skowronka!* Rany boskie! Wyciął z tekstu, co tylko mógł, i nieudolnie wpisał to, co (gdyby w ogóle cokolwiek czytał) i jego by zainteresowało. Tu i ówdzie wtrącił jakiś krwawy opis, nie zapominając przy tym wyrzucić wszystkich romantycznych bohaterów i na ich miejsce wstawić typków jeśli nie złych, to przynajmniej posiadających wyraźnie odstręczający charakter. Był niemal u końca swej męki i musiał nieskromnie przyznać, że odwalił kawał dobrej roboty. Oczywiście chcąc być uczciwym, zwrócił Wandzie uwagę na to, że jej romans przestał być romansem, a stał się kryminałem, ale ona zdawała się tym nie przejmować. Pogodziła się z faktem, że nigdy nie będzie autorką romansów i pocieszała, że kryminały są nie mniej poczytne.

– Dziękuję. – Eryk zapalił papierosa.

Wanda czułym gestem zmierzwiła mu włosy i z ciekawością przeczytała kilka zdań z monitora. Nieźle, pomyślała. Nie, o palenie wymówek mu robić nie mogła, ponieważ zauważyła, że po połowie paczki miewał całkiem trafne uwagi i dopisywał spore kawałki niezłego tekstu. Od początku tej współpracy zauważyła, że Eryk zachowuje się podobnie do Maryli Małoty, która przecież, jak się przyznała, kończyła książkę Ignacego Knychalki. Bardzo ją to gryzło i oczywiście wątpliwościami podzieliła się z Erykiem. Pocieszył ją, że on wcale nie uważa, aby jego praca przypominała zajęcie byłej szwagierki, bo on Wandy tekst jedynie tu i ówdzie poprawia, a to jest przecież zupełnie inną sprawą. Więcej z nim na ten temat nie dyskutowała, ale dobrze wiedziała, że było to nieprawdą, ponieważ Eryk niemal napisał całą książkę od początku.

– Myślę, że jutro będziesz mogła to wysłać do wydawców – powiedział. – Do przeczytania jest jeszcze tylko ta ostatnia strona. Znalazłem kilka literówek.

– Poprawisz?

– Tak... ale już nie przeszkadzaj.

Wanda cichutko wycofała się do kuchni, gdzie gotowała ulubioną potrawę Eryka – fasolkę po bretońsku. Od dłuższego czasu szukała nowej pracy, bo bycie sprzedawczynią w drogerii wydawało jej się dramatycznie nudne i tragicznie nierozwojowe. W wolnych chwilach szukała ambitniejszego zajęcia i marzyła o zostaniu pisarką. Ale w końcu zobaczyła światelko w tunelu: nazajutrz miała udać się na rozmowę o pracę oraz mogła wysłać wydawcom *Wolność skowronka!* Może wreszcie coś w jej życiu drgnie? Znudziło jej się podawanie kremów, toników

i farb do włosów. Miała nadzieję, że wreszcie się coś zmieni. I oczywiście będzie to dobra zmiana.

Podczas mieszania fasolki usłyszała dzwonek do drzwi. W progu ujrzała dwie młode dziewczyny, jak się okazało z organizacji WWF. Były miłe i sympatyczne, więc ochoczo podjęła z nimi dysputę na temat ochrony rysia nizinnego w Polsce i tak się w tym zatraciła, że o fasolce zupełnie zapomniała, za to, wielce z siebie zadowolona, przyjęła od dziewczątek stosowny formularz i obiecała, że na biednego rysia co miesiąc będzie przekazywać mającą wspomóc jego ochronę kwotę. Pogawędkę wielkiej wagi przerwał dramatyczny okrzyk Eryka:

– Co się tam pali?!

Wanda w lot przypomniała sobie o fasolce i popędziła do kuchni. Na szczęście okrzyk: *Co się tam pali?*, był na wyrost, bo nic się nie paliło, lecz tylko porządnie przypaliło i żaden żywy ogień kuchni nie trawił. Szkoda tylko, że fasolka do użytku już się nie nadawała.

– Wanda... – z zalem w głosie powiedział Eryk i przełknął ślinę. – To ja ci książkę kończę, a ty obiad przypalasz? Jestem taki głodny...

– Eryczku, Kochany... – Wanda już krzątała się przy szafce i wyjmowała z niej wyjściowe obuwie. – Lecę coś ci kupić. Na jednej nodze skoczę. Zobaczysz, zaraz będę!

Złapała jeszcze portfel i już jej nie było. Wanda dopieszczała go, czym tylko mogła, a i to (o czym on nie wiedział i nie miał się dowiedzieć), że podszywał się pod jej kultowego autora, dawno mu wybaczyła. Gotowała mu ulubione potrawy, nauczyła się dobrze piec, a w nielicznych wolnych chwilach dziergała mu na drutach fikuśne swetry i pulowerki, bo czego się nie robi dla mężczyzny swego życia.

Tymczasem Eryk podrapał się po głowie, otworzył okno i wystawił na parapet rondel z fasolką. Wyjął z szafki kawałek suchego chleba i zajrzał do lodówki w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby wzbogacić kromkę. Niestety, niczego dla siebie nie znalazł. Białego sera nie lubił, wędlna mu się przejadła, a jajek nie było. W lodówce był jeszcze pasztet z fasoli upieczony przez babcię Jadzię, ale do tego typu wynalazków nie mógł się przekonać. Wszelkie hummusy, pasztety z fasoli czy z soczewicy wyglądały jego zdaniem co najmniej nieapetycznie. A od czasu, kiedy Wandę poniosła fantazja i zrobiła babci Jadzi wykład na temat zdrowej żywności, babcia zbyt chętnie i zbyt często obdarowywała ich tego typu poczęstunkami. Pudełko z kulinarnym dziwactwem dostawali niemal przy każdej możliwej okazji: gdy oni wpadali do niej na kawę oraz gdy ona przychodziła do nich na herbatę. Eryk lubił babcię Jadzię, ale podczas każdego spotkania prędzej czy później zadawała im pytanie, które coraz mocniej go irytowało:

– A ślub kiedy planujecie? Wprawdzie ty, Eryczku, kościelnego wziąć już nie możesz, ale gdybyście nawet w urzędzie go zawarli, Pan Bóg na pewno by docenił twoją dobrą wolę.

Eryk zaciskał wtedy usta, a Wanda, spłoszona, starała się sprowadzić rozmowę na inne tory.

I właśnie między innymi dlatego, że babcia Jadzia tak upierdliwie poruszała temat legalizacji ich związku, Eryk jej hummusów ani pasztetów z fasoli czy innej ciecioriki tknąć nie miał zamiaru.

Zamknął lodówkę i otworzył zamrażalnik, bo przypomniało mu się, że Wanda od czasu do czasu smaży więcej kotletów, a potem je mrozi. Może jakiś jeszcze został, mógłby zabić nim głód, zanim ona wróci z zakupów? Jednak dolna szuflada przeznaczona tylko do przechowywania kotletów, świeciła pustką. W kolejnej oprócz szpinaku i kilku brył mięsa również nie znalazł ani jednego mielonego, o zabłąkanym schabowym nie wspominając. Nie mógł w to uwierzyć, bo tydzień temu – był tego pewien – zapasy w zamrażarce zostały zasilone sporą liczbą mielonych. Sam pomagał Wandzie je tam chować i było niemożliwe, aby zdążył wszystkie zjeść. A może jednak zjadł? W końcu nieraz w nocy chadzał do kuchni, po ciemku

sięgał do wiadomej szuflady zamrażarki, rozmrażał kotlety i je pożerał, by potem cichcem wrócić do łóżka, gdzie zadowolony, z pełnym brzuchem kładł się obok pochrapującej Wandy. Jeszcze raz przeszukał zawartość zamrażarki i uśmiechnął się triumfalnie: w górnej szufladzie, daleko za mięsem, zauważył wciśnięty w kąt mały pakunek.

– Ha! – Zatarł radośnie ręce i położył go na kuchennym blacie. Jakież było jego zdziwienie, gdy po rozwinięciu papieru oczom jego ukazała się kanapka. Obwąchał ją podejrzliwie, ale wyglądało na to, że do zjedzenia była zdatna. Odmroził ją w mikrofalce i zabrał się do jedzenia.

Wanda zastała go, gdy dojadł ostatni kęs.

– O, zjadłeś coś sobie. Zaraz zrobię ci gulasz z cielęciny. – Uśmiechnęła się i obok papieru po kanapce, którego Eryk nie zdążył sprzątnąć, zaczęła wykładać zakupione produkty.

– Kiedy skończyliśmy mielone? – zapytał. – Wydawało mi się, że dużo ich było.

– Wczoraj ostatniego zjadłeś, nie pamiętasz?

– Nie. Dobrze, że znalazłem w zamrażarce tę kanapkę, bo w lodówce naprawdę nie ma nic ciekawego. Ten pasztet od babci Jadzi, okropność taka, że aż... – Eryk mówił nadal, ale Wanda go nie słuchała. Wyprostowała się nagle, spojrzała na porzucony papier i szybkim ruchem wyrwała Erykowi z ręki ostatni kęs chleba.

– A to co... – jęknęła.

– Kanapka z zamrażarki. Z kielbasą była. Chyba się nie gniewasz, że ją zjadłem... – powiedział Eryk zdziwiony jej gwałtowną reakcją.

Wanda pobladła i oparła się o blat.

– Co się stało? – Dосkoczył do niej i objął ramieniem, bo sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała upaść.

– Nic, nic. Zaraz mi przejdzie. Muszę usiąść...

Eryk szybko podsunął jej taboret. Opadła na niego z rezygnacją. Eryk pożarł jej symboliczną kanapkę... Talizman niemal, który miał sprawić, że mężczyzna jej życia kiedyś coś ugotuje. Przywiozła ją ze sobą z mieszkania Lucyny najpierw do swojej kawalerki, a potem do wspólnego gniazdka i na wszelki wypadek ukryła głęboko, za schab i karkówkę, a wszystko dodatkowo zabezpieczyła paczkami ze szpinakiem. W obawie, aby Eryk, który w nocy lubił buszować po kuchni w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, jej nie znalazł, kotlety celowo trzymała w dolnej szufladzie zamrażarki, o czym często mu przypominała i co, wydawało się, dobrze sobie przyswoił. Czy mogła się spodziewać, że jednak zachce mu się szukać w innym niż przeznaczone do przechowywania tych cholernych kotletów miejscu?! Zdjęła przez głowę cienki sweterek, bo zrobiło jej się gorąco.

– Wanda! Co ci jest?

– Duszno mi... chyba burza idzie...

Eryk podał jej szklankę soku grejpfrutowego. Wanda przyjęła napój, ale go nie tknęła. W takiej chwili, gdy pogrążała się w żalobie po zniszczonym symbolu-talizmanie, nie była w stanie niczego przelknąć. Eryk był do tej pory taki, jak się zapowiadał na początku znajomości – do gotowania miał dwie lewe ręce i nawet nie zamierzał ich usprawniać, ale mimo to symboliczna kanapka miała czekać w zamrażarce do magicznej chwili, aż ukochany wreszcie podejmie kuchenne wyzwanie i coś jej upiechi. Tak sobie ubzdurała. Głupio, bo głupio, ale nigdy nie wpadłaby na to, że to właśnie on, Eryk – mężczyzna jej życia – skonsumuje jej talizman.



– Pospiesz się, bo nie zdążysz do szkoły. – Nikola poczuła mocniejszy uścisk matczynej dłoni.

Dziewczynka rozglądała się wokoło w poszukiwaniu chudego szarego kotka, któremu od kilku tygodni ukradkiem podrzucała wykradzione z lodówki kawałki kiełbasy lub szynki. Co wieczór modliła się do Anioła Stróża, aby odprowadzająca ją do szkoły mama nie zauważyła, co robi, i jak do tej pory prośby jej zostawały wysłuchane. Z radością doszła do wniosku, że Anioł Stróż również był miłośnikiem zwierząt. O! Jest! Szary kotek powoli wyszedł z bramy i na widok Nikoli uniósł ogon. Jaki on śliczny! A jaki biedny! Nikola włożyła rękę do kieszeni, wyjęła plaster suchej kiełbasy i rzuciła.

– A co ty robisz? – Mama przystanęła i zmarszczyła brwi.

A jednak Anioł Stróż nie był miłośnikiem zwierząt! – ze złością pomyślała Nikola.

– Daję mu jeść... – Mała patrzyła, jak zwierzak pałaszuje kasek.

– Nie rób tego więcej, bo się do nas przyczepi, a na pewno ma swój dom i swoją panią.

– Nie ma!

– Skąd wiesz?

– Bo źle wygląda. Nie widzisz, mamo, jaki on chudziutki? Nie ma pani, nie ma domku, ale za to ma pusty brzusek! – Nikola ułożyła usta w podkówkę, a oczy zaszyły jej łzami. Teraz mama, skoro już zna jej tajemnicę, będzie pilnować, aby Nikola nigdy więcej jedzenia mu nie podrzucała!

– Pospiesz się! – Mama obejrzała się na kotka i pociągnęła za sobą dziewczynkę.

Nazajutrz Nikola kończyła osiem lat i jak co roku mogła wybrać sobie prezent. Tym razem nie zamierzała prosić o żadną zabawkę, tylko o coś innego – marzyła, aby ten biedny kotek, który – każdy to widział, że był bezdomny! – zamieszkał razem z nią. Wiedziała jednak, że z rodzicami łatwo jej nie pójdzie, więc ryczeć zaczęła od razu po wstaniu z łóżka. Nie zamierzała przy tym informować swych rodziców, co jest przyczyną rozpaczliwych lamentów, toteż przerażeni niezwłocznie zawieźli ją do szpitala na Krysiewicza. Lekarz nie był w stanie stwierdzić żadnej choroby, a ponieważ Nikola nadal ryczała, nie wydając z siebie żadnego słowa, została skierowana na oddział w celu poczynienia obserwacji.

Fajnie jej w tym szpitalu nie było, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że aby spełnić marzenie, musiała pocierpieć. Po dwóch dniach twardego milczenia i uporczywego płaczu wreszcie się doczekała:

– Nikolka, kochanie moje, odezwij się, bo zwariujemy! – Tatuś głaskał ją po małej, kurczowo ściskającej kołderkę, rączce. – Odezwij się, powiedz, co ci jest, a kupimy ci, co tylko zechcesz!

Nikola jeszcze chwilę pomilczała. Poczekala, aż mama powtórzy tę samą obietnicę i cicho powiedziała:

– Dobrze. Powiem, co mi jest.

– Co?!

– Jestem chora na małego szarego kotka!

I w ten oto sposób Nikolka – niebieskooka pulchna jedynaczka, lat osiem i dwa dni, spełniła swe wielkie marzenie i została panią smętnie wałęsającego się do tej pory po Wildzie bezdomnego szarego kota. Kota, wbrew twierdzeniu tatusia, że to samiczka, nazwała Neron.



Babcia Jadzia, jak na swoje lata, cieszyła się dobrym zdrowiem i była dumna, że mimo zaawansowanego wieku nadal jest samodzielna i nie potrzebuje niczyjej pomocy. Niestety, wkrótce dobry czas miał się skończyć... Pewnego słonecznego dnia, gdy wracała ze spaceru, potknęła się o krawężnik i podczas upadku złamała nogę. Złamanie było paskudne, kość nie chciała się zrastać, więc szpital stał się dla babci Jadzi drugim domem. Podupała na duchu, stała się małomówna, a czas spędzała na bezmyślnym wpatrywaniu się w okno. Jej samopoczucie nie poprawił nawet przyjazd córki gotowej do objęcia jej stałą opieką. Wanda i Eryk również o niej pamiętali i odwiedzali tak często, jak to było możliwe.

Pewnego deszczowego piątku Wanda dostała paskudnej migreny, więc Eryk wyjątkowo w odwiedziny do staruszki wybrał się w pojedynkę. Z obojętnym wyrazem twarzy siedziała wsparta o poduszkę i bezmyślnie patrzyła w okno.

– Dzień dobry – powiedział cicho. – Sok i ciastka przyniosłem...

Jadzia rzuciła na niego krótkie spojrzenie, a widząc, że to on, natychmiast się ożywiła.

– Dobrze, że jesteś, bo dziś wyjątkowo źle się czuję. – Wskazała mu krzesło.

– Więc już lekarza wołam!

– Ani się waż! Siadaj natychmiast, bo chcę ci powiedzieć moją ostatnią wolę.



– Wanda... – Eryk delikatnie dotknął jej ramienia. Nadal spała, a nie było go w domu ponad trzy godziny. Z czułością patrzył na jej zaróżowione policzki i włosy poprzetykane nielicznymi nitkami siwizny. Wyjął z kieszeni malutkie pudełeczko. Otworzył.

– Wanda... – Potrząsnął nią.

– Co? – zapytała nieprzytomnie. – Jak się czuje babcia?... Co to jest? – Poderwała się na widok pudrka i jego zawartości. Złoty pierścionek był przepiękny. Na kamieniach się nie znała, ale nieśmiało wzięła pod uwagę możliwość, że delikatny kamyk mógłby być brylantem. – To dla mnie?!

– Oczywiście, głuptasie. Zostaniesz moją...

– Pewnie, że tak!



Babcia Jadzia, mimo że w złej kondycji zdrowotnej, szczęśliwie dożyła ślubu Wandy i Eryka. Na ceremonii obecna być nie mogła, ale gdy ją odwiedzili, ze łzami w oczach życzyła im szczęścia, wręczyła prezent i podziękowała za spełnienie ostatniej woli.

– O jakiej ostatniej woli mówiła babcia? – Wanda, gdy od niej wyszli, złowrogo zmarszczyła brwi i wycelowała w pierś Eryka palec.

– Co? – Udał, że nie dosłyszał.

– Zadałam ci pytanie, o jakiej ostatniej woli mówiła babcia?

Wzruszył ramionami i zrobił zdziwioną minę.

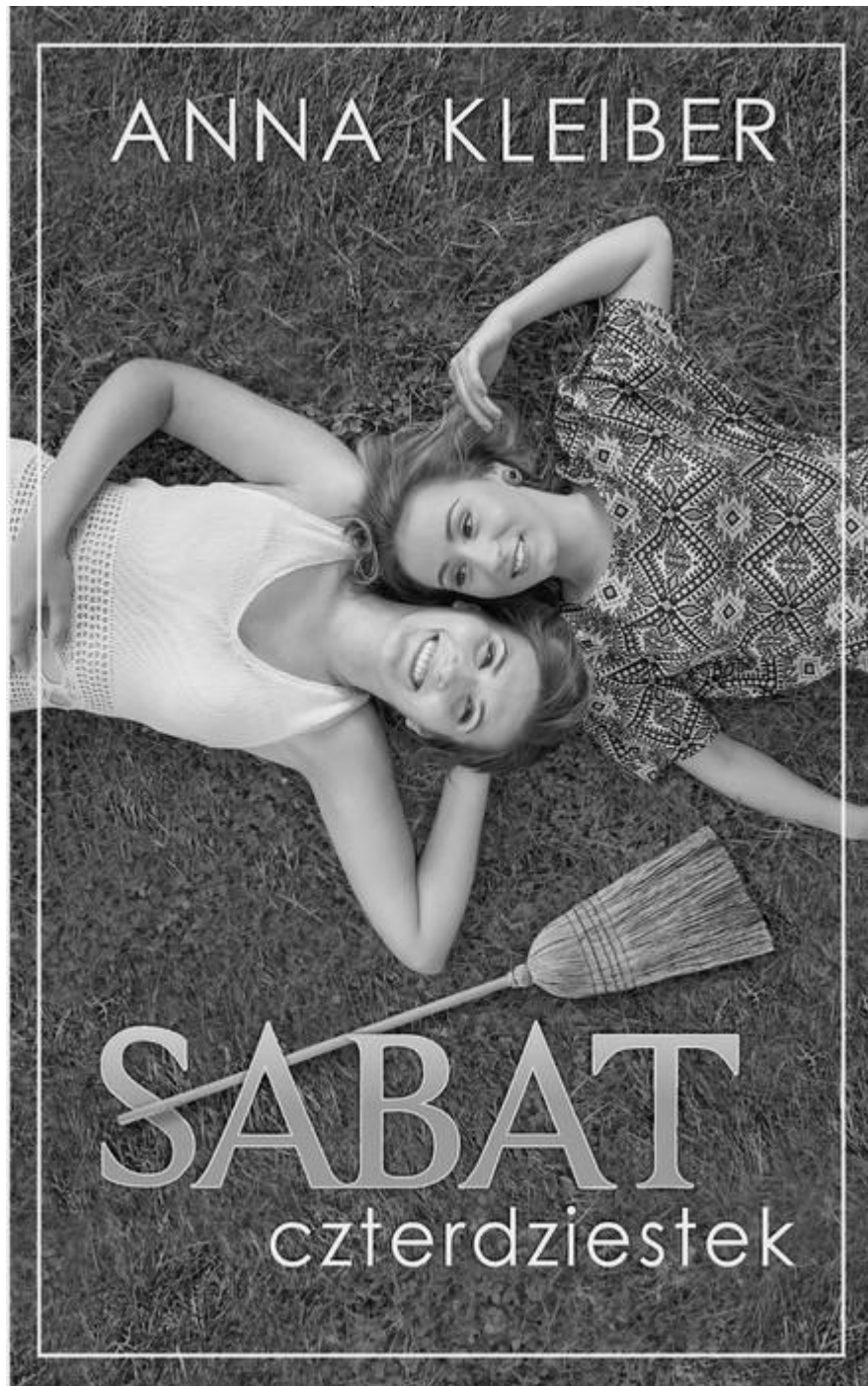
– Nie mam pojęcia. Musiało jej się coś pomieszać.

Wanda jeszcze przez chwilę uważnie mu się przyglądała, ale minę miał absolutnie niewinną i wyrażającą tak szczere zdziwienie, że w końcu przyznała mu rację. Babci Jadzi musiało się coś pomieszać.



Dowcipny romans z wątkiem kryminalnym. Justyna, świeżo po trzydziestce, jest samotna i nie potrafi w nikim się zakochać. Staje się samotna jeszcze bardziej, gdy jej ojciec wyprowadza się do kobiety, z którą właśnie się związał. W dodatku Justyna traci pracę. Na szczęście wkrótce znajduje zatrudnienie w nieco dziwnym biurze matrymonialnym, które otworzył jej szkolny kolega. Tymczasem w okolicy dochodzi do tajemniczego morderstwa, którego ofiarą jest znajomy mieszkający po sąsiedzku pani Eugenii. Donosząc Justynie o tym, pani Eugenia prosi ją jednocześnie, by zaopiekowała się młodym księdzem, który przyjechał do swego wuja, innego sąsiada, na dłuższy urlop zdrowotny. Justyna ma opory, tym bardziej że ksiądz wygląda jak obiekt jej snów, przystaje jednak na tę propozycję, by wprowadzić w błąd niechcianego

adoratora...



Gdy ma się czterdziestkę na karku, a za sobą nieudane małżeństwo, pora na urlop od dotychczasowego życia. Tak decyduje Ewa, a w tym życiowym oddechu towarzyszyć ma jej dawna koleżanka Kamila, obecnie mieszkająca w Barcelonie. Zanim jednak kobiety wyruszą w podróż dookoła świata, muszą załatwić sprawy spadkowe w małej wiosce, w której w dziecięcych latach spędzały wakacje. Przyjazd w to miejsce uruchomi dawne wspomnienia, spotkania po latach skłonią do porównań i refleksji nad dawnym życiem – wszystko jednak z humorem i spora dozą kąśliwej ironii, bohaterki są bowiem osobami dalekimi od sentymentalizmu. Pojawi się także ta trzecia – nielubiana towarzyszka dziecięcych zabaw,

konieczna do załatwienia sprawy spadku. Pojawi się w towarzystwie przystojnego mężczyzny w luksusowym samochodzie, wzbudzi zazdrość i zniknie, a to zmusi bohaterki do poszukiwań. Prowadząc prywatne śledztwo wśród dość malowniczych mieszkańców wioski, uruchomią serię nieoczekiwanych zdarzeń, które wpłaczają je w prawdziwą intrygę kryminalną.

Wanda, dziennikarka lokalnego pisma kulturalnego, otrzymała od szefa zadanie zdobycia wywiadu z równie poczytnym co tajemniczym pisarzem Ignacym Knychalką, który podczas Warszawskich Targów Książki ma pokazać światu swoją twarz. Mimo zapowiedzi pisarz jednak nie zjawia się na stoisku. Zdeterminowana Wanda postanawia śledzić siedzibę wydawcy, licząc, że uda jej się spotkać tajemniczego literata. Zależy jej na tym nie tylko ze względu na wywiad, ale również dlatego, że sama napisała powieść i liczy na to, iż słynny autor bestsellerów pomoże jej swoją polecającą opinią. Szczęście jej sprzyja, bo z mieszkania wydawcy wychodzi mężczyzna o charakterystycznej niepozornej sylwetce i choć na wywiad się nie zgadza, to przyjmuje maszynopis jej dzieła. I w ten sposób Wanda zupełnie nieświadomie znajdzie się w samym środku wielkich i mniejszych zbrodni literackiego światka.



**ZRĘCZNIE SKONSTRUOWANY KOMEDIOWY
KRYMINAŁ, PEŁEN IRONII I KAŚLIWEGO HUMORU.
DOSKONAŁA LEKTURA DLA CZYTELNIKÓW,
KTÓRZY NIE TRAKTUJĄ WSZYSTKIEGO ZBYT SERIO.**

Anna Kleiber

Z wykształcenia doktor nauk rolniczych w zakresie ogrodnictwa, pracuje w bibliotece. Do tej pory opublikowała trzy powieści: *Kobieta z pazurem*, *Sabat Czterdziestek* i *Głupia baba*.

Patronat medialny



www.wydawnictwobis.com.pl